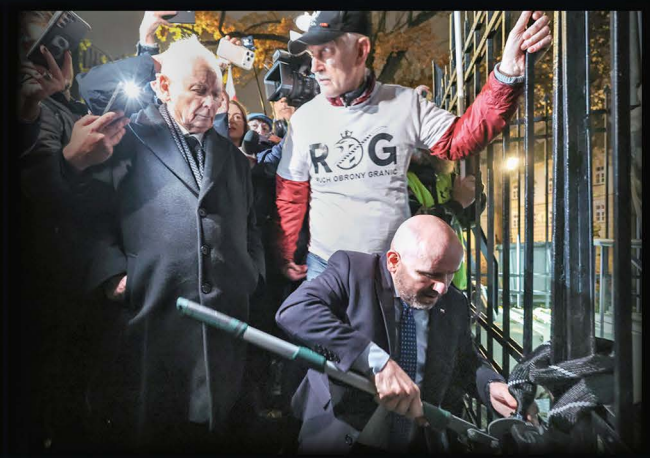
Ofensywa antyalkoholowa • Mały powrót Hołowni • Kto przejmie Izrael
Nóż w tornistrze • Polska Partia Samochodowa • Zoobiznes • CPK w polu

POLITYKA.PL

POLITYKA

LIDER SPRZEDAŻY





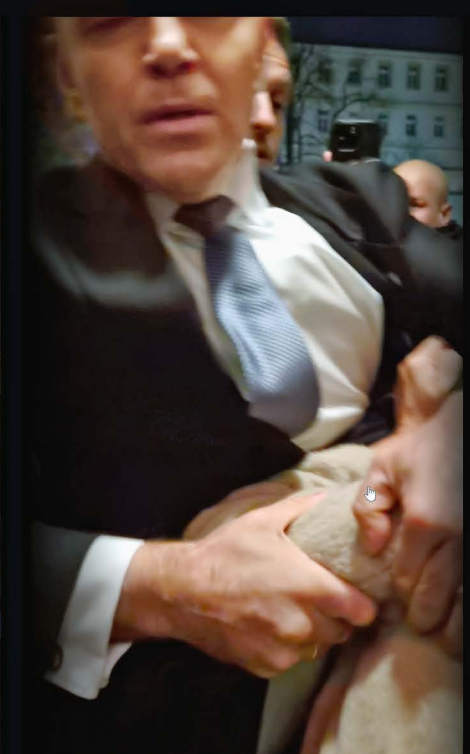
ILUSTRACJA MAGDALENA MAMAJEK-MICH

PiS TRACI TK

Jakie będą polityczne skutki nocnych wydarzeń w Al. Szucha s. 4, 6, 10







USA 5 USD; WIELKA BRYTANIA 4 GBP; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO TYGODNIK, nr 45 (3589), 4.11–9.11.2026 Cena 16 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

ISSN 0032-3500
9 770032 350602 45

Wydanie w sprzedaży do 9.11.2026



© ANASTASIYA RAV/SHUTTERSTOCK

14 Alko-rewolucja u bram?

Tematy tygodnia

10 Michał Danielewski
Bitwa o Trybunał Konstytucyjny
14 Cezary Kowanda
Co ma przynieść ofensywa antyalkoholowa

Polityka

18 Joanna Sawicka, Michał Piedziuk
Powrót Hołowni

Społeczeństwo

22 Zbigniew Borek
Jak kierowcy kierują politykami
26 Agnieszka Sowa
Dramat zwierząt w prywatnych zoo
30 Jak zapobiec kolejnym atakom nożowników w szkołach – mówi pedagożka **Lucyna Kicińska**
34 Paweł Walewski
Dziesiąte życie pacjenta Furmanka

Rynek

38 Adam Grzeszak
Branża motoryzacyjna się zbroi
41 Marcin Piątek
Nielot CPK

Świat

46 Agnieszka Zagner IZRAEL
Powyborcza łamigłówka
49 O micie nowej Jałty – mówi analityk **Marek Menkiszak**
52 Michał Bogusz CHINY
Sekrety zdrowia przewodniczącego Xi

Nauka/projektpulsar.pl

56 Margit Kossobudzka-Lipińska
Zbawienne nawyki
59 Rozmowa z dr inż. **Katarzyną Roguz**, laureatką tegorocznej Nagrody Naukowej POLITYKI w kategorii nauki o życiu

Historia

62 Łukasz Wójcik
500 lat temu urodziła się Katarzyna Jagiellonka, królowa Szwecji i matka polskiego króla
65 PROSTO Z KSIĄŻKI

Kultura

70 **Steve Buscemi** o swojej roli w filmie „Dziki koń dziewięć" Martina McDonagha
74 Aneta Kyzioł
Sequel Mrożka: Mikita Iłynczyk i jego spektakl „E:/migranci"
77 Justyna Sobolewska
Czyj jest Bruno Schulz

Sport

80 Marcin Piątek
Kimi Antonelli – 20-letni mistrz Formuły 1

Ludzie i style

88 Urszula Jabłońska
Warzywna fiesta
89 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

Stałe rubryki

- **4** Przypisy
- **6** Ludzie i wydarzenia
- **32**, **86**, **90** Galeria POLITYKI
- **66** Afisz • **83** Hartman • **84** Lis
- **86** Mizerski • **87** Do i od redakcji
- **90** To jeszcze nie koniec

Uwaga Czytelnicy!
Następny numer POLITYKI ukaże się **we wtorek 10 listopada**.

© OKŁADKA: G. BRAUN/FACEBOOK, J. DOMIŃSKI/REPORTER, J. SZYDŁOWSKI/FORUM, R. PIETRUSZKA/PAP, M. BEREK/PLATFORMA X

eprasa.pl b6a46f48ee


ERSTE
Private Banking
Zrobiłaś wiele.
Możesz jeszcze więcej.
Ty kreujesz swoją rzeczywistość. Twój profesjonalny doradca oferuje Ci pełne wsparcie na każdym etapie.



Zamach halloweenowy

Jerzy Baczyński

Mieliśmy prawdziwy polityczny Halloween. To importowane z Ameryki święto polega z grubsza na tym, aby ostatniego dnia października było „i śmiesznie, i strasznie". Wydarzenia pod Trybunałem Konstytucyjnym idealnie wpasowały się w ten wzór. W nocy z piątku na sobotę politycy prawicy urządzili tam wielki seans grozy. Rozstawione przed siedzibą TK głośniki krzyczały o zbrodniczym zamachu, o reżimie i siepaczach Tuska, o nowym gestapo w Alei Szucha, o rozpoczynającej się właśnie wojnie domowej. Sam Jarosław Kaczyński ostrzegał, że „będą zabójstwa", bo władza działająca na zlecenie Niemców rozdaje broń swoim zwolennikom. Były ognie z pił tnących ogrodzenie, hymny, modlitwy i bluzgi, upiorne selfie Kaczyńskiego z Braunem; TV Republika non stop wzywała obywateli do czynnej obrony Trybunału (i do wpłat na konto stacji), a jej internetowy sojusznik, czyli Kanał Zero, ogłosił, że zamachowcy nie tylko chcą siłą przejąć Trybunał, ale i odwołać wybory w Polsce. W nocy do budynku Trybunału wtargnął prezydent Nawrocki, bokserskim sierpem, z wprawą hotelowego ochroniarza, przepychając sędzię Annę Korwin-Piotrowską (po czym, po zdobyciu gmachu, przesiedział w nim do rana). Kto chciał, mógł się przez całą noc naoglądać, nasłuchać i nastraszyć. Dopiero Zaduszki nieco wygasiły gorączkę sobotniej nocy. Ale prawicowe media od piątku pracowicie i nieprzerwanie wykuwały mit Smoleńska 2.0, czyli Zamachu Stanu.

W tym numerze (s. 6, 10) po raz kolejny przypominamy, „o co chodzi z tym Trybunałem", wyjaśniamy prawne i polityczne konteksty decyzji sędzi Korwin-Piotrowskiej, która zarządziła „przerwę w czynnościach" dotychczasowego prezesa TK Bogdana Święczkowskiego i jego zastępcy Bartłomieja Sochańskiego. To zresztą była decyzja spodziewana, przynajmniej od czasu, gdy Sejm obecnej kadencji wybrał ósmego sędziego TK (Macieja Berka), co oznaczało, że w 15-osobowym Trybunale „niepisowscy sędziowie" uzyskali większość. Jak wiemy, prezydent Nawrocki od części nowych sędziów nie odebrał ślubowania, co prezesowi Święczkowskiemu dało pretekst, aby nie dopuścić ich do orzekania. Zdaniem niemal wszystkich konstytucjonalistów, ale także europejskich trybunałów i Komisji Weneckiej, takie działanie obu panów było bezprawne. W kwestii, czy najstarsza stażem w Trybunale sędzia Korwin-Piotrowska mogła zawiesić „działających na szkodę służby" prezesów, opinie prawników są podzielone, ale chyba w proporcji 80:20 na tak; ważne, że taką interpretację poparli in gremio byli prezesi TK. Jednak cokolwiek dalej się wydarzy, jest pewne, że opozycja nie uzna „nowego Trybunału". Być może będziemy więc mieli dwa Trybunały: jeden w sprytnie „zdobytej" Alei Szucha, drugi na uchodźstwie (w Pałacu Prezydenckim?).

Wiele osób, także „po stronie demokratycznej", załamuje ręce: nie tak miało być, szykuje się kolejna eskalacja, a trzeba dążyć do „resetu konstytucyjnego", dogadać się, ratować autorytet potrzebnego obywatelom sądu. Tyle że takie ustawowe próby były podejmowane, ale i prezydent Duda, i Nawrocki je storpedowali. „Trybunał Święczkowskiego", tak jak wcześniej „Trybunał Julii Przyłębskiej", zostały zdegradowane do roli biernych wykonawców partyjnych poleceń PiS. TK w swojej roli konstytucyjnej faktycznie przestał istnieć; dla rządzących, którzy jego wyroków nie uznawali, był równie groźny i poważny jak szczerząca zęby wydrążona dynia. Tak mogło trwać, ale ostatecznie koalicja 15 października, a zapewne osobiście „kierownik" Tusk, zdecydowali się skorzystać z okazji, jaką dały upływające kadencje pisowskich sędziów, i jednak reanimować Trybunał. Politycznie to ma czytelny sens: obok (bo raczej nie w miejsce) zombie-trybunału Święczkowskiego powstaje nowy „większościowy" TK. Jeśli ta operacja zostanie doprowadzona do końca, TK będzie orzekał, a rząd jego wyroki publikował. Powstanie nowe źródło prawa, w wielu sprawach omijające weta prezydenta. Po nowym Trybunale można się spodziewać np. powrotu do orzeczeń o konstytucyjnej dopuszczalności aborcji, wyroków ograniczających monarsze uzurpacje Nawrockiego, skorygowania okręgów wyborczych zgodnie z zaleceniami PKW, przywrócenia odesłanego do zamrażarki TK lex szarlatan i w ogóle odblokowania ponad tysiąca spraw, od lat zalegających w TK. Koalicja pokaże, że coś jednak „dowozi".

Wiadomo, że jeśli wybory 2027 wygra prawica, ten „większościowy TK" zostanie zmieciony wraz ze swymi wyrokami, bez żadnych rozdrapów prawniczych. Ale dla wyborców to podbija stawkę: jeśli chcesz utrzymania liberalnych rozwiązań ustrojowych i nie dopuścić do prawnego i światopoglądowego monopolu prawicy – idź i zagłosuj „na koalicję demokratyczną". Mówi się, że Tusk w sprawie TK gra na polaryzację. To oczywiste, bo prawica robi dokładnie to samo, a nawet, słuchając jej niepohamowanych gróźb, jeszcze bardziej. TK jest dziś najgorętszym, ale tylko jednym z odcinków już zarysowanego przez Tuska głównego frontu kampanii: „za Europą i Zachodem albo za polexitem i ustrojowym Wschodem". Sam Jarosław Kaczyński popracował tu dla Tuska, przedstawiając na Forum w Krynicy, przejęty wprost od Grzegorza Brauna, opis Unii jako lewackiego eurokołchozu odbierającego państwom niepodległość. Ważnym dowodem, przywołanym przez Kaczyńskiego, było wtrącanie się Komisji Europejskiej i unijnych trybunałów w „suwerenną praworządność" za rządów PiS. Nie inaczej jest teraz, kiedy instytucje unijne nakazały Święczkowskiemu dopuszczenie do pracy legalnie wybranych sędziów.

W „reformie Unii", którą według Kaczyńskiego wymusić miałoby „rozpoczęcie rokowań w sprawie polexitu", chodziłoby więc głównie o to, aby Unia wreszcie się zamknęła i przestała narzucać „narodowemu rządowi" jakieś ogólnoeuropejskie normy i standardy. Łatwo sobie wyobrazić, co to by oznaczało. Gdyby wielka koalicja prawicowa (oczywiście z Braunem) stworzyła rząd, to mając już prezydenta, mogłaby zwykłymi ustawami dowolnie zmieniać ustrój państwa – zapewne w stronę autorytarnego sytemu prezydenckiego w stylu Trumpa. TK powróciłby do roli wydrążonej dyni, sądy powszechne zostałyby wzięte pod but i już tylko Bruksela i Strasburg dawałyby obywatelom jakąkolwiek ochronę przed kompletną samowolą władzy. Aż do polexitu, który można przeprowadzić jednym głosowaniem w Sejmie.

W kolejne Halloween, już po wyborach 2027, może być bardziej strasznie niż śmiesznie. Ale został rok, a przykład Trybunału pokazuje, że nic nie jest jeszcze przesądzone.

eprasa.pl b6a46f48ee

Albatros travel

Albatros 40 lat

Jersey - angielska wyspa z francuską przeszłością

Imponujące nadmorskie klify, rozległe równiny pływowe i złociste plaże dominują na wyspie, która leży na kanale La Manche zaledwie 22 km od Francji, ale od 1204 roku pozostaje pod panowaniem angielskiej korony.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Jersey. **Dz. 2** St. Helier i zamek Elizabeth Castle. **Dz. 3** Dzień wolny lub fakultatywna wycieczka na wyspę Sark. **Dz. 4** Szklane cuda w Millbrook, zamek w Gorey i neolityczny kurhan La Hougue Bi. **Dz. 5** Zachodnie wybrzeże, winnica i tunele wojenne. **Dz. 6** Powrót do domu.

NOWOŚĆ

6 dni
Wyloty z Warszawy
30/06, 14/07 2027
od **6.998,-**





Botswana, Delta Okawango i Victoria Falls

Wyjątkowa podróż do ostatnich nietkniętych obszarów naturalnych Afryki. Safari w parku Chobe i Delcie Okawango oraz dwa dni przy Wodospadach Wiktorii.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przylot do Victoria Falls, Zimbabwe. Zakwaterowanie w hotelu, spacer po miejscowości i czas wolny na odpoczynek. **Dz. 3** Victoria Falls. Wycieczka do wodospadów. **Dz. 4** Przejazd do Parku Narodowego Chobe w Botswanie. **Dz. 5** Safari w Parku Chobe. **Dz. 6** Przelot do regionu Khwai w Delcie Okawango. **Dz. 7–8** Safari w Delcie Okawango. **Dz. 9** Przejazd do Prywatnego rezerwatu Mababe nad rzeką Khwai. **Dz. 10–11** Poranne i wieczorne safari w rezerwacie Mababe. **Dz. 12** Przelot do Maun i powrót do domu. **Dz. 13** Przylot do Warszawy.

13 dni | Wylot z Warszawy 09/02 2027 | od **29.998,-**



USA – Wschodnie Wybrzeże

Filadelfia, Waszyngton, Nowy Jork, Boston, Nowa Anglia czyli podróż do kolebki USA z bogatą historią i wielkimi miastami oraz wodospad Niagara – potęga natury.

Program wycieczki: Dz. 1 Warszawa – Nowy Jork – Filadelfia. Zameldowanie w hotelu. **Dz. 2** Filadelfia – Baltimore – Waszyngton. Dzwon Wolności i Waszyngton by night. **Dz. 3** Waszyngton. Wycieczka po mieście, The Mall, cmentarz w Arlington oraz Air & Space Museum. **Dz. 4** Waszyngton, D.C. – Gettysburg – Lancaster – Williamsport. Wizyta w wiosce amiszów. **Dz. 5** Williamsport – Wodospad Niagara, USA. Rejs statkiem po kanadyjskiej stronie wodospadów. **Dz. 6** Niagara Falls – stany Nowy Jork i Massachusetts. **Dz. 7** Natick – Boston – Hyannis na wybrzeżu Nowej Anglii. **Dz. 8** Hyannis – Newport – Yale – Nowy Jork. **Dz. 9** Nowy Jork. Objazd, 9/11 Memorial i czas wolny. **Dz. 10** Nowy Jork i wylot. **Dz. 11** Przylot do Warszawy.

11 dni | Wyloty z Warszawy 14/05, 18/09 2027 | od **6.998,-**

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL42**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl b6a46f48ee

Trybunał: 11 lat sporu

Ostatnie ruchy w Trybunale Konstytucyjnym trudno zrozumieć i ocenić bez wzięcia pod uwagę genezy tych wszystkich wydarzeń. Wtedy widać, jak skomplikowany węzeł jest do rozsupłania.



Kryzys w TK zaczął się październiku 2015 r., kiedy Sejm wybrał pięciu sędziów do Trybunału, w tym dwóch, których normalnie wybrałby Sejm następnej kadencji. Stało się tak, bo rządząca wówczas PO obawiała się utraty władzy i obsadzenia w kolejnej kadencji Sejmu sześciu miejsc w Trybunale przez prawicę. Prezydent Duda wstrzymywał się z zaproszeniem nowych sędziów do złożenia ślubowania. Po wygranych wyborach PiS i jego koalicjanci wykorzystali fakt wyboru dwóch sędziów „na zapas" do unieważnienia, w bezprawnej procedurze – uchwałami Sejmu – wyboru wszystkich pięciu sędziów, a następnie do wybrania pięciu nowych.

W grudniu 2015 r. TK uznał wybór dwóch sędziów na zapas za niezgodny z konstytucją, a pozostałych trzech – za wybranych prawidłowo. PiS nie wykonał tego wyroku i w ten sposób w TK znaleźli się dwaj prawidłowo wybrani przez PiS sędziowie i trzej dublerzy sędziów. W maju 2021 r. Europejski Trybunał Praw Człowieka uznał dublerów (w sprawie Xsero Flor) za nieuprawnionych do orzekania.

Mimo obsadzenia przez PiS tylko pięciu na 15 miejsc udało mu się całkowicie ubezwłasnowolnić Trybunał dzięki przyjęciu (w listopadzie i grudniu 2016 r.) nowych ustaw o organizacji TK, statusie sędziów i ustawy wprowadzającej. W nowym prawie prezes TK dostał olbrzymią władzę, zmieniono też procedurę jego wyboru tak, aby mniejszość sędziów mogła wskazać swojego kandydata (wybiera prezydent). Dzięki tym zasadom **w grudniu 2016 r. nową prezeską została Julia Przyłębska**, która w międzyczasie została zaufaną i „odkryciem towarzyskim" prezesa PiS.

TSUE – w orzeczeniu z grudnia 2025 r. ze skargi Komisji Europejskiej – uznał, że wybór Przyłębskiej na prezeskę, a także wybór trzech dublerów naruszyły „podstawowe reguły dotyczące procedur nominacyjnych w Polsce". A co za tym idzie: „Polski TK nie spełnia wymogów niezawisłego i bezstronnego sądu (…) w rozumieniu prawa Unii".

TK pod wodzą Przyłębskiej, a potem Bogdana Święczkowskiego (b. posła PiS, b. szefa ABW i b. prokuratora krajowego) wydał szereg orzeczeń w sposób jawny wykonujących oczekiwania władzy PiS. W tym: orzeczenia uznające prawo prezydenta do stosowania aktu łaski wobec osób, które nie zostały prawomocnie osądzone (sprawa Kamińskiego i Wąsika), wyroki stwierdzające, że Polski nie wiążą wyroki ETPCz i TSUE dotyczące „ustroju sądownictwa" czy wyrok o niekonstytucyjności aborcji ze względu na ciężkie i nieodwracalne uszkodzenie płodu. Osobną grupę orzeczeń stanowiły pozbawione podstawy prawnej tzw. zabezpieczenia i postanowienia tymczasowe, najczęściej wydawane na wniosek posłów PiS lub z inicjatywy samego TK, które zakazywały innym organom władzy podejmowania decyzji w określonych sprawach czy wykonywania procedur (np. wyboru sędziów do nowej KRS).

Trybunał od 2017 r. stał się najpierw narzędziem sprawowania władzy przez PiS, a po wyborach w 2023 r. – instytucją broniącą zmian ustrojowych dokonanych przez PiS i chroniącą funkcjonariuszy obozu prawicy przed odpowiedzialnością (np. prezesa NBP Adama Glapińskiego).

We wrześniu 2024 r. Sejm uchwalił ustawę o TK przewidującą m.in. wybór sędziów większością trzech piątych głosów – co oznaczałoby wpływ opozycji na wybór. Uchwalił też ustawę przejściową przewidującą wybór nowego prezesa TK i utratę mocy wyroków wydanych z dublerami. Andrzej Duda odesłał jednak ustawę do TK, a ten uznał ją za sprzeczną z konstytucją.

Od stycznia 2024 r. premier Tusk nie wykonuje obowiązku publikacji wyroków TK, także tych wydanych w składzie bez dublerów. Rządząca koalicja wstrzymywała się przez blisko półtora roku z wyborem sędziów na zwalniające się w TK miejsca, sztucznie przedłużając okres, gdy wybrani przez nią sędziowie będą mieli większość. Od marca 2026 r. obsadziła osiem miejsc w Trybunale, uzyskując tym samym większość. Jednak – aby koalicja nie mogła tej większości wykorzystać – prezydent Nawrocki dopuścił tylko troje nowych sędziów do złożenia w jego obecności ślubowania. A prezes Święczkowski nie dopuszczał pozostałej piątki do orzekania.

Niedawno Komisja Wenecka oceniła, że prezydent nie ma władzy decydowania o składzie TK, i uznała za ważne zastępcze ślubowanie złożone przez piątkę sędziów przed notariuszem. Prezydent odrzucił opinię Komisji. Dzięki nieodebraniu ślubowania od pięciorga sędziów, gdyby PiS wygrał nadchodzące wybory, mógłby potraktować te pięć miejsc w TK jako wakaty i je obsadzić. W ten sposób w Trybunale na 15 sędziów zostałoby tylko troje obsadzonych głosami obecnej koalicji.

Obecnie w TK trwa przesilenie. Kierowanie nim tymczasowo przejęła najstarsza stażem sędzia Anna Korwin-Piotrowska, która wobec pięciu wniosków prokuratora generalnego o uchylenie immunitetów prezesowi i wiceprezesowi TK zarządziła wobec nich „przerwę w czynnościach". Tę przerwę w ciągu 30 dni musi zweryfikować sąd dyscyplinarny. Równolegle TK powinien orzec w sprawie uchylenia im immunitetów. Wielu prawników krytykuje podstawę prawną, na którą powołuje się sędzia Korwin-Piotrowska. Działania nowych sędziów poparło zaś czterech byłych prezesów TK, oświadczając, że: „Podjęte obecnie przez sędziów działania są nakierowane na to, aby przywrócić zgodne z Konstytucją funkcjonowanie Trybunału Konstytucyjnego. Należy umożliwić sędziom urzeczywistnienie tego zamierzenia".

EWA SIEDLECKA

O aktualnej sytuacji w Trybunale i jego okolicy czytaj na s. 10.

© ANDRZEJ HULIMKA/REPORTER, ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS

eprasa.pl b6a46f48ee

Oby nie ostał się ino sznur



Tomasz Nałęcz
Historyk, profesor UW, polityk;
doradca prezydenta RP w latach 2010–15

Pozostały do wyborów parlamentarnych rok może jeszcze przynieść wiele zdarzeń, które odcisną się na wyniku głosowania. Jednak już teraz rezultaty wyborów w innych krajach oraz doświadczenia naszych polskich starć pozwalają przewidzieć z całą pewnością, że walka będzie niezwykle wyrównana, a o wygranej przesądzi niewielka przewaga głosów. Po stronie demokratycznej kluczowe znaczenie będzie mieć to, co się stanie na lewicy. KO trzyma się bowiem mocno, a i PSL da sobie radę, jak we wszystkich wcześniejszych elekcjach. Nie wiadomo tylko, jak zagospodarowane zostanie 10–12 proc., pozyskiwane w sondażach przez lewicę. Wszystko zależy od formuły startu. Jeśli lewica wystawi jedną wspólną listę, przesądzi o sukcesie demokratów. Za to dwie, konkurencyjne, sprowadzą klęskę, bo nie tylko podzielą głosy, ale w atmosferze wzajemnych oskarżeń i połajanek nie przebije się lewicowa wizja Polski dbającej o wyrównywanie szans życiowych i wspierającej tych, którzy nie radzą sobie bez pomocy państwa.

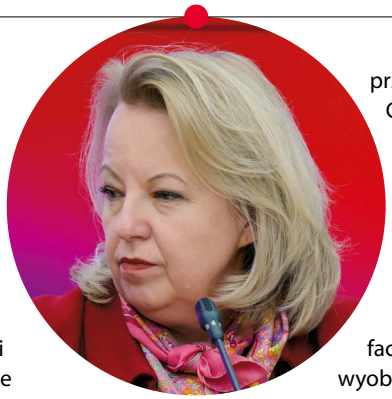
Za wspólnym startem opowiada się Włodzimierz Czarzasty, lider Nowej Lewicy. Był czas, że zgłaszałem zastrzeżenia wobec tego polityka, ale rola, jaką odgrywa od trzech lat, nakazuje zweryfikować krytyczny sąd i docenić jego starania, także o lewicowy front w rozstrzygającym boju z nacjonalistyczno-populistyczną brunatniejącą prawicą. Szkoda, że nie chcą o takim rozwiązaniu słyszeć politycy partii Razem. Jakby nie rozumieli, że na podziale lewicy stracą i polska demokracja, i oni sami, a jedynym wygranym będzie prawica. Łatwo może bowiem dojść do powtórki z 2015 r., kiedy zwaśniona lewica zdobyła ponad 11 proc. głosów i ani jednego mandatu, otwierając tym samym PiS drogę do władzy.

Ale nawet jeśli startujące w 2027 r. oddzielnie Nowa Lewica i Razem weszłyby do Sejmu, to miałyby niewięcej niż kilkunastu posłów. Przeliczanie głosów na mandaty metodą D'Hondta szykanuje bowiem małych, a premiuje średnich i wielkich. Nie wspominając już o stratach, jakie przyniosłoby kampanijne obrzucanie się błotem, nieuchronne w przypadku oddzielnego startu.

Sojusz lewicy jest atrakcyjny także dlatego, że nie oznacza wyrzeczenia się podmiotowości przez żadnego z partnerów. Przypomnijmy, zgodnie z obowiązującą ordynacją wybieramy nie tylko listę, ale też konkretną na niej osobę. Zwolennicy obu partii będą więc mogli poprzeć swoich wybrańców, co przy okazji wyjaśni, kto przoduje w rywalizacji o lewicowy rząd dusz. Stanie się to bez uszczerbku, wręcz z korzyścią dla całej formacji. Pamiętając o tych zyskach, warto przejść do porządku dziennego nad złymi słowami i wzajemnymi oskarżeniami, jakich sobie działacze obu partii dotąd nie szczędzili. Mógłby nad tą niełatwą operacją czuwać powszechnie szanowany Aleksander Kwaśniewski. Poproszony, na pewno nie odmówi pomocy.

Lepiej, by politycy partii Razem byli mądrzy przed szkodą. Nie narażą się wtedy jesienią 2027, po ułatwieniu prawicy wygrania wyborów, na napiętnowanie słynną frazą z „Wesela": „Miałeś chamie złoty róg, ostał ci się jeno sznur".

Nowa prymuska premiera



Największą zaletą **Agnieszki Bartol** (rocznik 1972), nowej ministry funduszy i polityki regionalnej, a wcześniej ambasadorki przy UE, jest chyba to, że dotąd znana była głównie w kręgach zajmujących się sprawami unijnymi. Brukselskim korespondentom mówiła, że objęcie sterów resortu to kulminacja jej marzeń, bo Unii poświęciła całe zawodowe życie. Kolejnym atutem jest zaufanie premiera, który ściśle współpracował z Bartol jeszcze jako przewodniczący Rady Europejskiej, a ostatnio przy okazji unijnych szczytów. Nowa ministra zajmowała wiele wysokich stanowisk w Brukseli i odpowiadała m.in. za przygotowanie zeszłorocznej polskiej prezydencji w Radzie UE. Obejmowane przez nią po nagłej dymisji Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz ministerstwo musi przede wszystkim zająć się zamknięciem negocjacji w sprawie przyszłego unijnego budżetu i rozliczeniem pocovidowego KPO.

Bartol przedstawiana jest jako kandydatka idealna: fachowa i merytoryczna doradczyni, bezpośrednia, konkretna, twarda i asertywna negocjatorka. A do tego: dobra organizatorka, lubiana przez podwładnych i zagranicznych dziennikarzy. Czyli jak to zwykle bywa w przypadku kobiecych nominacji: jej biografią i kompetencjami można by obdzielić kilku mężczyzn, a ona nadal z nadddatkiem spełniałaby wymagania konieczne do objęcia stanowiska.

Donald Tusk bierze do rządu kolejną po Jolancie Sobierańskiej-Grendzie bezpartyjną fachowczynię, która – podobnie jak nierozpalająca wyobraźni prasy ministra zdrowia – prawdopodobnie też zniknie z medialnych radarów. Jak można się domyślać, premier szukał w ten sposób jakiegoś usprawiedliwienia dla odebrania resortu Polsce 2050, gasnącemu i kłopotliwemu koalicjantowi. Zadaniem Bartol będzie uspokojenie atmosfery wokół ministerstwa. Z epoki Pełczyńskiej-Nałęcz pozostaje wspomnienie rozdmuchanej ponad miarę afery z wydatkami z KPO, wyglądającej z początku jak pomysłowe kręcenie dotacyjnych lodów. I choć w zdecydowanej większości przypadków zakup solariów, maszyn do produkcji zimnych deserów czy jachtów był biznesowo uzasadniony, to pozostaje kojarzące się MFiPR rozedrganie. Podtrzymywane przez samą Pełczyńską-Nałęcz, funkcjonującą od dawna na kontrze do premiera i rządu. (J.WIN)

O rozstaniu Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz z rządem i partią czytaj na s. 18.

eprasa.pl b6a46f48ee

Pokój w Oleszkach



Stał się cud i na froncie rosyjsko-ukraińskim ucichła wymiana ognia. Wprawdzie tylko na mikroskopijnym odcinku, ale to ważny precedens. Akuszerką porozumienia jest Melania Trump. Oleszki to miasteczko leżące na lewym brzegu Dniepru naprzeciwko Chersonia, stolicy całego obwodu, jednego z najważniejszych miast ukraińskiego południa. Przed rosyjską inwazją mieszkało tu 24 tys. osób i było to miejsce, gdzie Chersonianie uwielbiali spędzać urlopy i weekendy. Wystarczyło przejechać Mostem Antonowskim, by znaleźć się na wakacjach.

Sielanka skończyła się w 2022 r. Oleszki zostały zajęte przez Rosjan w pierwszych dniach inwazji – co oznacza, że są pod okupacją już prawie pięć lat. Od listopada 2022 r., kiedy ukraińska armia wyzwoliła Chersoń, Oleszki stały się miastem frontowym. Sytuacja pogorszyła się dramatycznie po wysadzeniu tamy Kachowskiej Elektrowni Wodnej w czerwcu 2023 r. Miasteczko dotkliwie ucierpiało podczas powodzi, według ukraińskich danych mogło zginąć nawet 500 mieszkańców. Codzienność była ponura. Wojska okupacyjne zmuszały dzieci do nauki w rosyjskiej szkole, a dorosłych – do udziału w „referendum" w sprawie przyłączenia obwodu do Rosji. Zdarzały się rabunki i gwałty: – *Kiedy Rosjanie pojawiali się w naszym zaułku, kazałam dziewczynkom się chować. Wyłączamy komputery. Wszystko chowamy. Mąż też miał zakaz wychodzenia* – opowiada POLITYCE mieszkanka Oleszek, ewakuowana dzięki pomocy wolontariuszy.

Obecnie miasto jest niemal opustoszałe. Pozostało w nim ok. 2 tys. osób, w tym 50 dzieci. Od maja nie ma dostaw żywności i leków. Mieszkańcy odcięci są od prądu, wody, ogrzewania. Nie działają służby komunalne. Ucieczka była niemożliwa, bo rosyjska armia zaminowała drogi. Kryzysem humanitarnym zainteresowała się społeczność międzynarodowa. ONZ alarmowała od miesięcy o dramacie, o głodzie w Oleszkach debatował Parlament Europejski. Posłowie apelowali o korytarz humanitarny. Podobnie jak papież Leon XIV. Wszystko na próżno.

Przełomem było wstawiennictwo Melanii Trump – podczas krótkiego zawieszenia broni **ewakuowano 750 osób**, które po długiej podróży dotarły do Ukrainy. Część mieszkańców wolała zostać w Rosji, część nie chciała opuścić miasta. Do Oleszek wpuszczono ukraińskiego rzecznika praw człowieka Dmytra Łubinca, który wystąpił przed kamerami wspólnie ze swoją rosyjską odpowiedniczką Janą Łantratową. Linia frontu ma ponad 1 tys. km, w podobnej sytuacji są mieszkańcy setek innych ukraińskich miejscowości. Do pokoju między Ukrainą a Rosją daleko, ale precedens z Oleszek można byłoby powtórzyć w innych miejscach. Mogłoby to uratować wiele istnień, a pani Trump dać szansę na Pokojową Nagrodę Nobla.

PAWEŁ RESZKA

Orbán szefem świata?



Były premier Węgier **Viktor Orbán** mógłby zostać sekretarzem generalnym ONZ – twierdzi dziennik „Wall Street Journal". Pomysł pojawił się dość przypadkowo. Amerykanie w rozmowach z innymi stałymi członkami Rady rzucili hasło „Ktoś taki jak Orbán". A potem sami doszli do wniosku: „A dlaczego nie Orbán?". Gdy spotkało się to z zainteresowaniem Rosjan i Chińczyków, Biały Dom zaczął promować kandydaturę Węgra.

Do finału jednak daleko. 31 grudnia kończy się kadencja obecnego sekretarza generalnego Portugalczyka António Guterresa. Jego następcę wybierze Zgromadzenie Ogólne ONZ, ale jednego kandydata rekomenduje Rada Bezpieczeństwa. W tym 15-osobowym gronie za kandydatem musi paść dziewięć głosów, przy braku sprzeciwu stałych członków Rady, czyli USA, Rosji, Chin, Wielkiej Brytanii i Francji. Przesłuchania zgłoszonych siedmiorga kandydatów już trwają i dotychczas faworytkami wydawały się Rebeca Grynspan, była wiceprezydentka Kostaryki, i Lana Zaki Nusseibeh, dyplomatka ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Obie kandydatury są zgodne z tzw. kluczem geograficznym – po mężczyźnie z Europy nowym szefem ONZ powinien zostać ktoś spoza Starego Kontynentu, najlepiej kobieta.

Kandydatura Orbána, która nie została jeszcze nawet zgłoszona, nie spełniałaby tego warunku, ale Donaldowi Trumpowi w to graj. Od lat twierdzi, że ONZ w obecnym kształcie jest bezużyteczna, a ludziom z jego zaplecza marzy się przejęcie tej organizacji z rąk liberalnego establishmentu. Orbán świetnie by tu pasował. Jako bohater ruchu MAGA i prawicowej międzynarodówki, byłby „generałem, a nie sekretarzem ONZ", jak twierdzi jeden z rozmówców „Wall Street Journal".

Oczywiście to nie takie proste. Kilka dni temu szef francuskiego MSZ Jean-Noël Barrot powiedział, że tak ważne stanowisko „nie powinno stać się nagrodą pocieszenia dla polityka, który przegrał wybory i został odrzucony przez własny naród". Mocno zareagował również obecny premier Węgier Péter Magyar, który stwierdził, że wybór Orbána na szefa ONZ byłby dobrym pomysłem tylko wtedy, gdyby celem była likwidacja organizacji. Przeciwni są też Brytyjczycy. Jednak kilka pomysłów Trumpa, które początkowo nawet jemu samemu wydawały się niedorzeczne, jak porwanie prezydenta Wenezueli czy atak na Iran, z dnia na dzień stało się oficjalną polityką USA. A jeśli Waszyngton, Moskwa i Pekin się uprą, trudno byłoby wybrać nowego szefa ONZ, który nie będzie Orbánem.

ŁW

© EFREM LUKATSKY/ASSOCIATED PRESS/EAST NEW, MAXIM SHEMETOV/REUTERS/FORUM, JOE RAEDLE/GETTY IMAGES, JESUS VARGAS/GETTY IMAGES, DIEGO RADAMES/EUROPA PRESS/GETTY IMAGES

eprasa.pl b6a46f48ee

Ci uciekają, ci wracają



Z Brazylii uciekł przegrany w prezydenckim wyścigu **Flavio Bolsonaro**. Do Wenezueli, po blisko roku od ucieczki, wróciła liderka opozycji **María Corina Machado**. Bolsonaro zbiegł z kraju dwa dni po niespodziewanej przegranej z legendą lewicy Lulą da Silvą i kilka godzin po deklaracji, że nie zamierza opuszczać Brazylii. W operacji „ucieczka" pomogli: Javier Milei, ultraprawicowy prezydent Argentyny, i Donald Trump, którego administracja od razu po zniknięciu Bolsonaro z radarów wymiaru sprawiedliwości ogłosiła, że przyzna zbiegowi i jego rodzinie wizy. Przy granicy z Brazylią, w Argentynie, czekał prywatny samolot, który przetransportował go na Florydę. W liście do rodaków z USA Bolsonaro ogłosił się najpierw „prawdziwym prezydentem", a po autokorekcie – „liderem" kraju. Chyba nawet nim nie będzie, bo do roli lidera prawicy zgłosił się 51-letni Tarcisio de Freitas, który wygrał wybory na gubernatora najbogatszego stanu – São Paulo. Ma on co najmniej dwie przewagi – wygrał i jest na miejscu. W przyszłości chce kandydować na prezydenta.



Nad Bolsonaro wisi miecz kilku procesów – o pranie pieniędzy z zakładów hazardowych, o nielegalne wykorzystanie w kampanii wyborczej pieniędzy, które dostał od szemranego bankiera na film o swoim ojcu Jairze „Dark Horse". Eksprezydent Bolsonaro, który cztery lata temu przegrał z Lulą wyścig o prezydenturę, odsiaduje w areszcie domowym wyrok 27 lat więzienia za próbę zamachu stanu po przegranej. Inny Bolsonaro, Eduardo (syn Jaira i brat Flavia), zaszył się w USA, bo w kraju skazano go na cztery i pół roku więzienia za próby ingerowania w proces ojca. Zwycięzca Lula powiedział, że zapewne Brazylia jest ojczyzną rodziny Bolsonaro, ale drugą; pierwszą są USA.

Porażkę Bolsonaro od razu uznano za złą prognozę dla Trumpa przed wtorkowymi połówkowymi wyborami do Kongresu i Senatu. Czy jako makijaż wykorzysta teraz powrót do Wenezueli liderki opozycji? Wielu liczyło, że po zbrojnej interwencji USA i usunięciu uzurpatora Nicolása Maduro 3 stycznia br., Trump doprowadzi do wyborów i/lub odda stery władzy laureatce pokojowego Nobla. On jednak postawił na ludzi starego reżimu, posłusznie wykonujących jego rozkazy. P.o. prezydent Delcy Rodríguez zapowiedziała nowe wybory, ale nie podała daty. Z kolei Machado ogłosiła, że zmiany demokratyczne są już nieodwracalne. Wenezuela wymaga podniesienia się z ruin – politycznych i tych po czerwcowym trzęsieniu ziemi. Zrobiłaby to lepiej bez „braterskiej pomocy" Trumpa. Brazylia też się bez niej obejdzie.

ARTUR DOMOSŁAWSKI

Hiszpańskie nieszczęścia

Wielka **katastrofa kolejowa** pod Toledo – druga na tej samej linii w tym roku, w obu wypadkach zginęło ponad sto osób – wystawia na próbę morale kraju znękanego kryzysem mieszkaniowym, codzienną drożyzną i gwałtownymi protestami ulicznymi. A także kampanią wyborczą w związku z przedterminowymi wyborami parlamentarnymi. 29 listopada rozstrzygnie się, czy końca dobiegnie sanchismo. Tym pogardliwym terminem prawicowa opozycja określa ośmiolecie rządów lewicowego premiera Pedro Sáncheza, który jej zdaniem podporządkował interes państwa uporczywemu trwaniu przy władzy. Teraz ofiarami jego nieudolności i afer korupcyjnych mieli paść pasażerowie dwóch pociągów dużych prędkości.

Tajemnica dotychczasowych sukcesów Sáncheza tkwi w umiejętności pokonywania przeciwności losu. W okresie tuż sprzed katastrofy – mimo nastroju wielu niepowodzeń, w tym pamiętny szturm tysięcy migrantów na Ceutę – notowania kierowanej przez niego PSOE, Hiszpańskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej, zaczęły się lekko poprawiać i gonić prowadzącą centroprawicową Partię Ludową, PP. Sánchezowi pomaga, że Partido Popular nie wyklucza powyborczego mariażu z radykałami z partii VOX. Takiego połączenia obawiają się wyborcy bardziej centrowi, skłonni w imię większego dobra sporo premierowi wybaczyć.

Katastrofa i trzydniowa żałoba narodowa wygładziły kanty zawieszonej na chwilę kampanii. Wyważony w sądach – „Hiszpanie zasługują na odpowiedzi" – był lider PP i ewentualny przyszły premier Alberto Núñez Feijóo. Wyłamał się jedynie VOX, który wprost zarzucił rządowi zabijanie Hiszpanów. Skrajna prawica wyszła też na ulice i starła się z policją, dochodząc do wniosku, że to odpowiednie miejsce na debatę o bezpieczeństwie na torach.



Najdłuższa w Europie (3,2 tys. km) sieć szybkich kolei stała się źródłem narodowej dumy i symbolem skoku w nowoczesność. Regularne katastrofy (w 2013 r. w Galicii zginęło 80 osób) stawiają jednak pytania o stan infrastruktury. Pod Toledo na awarię systemu sygnalizacji nałożył się prawdopodobnie błąd ludzkiego dyspozytora. Strajkujący po wypadku kolejarze zwrócili uwagę, że to mantra rządzących próbujących odwrócić uwagę od rezultatów swoich zaniechań. Kolejne rządy wolały bowiem przecinanie wstęg nowych inwestycji, zamiast przeznaczania środków na mniej spektakularne remonty, często odwlekane. Linia Madryt–Sewilla wyposażona jest w system zabezpieczenia ruchu założony w 1992 r. Pierwotnie montaż nowej instalacji miał się zakończyć w styczniu mijającego roku, ale modernizacja wciąż trwa.

JW

eprasa.pl b6a46f48ee

Akcja



Jarosław Kaczyński i Mariusz Gosek próbują sforsować ogrodzenie Trybunału Konstytucyjnego

eprasa.pl b6a46f48ee

pod Trybunałem

Wojnę o Trybunał rząd Tuska wygrać musi, choć koszty będą duże. Pytanie, czy nie będzie to zwycięstwo pyrrusowe i czy ma szansę przetrwać wybory w 2027 r.

MICHAŁ DANIELEWSKI

Nikt nie powinien był być specjalnie zaskoczony, kiedy w piątek Waldemar Żurek w roli prokuratora generalnego wysyłał wnioski o uchylenie immunitetu szefa Trybunału Konstytucyjnego, pod TK pojawiła się policja, a sędzia Anna Korwin-Piotrowska odsuwała Bogdana Święczkowskiego od pełnienia obowiązków prezesa. Eskalacja była przecież zapowiadana przez premiera Donalda Tuska, zaś od momentu złożenia przysięgi przez byłego współpracownika szefa rządu, a dziś sędziego Macieja Berka, stała się tylko kwestią czasu. Były minister otwarcie deklarował, że sprawa Trybunału zostanie rozwiązana jeszcze przed świętami, nie dodał tylko, że chodzi o Święto Zmarłych. Jednak trzeba powiedzieć, że jest to moment adekwatny i znaczący: mamy bowiem do czynienia z bitwą o instytucjonalne truchło. Prezes PiS Jarosław Kaczyński skutecznie zarżnął Trybunał już ponad dekadę temu i na razie nic nie wskazuje na zmartwychwstanie.

Sytuacja poza kontrolą

W tym sensie odrobinę pocieszne bywają prawne przepychanki autorytetów, czy sędzia Korwin-Piotrowska użyła odpowiednich paragrafów i ustaw do uzasadnienia przejęcia (na razie tymczasowego) władzy w TK, ponieważ mamy do czynienia z konfliktem czysto politycznym. Dlatego trudno skalpelem naprawić to, co w minionych latach zostało zniszczone siekierą. Nie decydują tu finezyjne interpretacje paragrafów, tylko siła: egzekutywy, medialnych obrazków, narzucanych w sieci interpretacyjnych narracji. Biorąc pod uwagę, że mówimy o sądzie konstytucyjnym, który powinien być bijącym sercem zdrowej demokracji, jest to wyjątkowo przygnębiający opis sytuacji, ale takie dziś w Polsce panują reguły gry. A wprowadziło je Prawo i Sprawiedliwość, o czym w debacie publicznej coraz częściej się zapomina, jakby wśród migających obrazków, setek internetowych postów i wyrażanych na każdy możliwy temat efektownych opinii, pamięć części komentatorów nie sięgała poza 2023 r.

Tymczasem obecna rola sądu konstytucyjnego jako instytucji pozbawionej wiarygodności i społecznego zaufania jest dziełem Jarosława Kaczyńskiego. Na tym przecież polegał cel ataku PiS na Trybunał w 2016 r.: chodziło o zdemontowanie bezpiecznika ustrojowego w ten sposób, by jedynym źródłem kształtowania rzeczywistości była „wola suwerena", czyli de facto siła polityczna większości parlamentarnej, nieograniczana przez żadne zasady i zapisy prawne. To się prezesowi udało, TK jest obecnie bytem czysto teoretycznym, który jednak nie może ulec likwidacji, bo jest wymieniany w konstytucji. Dziś co prawda Kaczyński jest przegranym takiego stanu rzeczy, ale na pewno już planuje, jak wykorzysta tę sytuację, gdy znowu uda mu się dojść do władzy.

Jednak dopóki to nie nastąpi, górą w obecnej odsłonie konstytucyjnej wolnoamerykanki będzie Donald Tusk, mimo że sam proces „odzyskiwania" Trybunału nie przebiega aż tak gładko, jak się spodziewano, choć plan był pomyślany sprytnie. Szef dyplomacji Radosław Sikorski na spotkaniu ministrów grupy G20 w Atlancie zabezpieczał flankę amerykańską, prezydent Donald Trump był zajęty wyborami połówkowymi, prezydent Karol Nawrocki miał zaplanowaną wizytę w dalekim Senegalu, a czas przedświąteczny nie sprzyjał nadzwyczajnej mobilizacji zwolenników PiS. Sam proces technicznego przejmowania TK przypominał zaś do złudzenia analogiczną akcję w TVP: Święczkowskiemu po prostu „wyłączono sygnał", przejmując kontrolę nad stroną internetową i budynkiem w Alei Szucha. Pełniąca obowiązki szefowa TK Anna Korwin-Piotrowska szybko w nowej roli zaczęła występować w mediach, siedząc w fotelu prezesa na tle polskich flag, co akurat nie było do końca przemyślane: w ten sam sposób przed laty zwykła dodawać sobie autorytetu Julia Przyłębska. Jednak najważniejszym błędem obozu rządowego było niedocenienie determinacji prezydenta.

Nawrocki zawrócił lecący do Afryki samolot, wydał na „X" komunikat o sytuacji nadzwyczajnej, a po kilku godzinach wylądował w Warszawie, gdzie spotkał się z pierwszym prezesem Sądu Najwyższego. Wszystko to w atmosferze październikowej nocy, telewizyjnych czerwonych pasków i policji z tarczami pod Trybunałem wywoływało przynależną Halloween atmosferę społecznej grozy. O rozluźnienie atmosfery dbali tylko politycy PiS, ogłaszający w tym samym czasie poszukiwania ślusarza ze szlifierką, by wyrwać trybunalskiemu ogrodzeniu zęby krat. Ale było to jedynie krótkie, rozrywkowe interludium przed bardzo nieprzyjemną w odbiorze eskalacją. Po północy Nawrocki wraz z całą prezydencką kolumną, ze współpracownikami i funkcjonariuszami SOP przyjechał pod Trybunał, przecisnął się przez kordony policji i po krótkiej szarpaninie z sędzią Korwin-Piotrowską wdarł się do budynku. Filmiki z tych wydarzeń rodem z republiki bananowej zaczął w sieci publikować sędzia Berek, co tylko potęgowało poczucie istnego pandemonium.

Opinia publiczna podzieliła się w ocenie sytuacji według sympatii politycznych: dla jednych słynący z upodobania ▶

© JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

eprasa.pl b6a46f48ee

▶ do fizycznych starć zaatakował kobietę, dla drugich naruszono nietykalność i autorytet głowy państwa. Istotniejsze jednak, że obóz rządowy nie był przygotowany na tak radykalną reakcję Nawrockiego, a sytuacja wymknęła się spod kontroli. Zamiast operacji pod hasłem przywracania konstytucyjnego ładu zobaczyliśmy obrazki, które w oczach mniej zaangażowanych obywateli były kompromitujące dla całej klasy politycznej. Pojawiły się interpretacje, że wszystko to zostało zaplanowane i starannie przemyślane, ale jeśli coś wygląda na chaos – to najprawdopodobniej jest to po prostu chaos. Prawica była zachwycona interwencją Nawrockiego, ale po prawdzie trudno powiedzieć, co prezydent konkretnie osiągnął swoją akcją, której najbardziej znaczącym elementem było sforsowanie wejścia, poza tym efektów brak. Była to więc wizyta czysto wizerunkowa dla jego wyborców, ale tak wygląda dzisiejsza polityka obrazkowa.

Siadaj, Mateusz

Pozostałe elementy politycznego spektaklu pod Trybunałem są już do bólu przewidywalne. Jarosław Kaczyński wykorzystuje sytuację do dyscyplinowania mniejszych prawicowych partii, które nie miały wyjścia i musiały karnie pojawić się pod TK, by zasygnalizować elektoratowi swój sprzeciw wobec „bezprawnych działań reżimu Tuska". Kaczyński jako nieformalny gospodarz tego ulicznego happeningu przyjął ich ciepło, niczym ojciec dobrotliwie przytulający wracające do domu niesforne latorośle. Gdy prezes PiS zauważył w tłumie Morawieckiego, rzekł ze swojego krzesła patriarchy: „No słuchaj, słuchaj Mateusz, jedność to jedność, siadaj tutaj". Były premier heroicznie ustał i obok prezesa nie usiadł, rozumiejąc dobrze, że byłby to gest absolutnego poddaństwa. Ale sytuacja jego formacji stała się nieciekawa i coraz mocniej przypomina kondycję Solidarnej Polski Zbigniewa Ziobry, który w 2012 r. podczas marszu w obronie telewizji Trwam, przyduszony przez okoliczności i presję Kaczyńskiego, piskliwym głosem deklarował: „Wszyscy razem, razem wygramy".

Szamocze się również Konfederacja, która usiłuje zjeść ciastko i mieć ciastko. Z jednej strony mówi więc o próbie zamachu stanu, a Krzysztof Bosak wygłasza pod TK płomienne przemówienia o demokracji, z drugiej Sławomir Mentzen deklaruje, że „wojna o Trybunał jest w interesie PiS, Platformy i Putina", sygnalizując równy dystans do Kaczyńskiego i Tuska. Na demonstracji pojawił się również Grzegorz Braun, który wezwał do interwencji wojsko i pokłócił się z posłem PiS Mariuszem Goskiem, zarzucając mu wprowadzanie „reżimu covidowego". Na koniec zaś pstryknął sobie słodkie zdjęcie z Jarosławem Kaczyńskim, które wielokrotnie będziemy oglądać aż do wyborów, bo dla koalicji 15 października jest to wymarzony symbol zagrożenia rządami PiS w sojuszu z prorosyjską skrajną prawicą.

Wiele mówi się o tym, że sytuacja pod TK zjednoczyła obóz prawicowy, ale wydaje się, że to przedwczesne kalkulacje. Z całą pewnością mamy do czynienia ze wzmocnieniem PiS, co Mentzen, Bosak, Morawiecki i Braun będą się starali przeczekać. Dziś finalizacja jakichkolwiek porozumień na prawicy byłaby dla nich bardzo niekorzystna, dlatego rozmowy o pakcie senackim pod egidą Karola Nawrockiego w następnych tygodniach raczej nie nabiorą tempa. Do tego mamy wysyp wzajemnie sprzecznych inicjatyw politycznych po prawej stronie oraz licytacji, która z nich ma sens, a która nie. Tak więc Konfederacja chce złożyć uchwałę o samorozwiązaniu Sejmu, z kolei Rozwój Plus proponuje konstruktywne wotum nieufności, z Markiem Jurkiem jako kandydatem na premiera. Nic przy tym nie wskazuje, żeby szanse obu tych inicjatyw były większe od zera, bo obóz koalicji 15 października w obliczu kryzysu pozostaje w miarę spójny.

Opowieści o resecie

Pod ewentualne podziały w koalicji ustawia się Nawrocki, solennie zapewniając, że jego największym marzeniem jest uporządkowanie sytuacji wokół sądu konstytucyjnego. Jest to szczególny rodzaj bezczelności podpalacza opowiadającego o pilnej potrzebie gaszenia pożarów, ale warto podkreślić, że taka postawa prezydenta rezonuje z nastrojami społecznymi. Niedawne badanie IBRiS pokazywało, że w sprawie Trybunału Polacy albo są podzieleni klasycznie według sympatii partyjnych (z lekką przewagą racji Nawrockiego w sprawie Trybunału), albo – i to zdecydowanie największa grupa – uważają, że żadna ze stron w tym sporze nie ma racji. Można mieć jednak poważne wątpliwości, czy po gwałtownym, nocnym najściu na Trybunał Nawrocki może jeszcze dla tej grupy odgrywać rolę arbitra. Ale na pewno się stara.

Temu służyły konsultacje z klubami parlamentarnymi w Pałacu Prezydenckim, na które z obozu władzy udały się PSL i Polska 2050. Ale wypowiedzi po tych rozmowach nie zwiastują ewentualnego pęknięcia w koalicji. Co prawda zarówno Władysław Kosiniak-Kamysz, jak i Szymon Hołownia dużo mówią o potrzebie tzw. resetu konstytucyjnego, a sekundują im w tym Konfederacja, Rozwój Plus i Razem, natomiast bez zgody dwóch największych partii to scenariusz ciekawy, być może nawet pożądany, ale kompletnie nierealny. Resetu nie chce Kaczyński, deklarując, że wszelkie opowieści o bezprawiu w czasach PiS to „wielkie kłamstwo". De facto wykluczył go również w orędziu telewizyjnym Tusk, nazywając szkodliwym symetryzmem opowieści o „porozumieniu złodzieja z ofiarą kradzieży".

Rzeczywiście w opowieści politycznej o resecie walka o Trybunał jest przykładem niszczącej państwo polaryzacji i walki „dwóch partyjnych plemion" o podział łupów. Nie sposób też nie zauważyć, że debata dotycząca „opcji zero" rozgorzała akurat w chwili, kiedy to PiS ma stracić władzę w Trybunale, a prezydent Nawrocki na rympał rozszerza swoje konstytucyjne uprawnienia. W logice obecnego sporu wezwania do resetu konstytucyjnego są tak naprawdę wezwaniami do politycznej kapitulacji Donalda Tuska. Jest więc jasne, że muszą zostać przez premiera odrzucone.

Pytanie jednak, czy cały obóz władzy pozostanie zdyscyplinowany i konsekwentnie wierny twardej linii, jeśli Nawrocki będzie angażował w spór kolejne instytucje (a już zapowiada się uchwała połączonych izb Sądu Najwyższego potępiająca „zamach na TK"), przyszłe kroki w „odzyskanym" Trybunale będą zaś rodziły nowe wątpliwości prawne. Wiadomo przecież, że nadzieje na przekabacenie dwóch „starych sędziów" najpewniej okazały się płonne, co powoduje, że odwołanie Święczkowskiego przez Zgromadzenie Ogólne Trybunału będzie wymagało prawnej ekwilibrystyki na olimpijskim poziomie.

Karykatura Obrony Demokracji

Niewiadomą pozostaje również mobilizacja prawicowej opinii publicznej w obronie Trybunału. Na razie nie wygląda to nadmiernie imponująco, a protesty pod TK jawią się jak rysowana grubą kreską nieudolna karykatura dawnych demonstracji przeciwko rządom PiS.

eprasa.pl b6a46f48ee



Prawica była zachwycona interwencją Nawrockiego, ale po prawdzie trudno powiedzieć, co prezydent osiągnął swoją akcją, której najbardziej znaczącym elementem było sforsowanie wejścia, poza tym efektów brak.

Wydaje się, że Kaczyński nie chce (a może po prostu nie potrafi) zrozumieć, że szczególnie w swojej fazie początkowej protesty przeciwko demontażowi instytucji demokratycznych za czasów władzy PiS były sprzeciwem całkowicie spontanicznym. To był wyraz szczerego gniewu wobec niszczenia świata przez lata budowanego, oswojonego i zaakceptowanego przez szeroko rozumianą mieszczańską klasę średnią, niezależnie od jej ideowych różnic. Stąd na protestach w obronie ówczesnego Trybunału Konstytucyjnego byli nie tylko wyborcy PO, Nowoczesnej. Pojawiali się też zdegustowani politykami wyborcy Kukiza i lewicowi aktywiści partii Razem, którzy wyświetlali na fasadzie kancelarii premiera wezwanie do drukowania wyroków TK. To był bardzo szeroki sprzeciw nie tylko wobec łamania demokratycznych zasad, ale również prosta, intuicyjna niezgoda na wypychanie Polski z orbity świata zachodniego. Stąd na byle proteście w Warszawie czy Poznaniu z własnej, nieprzymuszonej woli meldowało się po kilkanaście tysięcy osób, co później w jeszcze zwielokrotnionej skali powtórzyło się podczas demonstracji po aborcyjnym wyroku Trybunału Julii Przyłębskiej i Krystyny Pawłowicz.

Jednak w świecie Kaczyńskiego to nie były działania oddolne, lecz odgórne – starannie zaplanowane, zorkiestrowane i hojnie finansowane. W jego wizji tłumy na ulicach działały wedle woli Tuska, Schetyny, Sorosa, Merkel i zjednoczonych w nienawiści wobec polskich patriotów europejskich elit. A skoro oni mogli wygnać tłumy na ulice, to może też i dziś zrobić to PiS – taka to logika. Na razie nie wytrzymuje ona zderzenia z rzeczywistością, ale kluczowa w zwiększaniu presji na rząd będzie postawa sympatyków Konfederacji i Korony Grzegorza Brauna. Na razie nie sposób ocenić, czy się zaangażują, czy też uznają, że – posługując się braunowską retoryką – „to nie nasza wojna". Testem będzie Marsz Niepodległości 11 listopada. Zobaczymy wtedy, czy typowa dla tego wydarzenia nacjonalistyczna forma i treść przerodzi się w demonstrację zbieżną z hasłami PiS. Że atmosfera będzie napięta i antyrządowa – to pewne. Warto będzie jednak zwracać uwagę na szczegóły.

Wojna wojną, ale co potem?

Scenariusz na najbliższe tygodnie wydaje się względnie znany. Tusk nie cofnie się o milimetr, a w razie kłopotów formalnych konstruowane będą nowe kreatywne sposoby, by sprawę „odzyskiwania" Trybunału doprowadzić do końca. Między bajki należy raczej włożyć hipotezy o referendum konstytucyjnym albo innych działaniach, które miałyby rozładować ten konflikt. Wojna o TK stała się bowiem erzacem rozliczeń władzy PiS: nie udało się nikogo skazać, nic nie wyszło z zatrzymania Zbigniewa Ziobry, który czmychnął za ocean, wbrew zapowiedziom Donalda Tuska „nie wyprowadzono gościa" z NBP, więc niejako w zastępstwie wyprowadzono Święczkowskiego z Trybunału. Zwłaszcza że Święczkowski na symbol rozliczeń PiS nadaje się jak mało kto: niesympatyczny zastępca Ziobry, szef służb za władzy Kaczyńskiego i człowiek od zadań specjalnych, rzucony swego czasu przez PiS na odcinek prokuratorski. Trudno mu będzie odgrywać rolę niewinnej ofiary reżimu.

Nie da się jednak zauważyć, że triumf w bitwie o TK może być zwycięstwem pyrrusowym. Instytucja, która nie jest akceptowana choćby przez część opozycji, będzie musiała działać w sposób fasadowy, bez właściwej legitymizacji i umocowania, ciągle negowana i podważana. Jedyną szansą na dłuższe trwanie Trybunału w wywalczonym teraz stanie byłoby ponowne zwycięstwo wyborcze w 2027 r.; w przeciwnym razie TK zostanie rozpędzony w pierwszych dniach nowej władzy

Skrajną naiwnością polityczną byłoby traktować z dobrą wolą nagłe wezwania do naprawy sytuacji w Trybunale padające ze strony nowej formacji Mateusza Morawieckiego czy obozu prezydenckiego. Jednak nie da się nie zauważyć, że wśród części klasy politycznej z młodszego pokolenia oraz wśród prawników, których trudno byłoby posądzać o nadmierną sympatię wobec Prawa i Sprawiedliwości, narasta irytacja i zmęczenie „wojną o praworządność". Ta bowiem zdaje się prowadzić donikąd oraz mieć tendencję do reprodukowania się bez końca w kolejnych cyklach politycznych. Dziś jeszcze są to głosy w pewnym sensie dysydenckie, bo w ostrym politycznym boju dzielenie włosa na czworo nie jest najbardziej pożądaną kompetencją, ale w bliższej lub dalszej przyszłości jakiś rodzaj szerszego konsensu w sprawie Trybunału wydaje się jednak niezbędny.

W każdej wojnie zwycięstwo na froncie to dopiero początek, dalece ważniejsze jest, jak zostanie zaprojektowany ład powojenny. Stąd pytanie, czy obóz rządowy po zademonstrowaniu politycznej siły i sprawczości potrafi cofnąć się o pół kroku i zaproponować rozwiązania dotyczące Trybunału wykraczające perspektywą poza obecną kadencję Sejmu. A jeśli to zrobi, czy chociaż część opozycji będzie skłonna takie rozwiązania poprzeć. Powodów do optymizmu raczej brak.

MICHAŁ DANIELEWSKI

© MACIEJ BEREK/PORTAL X

eprasa.pl b6a46f48ee

TEMAT TYGODNIA

Alko-rewolucja u bram?



ILUSTRACJA MAGDALENA MAMAJEK-MICH

Koniec promocji i reklam, nocna prohibicja w całym kraju, a może nawet zakaz sprzedaży małpek; trwa polityczna ofensywa antyalkoholowa. Chodzi o zdrowie czy politykę?

CEZARY KOWANDA

O tak szerokie poparcie w Sejmie dziś trudno. W październikowym głosowaniu za ograniczeniem sprzedaży, promocji i reklamy alkoholu byli posłowie niemal wszystkich klubów, także opozycyjnych PiS i Rozwój Plus – łącznie aż 400 osób na sali plenarnej. Wyłamała się tylko Konfederacja, wierna swoim libertariańskim poglądom. Po długich targach w łonie obozu rządzącego udało się przekonać wszystkie partie koalicyjne do akceptacji projektu przygotowanego na bazie pomysłów zgłoszonych przez Lewicę i Polskę 2050.

Zaskakujące okazało się poparcie ustawy przez większość prawicy, bo jej radni w wielu samorządach jeszcze niedawno krytykowali na przykład pomysły nocnej prohibicji. A gdy rządził PiS, pozbył się Krzysztofa Brzózki, wieloletniego szefa Polskiej Agencji Rozwiązywania Problemów Alkoholowych (PARPA) – znanego orędownika zwiększania obostrzeń. Sama zaś PARPA straciła niezależność i została połączona z Krajowym Biurem do spraw Przeciwdziałania Narkomanii w Krajowe Centrum Przeciwdziałania Uzależnieniom.

Nowa ustawa musi jeszcze przejść przez Senat i uzyskać podpis prezydenta. To pierwsze będzie proste, to drugie niekoniecznie, chociaż teoretycznie obalić weto Karola Nawrockiego nie powinno być trudno. Chyba że w międzyczasie PiS i Rozwój Plus znowu zmienią zdanie lub z powodów politycznych nie będą chciały sprzeciwiać się decyzji prezydenta. Tegoroczne badania CBOS przynoszą odpowiedź na pytanie, dlaczego zdecydowana większość polityków po latach wątpliwości stała się gotowa na zaostrzenie polityki antyalkoholowej w naszym kraju. Niemal 70 proc. pytanych przez CBOS jest za nocnym zakazem sprzedaży alkoholu w sklepach i na stacjach benzynowych, tylko 23 proc. sprzeciwia się temu rozwiązaniu. Co ciekawe, podziały polityczne nie mają w tym przypadku wielkiego znaczenia. Nocną prohibicję popiera co prawda więcej osób o poglądach lewicowych (76 proc.) i centrowych (74 proc.), ale także wśród wyborców prawicowych jest wyraźna większość zwolenników (62 proc.).

Podobnie wygląda odpowiedź na pytanie o całkowity zakaz reklamy alkoholu, w tym piwa – 70 proc. pytanych jest za, a 22 proc. przeciw. Jeszcze bardziej jednoznaczna jest akceptacja skuteczniejszego egzekwowania zakazu sprzedaży alkoholu nieletnim (poparcie na poziomie 94 proc.) i zakazu spożycia napojów z procentami w miejscach publicznych („tak" mówi 84 proc.). Nieco bardziej podzieleni są Polacy w temacie kontrowersyjnych małpek, czyli małych butelek z wysokoprocentowym alkoholem. Jednak i w tym przypadku mamy większość za wprowadzeniem zakazu ich sprzedaży. Tak mówi 64 proc. ankietowanych przez CBOS – tylko 25 proc. chce dalej móc kupować małpki.

Ustawa to kompromis, ale i tak budzi kontrowersje. Najmniejsze chyba dotyczą nocnej prohibicji, bo ona została już gruntownie przetestowana, a poza tym ponad 91 proc. Polaków pytanych przez CBOS deklaruje, że w nocy alkoholu i tak nie kupuje. Zakaz sprzedaży takich napojów w godzinach między 22.00 a 6.00 mogły dotąd wprowadzać poszczególne gminy na swoim terenie. Na razie zrobiło to ponad 200 samorządów, w tym sporo dużych miast (pionierem był Kraków). Efekty wszędzie są podobne – spadek (choć w różnym zakresie) liczby interwencji policji i straży miejskiej w godzinach nocnych, bo nie ma awantur pod sklepami otwartymi wcześniej całą dobę.

Wbrew przewidywaniom części lokalnych polityków krytykujących uchwały o prohibicji nie doszło do rozkwitu melin ani do masowego upadania małych sklepów. Nowe przepisy zakładają, że między godz. 22 a 6 rano nie będzie wolno sprzedawać alkoholu w sklepach i na stacjach benzynowych w całej Polsce, niezależnie od decyzji gmin. Samorządy dostaną za to możliwość rozszerzenia tej prohibicji, aby zaczynała się już o godz. 21, a kończyła dopiero o godz. 9. Ale tak jak dotychczas, ograniczenia nie będą dotyczyć gastronomii – w barach i restauracjach alkohol może być serwowany przez całą dobę, bez żadnych ograniczeń. Także w miejscach, gdzie z tego powodu dochodzi do częstych naruszeń ciszy nocnej.

Drugi ważny przepis, który również nie budzi większych protestów, to zakaz cenowych promocji przy sprzedaży alkoholu. On, w przeciwieństwie do nocnej prohibicji, może jednak znacząco zmienić wart ponad 50 mld zł rocznie rynek, bo dziś zwłaszcza dyskonty walczą o klientów ofertami typu 5+5 czy 10+10, w ramach których można kupić większą ilość piwa o połowę taniej. Takie promocje jeszcze kilka lat temu organizowano przy okazji majówki czy świąt, a teraz są już stałym elementem gazetek handlowych. Wkrótce mają stać się nielegalne. Teoretycznie może to pomóc małym sklepom, których nie stać na tak atrakcyjne oferty, a to właśnie w nich sprzedaż alkoholu stanowi sporą część obrotów i jest niezbędna do przetrwania. Jednak duże sieci handlowe z pewnością spróbują obchodzić nowe regulacje. Mogą po prostu okresowo obniżać ceny wybranych piw czy mocniejszych alkoholi bez zaznaczania na półce, że chodzi o promocję. Spostrzegawczy klient na pewno bez problemu się zorientuje, jaką markę opłaca się w danym momencie kupić.

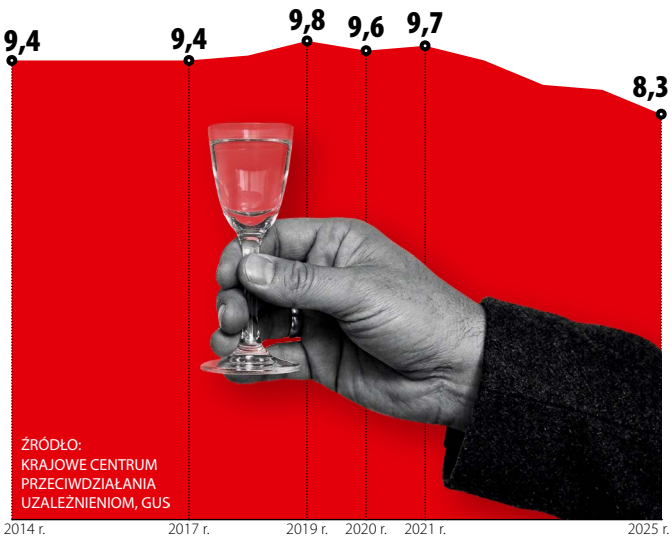
Posłowie zrezygnowali z postulowanego przez ekspertów rozwiązania, jakim byłoby wprowadzenie minimalnej ceny, uzależnionej od zawartości alkoholu w konkretnym produkcie. Gdyby na przykład przyjąć, że jeden procent alkoholu na każdy litr musi kosztować przynajmniej dwa złote, to półlitrowe piwo pięcioprocentowe mogłoby być sprzedawane za minimum pięć złotych. Co ciekawe, przeciwko zakazowi promocji nie protestują producenci piwa. Nieoficjalnie przyznają, że nie mają wpływu na oferty w dyskontach, które w ten sposób walczą o klienta z mniejszymi punktami. Podobno atrakcyjne promocje nie powodują wcale, że piwa sprzedaje się łącznie więcej. Po prostu kupujemy na zapas.

Za to browary biją na alarm w innym temacie. Największe emocje w nowej ustawie wywołuje wprowadzenie bezwzględnego zakazu reklamy piwa. Do tej pory można je było promować w ograniczonym zakresie – na przykład w telewizji po godz. 20. Teraz nie będzie to możliwe, a obostrzenia obejmą też piwo bezalkoholowe, jeśli jego marka jest taka jak piwa z alkoholem. Przemysł piwny stanie przed dylematem: pozostawić dotychczasowe nazwy piw bezalkoholowych, które do tej pory były po prostu odpowiednikiem tych z alkoholem, czy też podjąć ryzyko i tworzyć zupełnie nowe marki i znaki graficzne. Zakaz reklamy ma inne konsekwencje dla dużych i dla małych browarów. Te pierwsze muszą znaleźć nowe rozwiązania, aby ▶

eprasa.pl b6a46f48ee

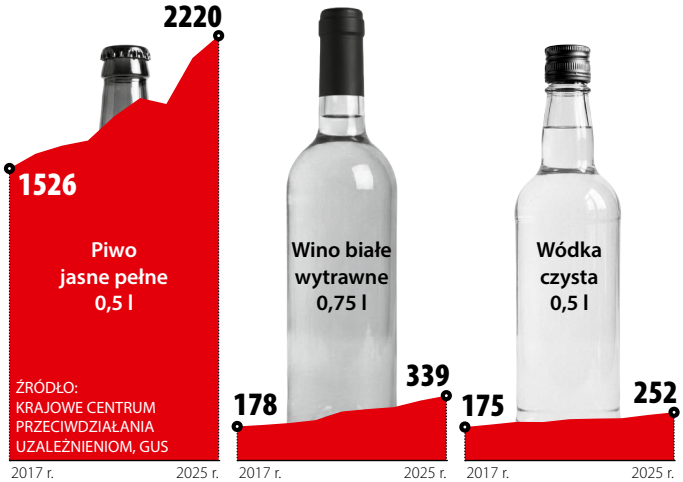
Ile pijemy?

Łączne spożycie czystego alkoholu na osobę (w litrach)



Na ile alkoholu nas stać?

Ile butelek można kupić za przeciętne wynagrodzenie?



© INFOGRAFIKI LECH MAZURCZYK

▶ dotrzeć do klientów na masową skalę. Zwłaszcza że nic im nie da już na przykład sponsorowanie klubów sportowych czy imprez lokalnych. Logo i nazwa piwa nie mogą być, zgodnie z nowymi przepisami, widoczne na koszulkach, na stadionach, a nawet na parasolach w ogródkach restauracyjnych czy na sklepowych lodówkach z napojami.

Inny problem mają małe, często rodzinnie prowadzone browary rzemieślnicze, które przecież nie reklamują się w telewizji ani na stadionach. – *Nie będziemy mogli w żaden sposób przekazywać klientom informacji o naszych produktach i o tradycji piwnej. Nam nie przeszkadza standardowy zakaz reklamy, ale uznanie każdej formy komunikacji o piwie – na przykład poprzez media społecznościowe – za reklamę. Duże marki są wyryte w świadomości konsumentów. A jeśli nas pozbawi się możliwości informowania o naszych wyrobach, to po prostu przestaniemy istnieć, co zabetonuje rynek piwny* – podkreśla Marek Kamiński, prezes Polskiego Stowarzyszenia Browarów Rzemieślniczych.

Takich browarów jest w Polsce ok. 250. Marek Kamiński przekonuje, że zależy im na uzyskaniu możliwości analogicznych do tych, jakie dostaną w nowej ustawie winiarze. Ci są szczęśliwi, bo w ostatniej chwili przed głosowaniem całej ustawy posłowie zaakceptowali poprawkę zgłoszoną przez PSL. Ludowcy dali do zrozumienia, że nie poprą projektu, jeśli nie przeforsują zmian korzystnych dla winiarzy, którzy są przecież rolnikami. Legalne pozostaną wydarzenia enokulinarne, takie jak imprezy, targi, festyny, pokazy czy konkursy. Poza tym jako reklama nie będzie traktowany tzw. przekaz informacyjno-kulturalny. Według ustawy to „rozpowszechnianie treści o charakterze historycznym, kulinarnym, edukacyjnym, kulturalnym lub turystycznym odnoszących się do wyrobów winiarskich, ich tradycji i dziedzictwa, które nie zawierają elementów zachęcających do nabywania lub nadmiernego spożywania napojów alkoholowych". O podobnej poprawce marzą teraz małe browary.

Wyjątek uczyniony dla winiarzy może mieć poważne skutki. Wprowadza różne traktowanie producentów alkoholu, co daje świetny pretekst prezydentowi, by ustawę skierować do Trybunału Konstytucyjnego. Poza tym winiarska poprawka wymaga notyfikacji do Komisji Europejskiej, co dodatkowo może opóźnić wejście w życie wszystkich przepisów. A posłowie chcą, by te zaczęły obowiązywać już od początku przyszłego roku.

Przeciwnicy nowych regulacji wskazują, że obostrzenia nie są potrzebne, skoro i tak pijemy coraz mniej. Rzeczywiście, według danych GUS konsumpcja alkoholu spada systematycznie od 2021 r. Wówczas na każdego mieszkańca Polski przypadało rocznie niemal 10 litrów czystego alkoholu, tymczasem w ubiegłym roku ten wskaźnik zmalał do 8,3 litra, a w tym roku będzie zapewne jeszcze niższy. Szczególnie poszkodowany jest przemysł piwowarski. – *W ciągu ostatnich siedmiu lat produkcja piwa w Polsce spadła z ok. 41 do 33 mln hektolitrów rocznie. Obserwujemy równocześnie znaczny wzrost sprzedaży piw w wariantach bezalkoholowych, które stanowią już niemal 10 proc. całego rynku piwa w Polsce. Jednak rosnąca popularność takich napojów nie zmienia faktu, że piwa warzy się w naszym kraju coraz mniej. Efekt to zamykanie browarów – w ostatnich latach na przykład w Leżajsku i Namysłowie – oraz coraz słabsze wykorzystanie mocy produkcyjnych w tych istniejących* – podkreśla Bartłomiej Morzycki, dyrektor generalny Związku Pracodawców Przemysłu Piwowarskiego – Browary Polskie. Spada również sprzedaż mocnych alkoholi – tylko w pierwszej połowie tego roku o ok. 20 proc. w porównaniu z analogicznym okresem w 2025 r.

Ta tendencja nie jest raczej związana z cenami alkoholu, bo chociaż te rosną, to zdecydowanie wolniej od wynagrodzeń. Pomaga w tym ostatnio sam prezydent, który pod koniec 2025 r. zawetował podwyżkę akcyzy o 15 proc., postulowaną przez rząd. W efekcie akcyza wzrosła w tym roku tylko o 5 proc. Koalicja chce, aby w przyszłym roku zwiększyła się o kilkanaście procent (dodatkowe wpływy mają trafić do Narodowego Funduszu Zdrowia), ale nie wiadomo, co tym razem postanowi Karol Nawrocki, który przecież obiecał swoim wyborcom, że żadnego podwyższania podatków nie będzie. Efekt łagodnej polityki akcyzowej widać w statystykach. Od lat rośnie tzw. dostępność cenowa alkoholu – czyli za przeciętne wynagrodzenie możemy go kupić coraz więcej. Na przykład w 2017 r. średnie zarobki starczały miesięcznie na ok. 1,5 tys. półlitrowych butelek piwa albo 175 półlitrowych

eprasa.pl b6a46f48ee

porcji wódki. Tymczasem w ubiegłym roku za przeciętną pensję można już było sobie pozwolić na 2,2 tys. piw lub ponad 250 butelek wódki.

Spadek spożycia alkoholu to przede wszystkim efekt zmiany podejścia do tego produktu. W tegorocznych badaniach CBOS 73 proc. Polaków zadeklarowało, że zdarza im się pić alkohol. Dużo, ale w 2019 r. takich osób było 81 proc. CBOS podkreśla, że pijących jest w Polsce najmniej w blisko 30-letniej historii badań prowadzonych przez tę pracownię. Równocześnie rekordowy okazuje się odsetek abstynentów – wynosi już 23 proc. (siedem lat temu 16 proc.). Co ciekawe, główne argumenty przeciwko piciu to nie tylko dbanie o zdrowie, ale także brak potrzeby konsumowania alkoholu. Tak deklaruje aż 79 proc. najmłodszych respondentów (grupa wiekowa 18–24 lata). Najbardziej lubimy wino i piwo. Oba trunki mają po mniej więcej jednej trzeciej wskazań, ale to pierwsze zyskuje na popularności, a to drugie traci. Tak samo jak wódka, za to coraz więcej osób przyznaje, że lubi inne alkohole wysokoprocentowe, np. whisky.

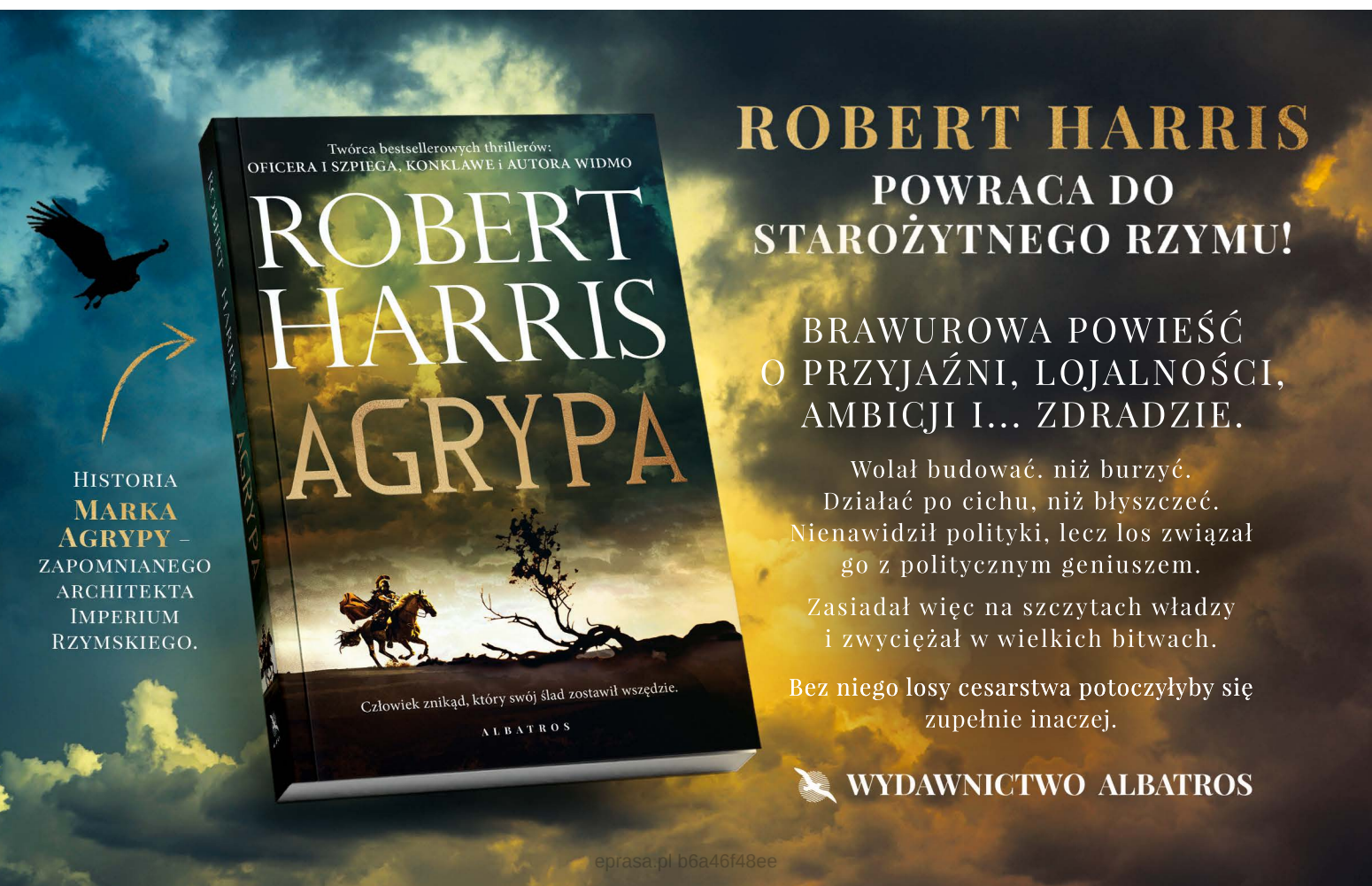
Czy zatem zaostrzenie przepisów jest potrzebne? – *Tak, bo sama ilość spożywanego alkoholu na osobę nie mówi jeszcze wszystkiego. Mamy ogromne rozwarstwienie. Z jednej strony młodzi przejrzeli na oczy i piją mniej. Niestety, równocześnie w starszych grupach wiekowych obserwujemy wzrost spożycia alkoholu, zwłaszcza po pandemii. Rośnie śmiertelność, na przykład z powodu marskości wątroby. Naszym problemem jest model picia w niektórych grupach społecznych. Rocznie umiera z powodu chorób spowodowanych przez alkohol 30–35 tys. osób, a tendencja jest rosnąca. Poza tym zwróćmy uwagę, że ostatnie spadki doprowadziły nas na razie do poziomu sprzed ok. 20 lat. Wciąż konsumpcja alkoholu jest w Polsce wyższa niż na początku tego wieku* – podkreśla Krzysztof Brzózka, były prezes PARPA.

Nie wiadomo, czy i kiedy ustawa uchwalona przez Sejm wejdzie w życie, ale już trwają dyskusje o kolejnych przepisach. Na celowniku części posłów są zwłaszcza małpki – ich sprzedaży chce zakazać tak gorliwy ostatnio w walce z alkoholem PiS. Gdyby rzeczywiście zniknęły z rynku (ich dzienna sprzedaż przekracza milion sztuk), rozwiązałby się przy okazji inny problem. Małpki leżą często potłuczone na chodnikach i w parkach, a Ministerstwo Klimatu i Środowiska nalega na objęcie ich systemem kaucyjnym, czemu stanowczo sprzeciwiają się ich producenci oraz sklepy. Na razie dodatkowych obostrzeń uniknęły stacje benzynowe, które mogą sprzedawać alkohol – oczywiście poza okresem nocnej prohibicji.

Stacje uratował pewnie powtarzany przez nie często jeden argument: jeśli nie będą mogły zarabiać na piwie czy wódce, to podniosą ceny paliw. Jednak pojawia się pomysł tzw. sprzedaży bezwitrynowej. Alkohol na stacjach byłby wciąż dostępny, ale nie byłby od razu widoczny, lecz schowany za nieprzezroczystą szybą. Poza tym powróci pewnie dyskusja o minimalnych cenach alkoholu, bo zakaz promocji z pewnością nie spowoduje, że ze sklepów znikną piwa za dwa czy trzy złote. Czas pokaże, czy polityczne wzmożenie rzeczywiście doprowadzi do dalszego spadku picia. I czy potrwa dłużej niż do najbliższych wyborów.

CEZARY KOWANDA

REKLAMA



eprasa.pl b6a46f48ee

Wielki powrót w małej partii

Szymon Hołownia znów poczuł się potrzebny. Po pozbyciu się z partii Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz, która otwarcie krytykowała własny rząd, wrócił do swojej ulubionej roli mediatora między dwoma zwaśnionymi plemionami. Teraz znowu on będzie badał cierpliwość premiera.

JOANNA SAWICKA,
MICHAŁ PIEDZIUK



eprasa.pl b6a46f48ee

W sobotę, w dzień po nocnych wydarzeniach przed i w Trybunale Konstytucyjnym, wicemarszałek Sejmu wybrał się jako przedstawiciel klubu Polska 2050 na konsultacje do prezydenta Karola Nawrockiego. Po rozmowie mówił dziennikarzom: „To, co się wydarzyło wczoraj w nocy w Trybunale Konstytucyjnym, nie doprowadzi do jego uzdrowienia, nie podniesie jego prestiżu, nie sprawi, że jego rozstrzygnięcia będą szerzej uznawane. Pogłębi to tylko przekonanie, że Trybunał jest tym czymś, co wyrywa sobie jedna i druga strona sceny politycznej. W tej sytuacji kluczem i najważniejszą odpowiedzią powinna być polityczna trzecia droga, dialog, rozmowa i porozumienie".

Widać, że Hołownia – w funkcji tymczasowego lidera Polski 2050 – stara siebie zbudować jako dążącego do dialogu i porozumienia polityka, który podobnie jak wicepremier Kosiniak-Kamysz ma dojście do prezydenta Nawrockiego.

Sama Pełczyńska-Nałęcz być może żałuje teraz, że nie poczekała ze swoją dymisją na bardziej doniosły moment, jakim są toczące się od weekendu wydarzenia wokół Trybunału. Choć jej los był w rządzie od dawna przesądzony, długo zdawała się czekać na to, aż to premier ją wyrzuci. Tak się jednak nie stało. Zrezygnowała sama 22 października – jak pisała – w reakcji na sejmowe głosowanie w sprawie zniesienia dwukadencyjności wójtów, burmistrzów i prezydentów. Rządowa koalicja – zgodnie z oczekiwaniami i dążeniami Pełczyńskiej-Nałęcz – głosowanie przegrała i projekt przepadł. W efekcie tłumaczenie się ministry w sprawie swojej rezygnacji było dość karkołomne. Gdyby poczekała tydzień, mogłaby podać klarowniejszy powód dymisji. Jednak pospieszyła się. I w efekcie po piątkowych wydarzeniach w TK napisała, że gdyby nie to, że odeszła tydzień wcześniej, odeszłaby teraz. Drugi raz się jednak nie da.

I tak Hołownia został nieformalnym liderem Polski 2050. I znów, jak przed laty, może przekonywać, że zawsze dążył i będzie dążył do kompromisu i jest gotowy rozmawiać z każdą ze stron politycznego konfliktu, co już zresztą kiedyś udowodnił, spotykając się w godzinach nocnych z prezesem PiS Jarosławem Kaczyńskim w mieszkaniu europosła Adama Bielana, po wyborach prezydenckich w lecie 2025 r. Co zresztą zaszkodziło notowaniom jego partii i pogłębiło kryzys w tym ugrupowaniu.

Poskromione roszczenia

Pełczyńska-Nałęcz, odchodząc, złośliwie wskazała Hołownię jako swojego następcę w kierowaniu Polską 2050. „Partię zostawiam w rękach jej założyciela, który odszedł, ale jednak wrócił. Życzę mu, by przypomniał sobie, w imię jakich wartości szedł do władzy". Hołownia w pierwszych chwilach po dymisji ministry zabrał się do kierowania swoim środowiskiem z całkiem dużym zapałem. Już następnego dnia zorganizował długą konferencję, podczas której odgrażał się premierowi, że odebranie jego partii resortu funduszy poskutkuje odejściem z rządu pozostałych polityków formacji. Hołownia na tle Sali Kolumnowej przez niemal pół godziny perorował o powyborczych ustaleniach, umowie koalicyjnej i obietnicach tylko po to, aby kilka dni później pokornie zgodzić się na przejęcie Ministerstwa Funduszy przez premiera.

Ten bez ceregieli nową ministrą uczynił zaufaną w kwestiach unijnych i silnie umocowaną w Brukseli Agnieszkę Bartol. I tak: Polska 2050 pewnie będzie miała w resorcie wiceministra, może dwóch, ale na dziś to maksimum jej możliwości negocjacyjnych. Hołownia następnie już tylko zapowiadał kolejne rozmowy z premierem o udziale Polski 2050 „w odpowiedzialności za sprawy kraju" i przekonywał, że on sam do żadnego resortu się nigdy nie wybierał.

Trudno nie mieć wrażenia, że to właśnie Tusk jest największym wygranym tej przepychanki z Polską 2050. Pełczyńskiej-Nałęcz premier i tak nie chciał mieć w rządzie, a jej własna dymisja zdjęła z niego odpowiedzialność i utrudniła politycznie narrację o tym, że stała się polityczną ofiarą Tuska i jego koalicjantów. Wakat w resorcie funduszy i słabość Hołowni otworzyły przed Tuskiem szansę na wprowadzenie do ważnego w roku wyborczym, bo rozdzielającego grube unijne miliardy resortu jego bliskiej współpracowniczki (pomagała Tuskowi m.in. w czasie jego pięciu lat szefowania Radzie Europejskiej).

Ponadto jeszcze większe polityczne osłabienie Polski 2050 niewątpliwie pomoże też Tuskowi w układance partyjnej, kiedy przyjdzie do koalicyjnych rozmów o wspólnej liście. Pełczyńska-Nałęcz za to, po niespełna 10 miesiącach zarządzania partią, pozostawia po sobie formację rozbitą, na którą nie miała pomysłu, do której prowadzenia nie miała ani politycznego drygu, ani energii i potrzebnych cech liderskich. Wszystko to zgrabnie podsumował Michał Danielewski z POLITYKI, pisząc o Pełczyńskiej-Nałęcz, że „odchodzi w trybie focha, ograna przez Hołownię, co w sumie komentuje się samo".

Ostatni Mohikanie

Ugrupowanie jest dziś nieco dziwacznym tworem. Posiada 15-osobowy klub w Sejmie złożony głównie z posłów, którym nie udało się zaistnieć ani zbudować szerszej rozpoznawalności w kończącej się powoli kadencji. Obok samego Hołowni oraz Pawła Śliza, który pełni ważną funkcję szefa sejmowej komisji sprawiedliwości, klub można podzielić na kilka towarzyskich grupek, np. trzech konserwatystów ze Śląska – Kamil Wnuk, Łukasz Osmalak i Piotr Strach – według naszych rozmówców światopoglądowo nieco podobnych do PiS. Dwóch kolejnych konserwatystów – Bartosz Romowicz z Podkarpacia i Piotr Górnikiewicz z Małopolski – ideologicznie, słyszymy, plasuje się nieco bliżej Konfederacji.

Do tego dochodzą cztery niespecjalnie wyróżniające się posłanki: Ewa Schädler, Bożenna Hołownia, Wioleta Tomczak i Maja Nowak – ta ostatnia przez pół roku pełniła funkcję wiceministry w resorcie rodziny. Jest też Agnieszka Buczyńska, niegdysiejsza szefowa struktur i ministra ds. społeczeństwa obywatelskiego, dziś z powodów zdrowotnych często nieobecna w Sejmie. Jest Adam Gomoła, niegdyś wykluczony z partii i klubu, po tym jak „Nowa Trybuna Opolska" opublikowała stenogramy nagrań, według których Gomoła miał być zamieszany w handel miejscami na listach Trzeciej Drogi w wyborach samorządowych. Przyjęty z powrotem, gdy Polska 2050 po rozłamie i odejściu frakcji Pauliny Hennig-Kloski w lutym tego roku potrzebowała dodatkowego posła, by utworzyć klub w Sejmie.

Na tle tej grupy rozpoznawalnością i aktywnością medialną wyróżnia się na pewno wiceminister cyfryzacji i poseł Michał Gramatyka, który trzyma się blisko Hołowni i kibicuje jego współpracy z PSL. I na koniec – jest jeszcze kolejny niewyróżniający się poseł Adam Luboński, zajmujący się w Sejmie sportem. Co ich dziś łączy? Złośliwi mówią – wspólnota stołków. I trudno ▶

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl b6a46f48ee

▶ mieć inne wrażenie. Bo już nie program, sprawy do załatwienia na pokolenie, a nie kadencję, czy poglądy. Nie łączy ich też osoba lidera, którego w partii właściwie nie ma, bo do Hołowni wszyscy już podchodzą z dystansem i rezerwą, wiedząc, że czas, gdy potrafił być silnym przywódcą i spoiwem środowiska, minął bezpowrotnie. Ale nie jest też tak, że w Sejmie spodziewany jest szybki rozpad klubu Polska 2050. Bo utrzymanie jego jedności zapewnia temu środowisku dodatkowe pieniądze i stanowiska, funkcje w sejmowych komisjach, a także tych kilka posad w rządzie.

Po odejściu Pełczyńskiej-Nałęcz w rękach Polski 2050 pozostał już tylko resort kultury zarządzany przez Martę Cienkowską. Polityczka jest w partii lubiana, ale nawet działacze jej własnego ugrupowania przyznają, że z resortem nie radzi sobie najlepiej. Do tego dochodzi dziewięcioro wiceministrów, mniej lub bardziej związanych z partią – a ta pula po negocjacjach Hołowni z Tuskiem ma się powiększyć. Niektórzy spośród wiceministrów Polski 2050 odgrywają zresztą istotną rolę w rządzie, jak choćby wiceminister klimatu Krzysztof Bolesta, który odpowiada za polskie negocjacje w sprawie rewizji systemu ETS (z drugiej strony stracił niedawno kontrolę nad Narodowym Funduszem Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, który niechętna Polsce 2050 ministra klimatu Paulina Hennig-Kloska przekazała swojemu współpracownikowi w resorcie wiceministrowi Sławomirowi Ćwikowi). Albo wiceminister rozwoju Michał Baranowski, odpowiedzialny za międzynarodowe partnerstwa gospodarcze.

Wiceminister spraw zagranicznych Ignacy Niemczycki z kolei ma na agendzie negocjacje przyszłych wieloletnich ram finansowych Unii. Ta trójka akurat z Polską 2050 nie jest blisko związana i nie ma nawet pewności, czy ewentualna decyzja Hołowni albo kolejnego lidera partii o wyjściu z rządu wiązałaby się koniecznie z ich dymisją. Ponadto partia utrzymuje stanowisko wicemarszałka Sejmu (zajmuje je Hołownia), więc jest to zasób – jak na dość ograniczone wpływy, notowania i możliwości – wciąż całkiem spory.

Wyborczy „potencjał"

W partii szykowane są wewnętrzne wybory. Hołownia zdążył już zapowiedzieć, że on sam w nich nie wystartuje (choć zmienianie zdania, szczególnie w sprawie politycznych planów, to znana cecha tego polityka). Według ostatnich informacji kandydatem na nowego lidera ma być poprzedni szef klubu, poseł Paweł Śliz. Jak sam twierdzi, będzie miał w tych wyborach konkurencję, bo w partii jest „bardzo dużo, bardzo wyrazistych osób, które mogą piastować tę trudną funkcję w trudnych czasach".

Poparcie w sondażach Polska 2050 ma nikłe i nic nie wskazuje, żeby mogło się to zmienić. Według średniej sondażowej, liczonej przez Politykę Insight na koniec października, średnie poparcie dla niej wynosi 1,3 proc. Trudno nawet analizować tę grupkę wyborców pod kątem struktury społecznej czy poglądów, tak bardzo jest nieliczna. Nie jest zresztą łatwo znaleźć powody, dla których wyborcy mieliby przy Polsce 2050 trwać. Partia ma wprawdzie też struktury krajowe (po wyjściu Pełczyńskiej-Nałęcz część z nich może odejść do nowego stowarzyszenia byłej ministry), a nawet pieniądze pochodzące z subwencji – mówi się o około milionie złotych. Ale jej przyszłość wydaje się więcej niż niepewna. „Jesteśmy ugrupowaniem, które może okazać się potrzebne, nawet jeśli dzisiaj nie wszystkim jeszcze jest potrzebne. Bo jesteśmy w szale totalnej, idiotycznej polaryzacji, świętej wojny o pietruszkę między dwoma świętymi obozami" – przekonywał niedawno Hołownia (już po dymisji Pełczyńskiej-Nałęcz) podczas forum w Krynicy.

Trudno się zresztą z nim nie zgodzić w sprawie tego, że na spolaryzowanej politycznie scenie brakuje jakiejś trzeciej drogi, która zaproponowałaby centrową alternatywę dla z jednej strony koalicji rządowej, a z drugiej – prawicy. Ale to już nie będzie rola ani Hołowni, ani Polski 2050, bo potrzebna jest świeżość, wiarygodność i silny lider, a dziś żaden z tych elementów zdaje się nie pasować do tej formacji.

Wydawać by się mogło, że odejście Pełczyńskiej-Nałęcz to dobry moment, by wrócić do współpracy z Unią Centrum, czyli frakcją Pauliny Hennig-Kloski, która z Polski 2050 odeszła właśnie ze względu na konflikt z byłą już ministrą funduszy. Jednak, jak słyszymy, o tym nie ma mowy. – *Za dużo nas dzieli, za dużo się wydarzyło w międzyczasie – wzajemnych oskarżeń, nagrywania rozmów. Chodzi nie tylko o to, że nie ma między nami zaufania. My przestaliśmy do siebie pasować* – mówi nam poseł Unii Centrum. Problemem jest też to, że również w środowisku Hennig-Kloski nikt już nie traktuje poważnie Hołowni. On zresztą próbował dwukrotnie w ostatnich miesiącach – jeszcze przed dymisją Pełczyńskiej-Nałęcz – sklejać te dwa środowiska. – *Zarówno wtedy nie miało to sensu, jak i teraz nie ma* – słyszymy w Unii Centrum.

Nie można z kolei wykluczyć jakiejś formy współpracy części Polski 2050 z PSL. „Trzecia Droga już się nie powtórzy; inne są realia, inny jest moment" – mówił niedawno szef MON, prezes PSL Władysław Kosiniak-Kamysz. Ale powiedział też, że możliwy jest powrót do „normalnej, dobrej współpracy" PSL i Polski 2050, bo relacje Hołowni z prezesem ludowców pozostają przyjazne. Ale ani Polska 2050 nie dałaby dziś ludowcom już tego, czego wyborczo potrzebują, czyli względnej pewności przejścia przez próg wyborczy, ani Hołownia nie zdołałby namówić na taką współpracę całej partii, bo większość klubu większe nadzieje pokłada we współpracy z KO. I choć nawet wielu z tych polityków nie robi sobie nadziei na biorące miejsce na liście wyborczej, to taka współpraca mogłaby zaowocować możliwością zahaczenia się działaczy małej, rozbitej formacji gdzieś na niższym szczeblu w samorządzie. I tak to zapewne będzie, szczególnie w obliczu coraz bardziej prawdopodobnego sojuszu KO i PSL na wybory do Sejmu.

Z Polski 2050 za kilka miesięcy zapewne niewiele zostanie, a jej nieliczni, najbardziej rozpoznawalni działacze może dostaną jakieś miejsca na liście szerszej koalicji. Nie brak opinii, że Centrum nie chce wracać do Polski 2050 również z tego powodu, że wydaje im się, iż przez secesję i lojalność wobec premiera są bliżej organizowanych przez KO list wyborczych niż ludzie Hołowni, zatem nie chcą tracić tego *pool position*.

A co będzie dalej z Hołownią? Tego najpewniej nie wie on sam, który co kilka tygodni oficjalnie lub nieoficjalnie przedstawia dla siebie nowe polityczne scenariusze. Wicepremier, minister kultury, ambasador w Watykanie, lider Polski 2050. – *Przyszłość Hołowni? My się tym nie zajmujemy, dla nas to nie ma znaczenia* – mówi POLITYCE ważny działacz Lewicy. – *Z tymi plotkami o różnych planach Hołowni nawet nie chodzi o to, że one są nieprawdziwe. On po prostu ciągle zmienia zdanie i nie da się go traktować poważnie.* Powrót marszałka trudno więc nazwać triumfalnym. Ale nie można do końca wykluczyć, że do jakiejś układanki może jeszcze okazać się przydatny.

JOANNA SAWICKA, MICHAŁ PIEDZIUK

eprasa.pl b6a46f48ee

Na każdy temat z każdej strony

Poranek TOK FM

Aleksandra Karasińska



tokfm

Ściągnij app i słuchaj.

eprasa.pl b6a46f48ee



Polska Partia Samochodowa

Ta nieistniejąca partia doprowadziła do zmiany władzy w Krakowie i co rusz daje o sobie znać w innych miastach. Jakim cudem?

ZBIGNIEW BOREK

Mniej niż PiS, KO czy Nowa Lewica partia samochodowa nie ma centralnego kierownictwa, list wyborczych ani spójnego programu. Reprezentuje ludzi, którzy na co dzień mogą się ze sobą nie zgadzać, ale jednoczą się, kiedy ktoś ogranicza im możliwość korzystania z samochodu – albo tak im się wydaje. To gigantyczny elektorat, bo na 30,6 mln dorosłych przypada w Polsce aż 21 mln osobówek. – *Z ich właścicielami muszą się liczyć zarówno prezydenci metropolii, jak i burmistrzowie mniejszych miast, a to oznacza, że są istotną siłą* – mówi dr hab. Łukasz Młyńczyk, politolog z Uniwersytetu Warszawskiego.

Marta Żakowska, antropolożka i badaczka miejska, twierdzi, że naszymi miastami rządzi samochodowy populizm: „Auta współkształtują wszystkie konteksty naszego życia prywatnego

eprasa.pl b6a46f48ee



Przebudowana ul. Złota w Warszawie. To, czym chwali się prezydent Rafał Trzaskowski, budzi oburzenie posiadaczy samochodów.
Na fot. po lewej: **zakorkowane przedmieścia Krakowa.**

i społecznego oraz ogromną część konfliktów miejskich". Z tej perspektywy lepiej też widać stawkę niedawnej wojny o ceny paliw na szczytach władzy.

Uzależnieni od samochodu

„Dlaczego samochody stoją na chodniku?" – zapytał trzyletni Julek, gdy w drodze do przedszkola musiał wyminąć rowerkiem rząd zaparkowanych pojazdów. Doszedł do wniosku, że jest ich za dużo, na dodatek śmierdzą. „Auta wjeżdżają nam do kołysek, a motoryzacyjne pragnienia towarzyszą dorastającym ludziom aż do inicjacji, gdy wszystkie nastolatki powinny zrobić prawo jazdy. A potem kupić – lub dostać od rodziców – samochód i usiąść za kierownicą (...) samochód staje się więc dla wielu z nas symbolem sukcesu i tożsamości podbudowanym utrwalanymi od małego nawykami" – tak napisała mama Julka, czyli Marta Żakowska.

W książce „Autoholizm. Jak odstawić samochód w polskim mieście" z 2023 r. przekonuje, że nasza relacja z samochodami oparta jest na głębokim społecznym i psychologicznym uzależnieniu: „Samochód króluje w języku, wartościach, pragnieniach, kodach hierarchii społecznej, wizjach szczęścia, wyobrażeniach wolności i ocenach rzeczywistości". Jak dowodzi, to koncerny motoryzacyjne przekształciły świat i naszą świadomość tak, aby były kompatybilne z ich produktem. W świecie zachodnim stało się to już w drugiej połowie XX w., a u nas na dobre zaczęło się wraz ze zmianą ustrojową.

Konserwatywny think tank Klub Jagielloński wyliczył, że w latach 1993–2016 komunikacja autobusowa poza terenami miejskimi skurczyła się o 50 proc. i straciła trzy czwarte podróżnych. Proces trwa. W latach 2014–22 linie komunikacji autobusowej w kraju uległy skróceniu o połowę, w tym linie o charakterze regionalnym niemal o dwie trzecie. W tym samym czasie budujemy jednak parkingi, autostrady i ekspresówki, stawiając samochód w centrum życia większości Polek i Polaków.

Według Instytutu Badań Rynku Motoryzacyjnego SAMAR od 1989 r. liczba osobówek zwiększyła się w Polsce czterokrotnie: z 4,85 mln do nieco ponad 21 mln pod koniec 2025 r. (plus 3,1 mln aut, które od lat nie są eksploatowane, ale nie trafiły na złom). W roku przełomu ustrojowego przypadało u nas ok. 125 samochodów na tysiąc mieszkańców, dziś – aż 611. Według Eurostatu zajmujemy pod tym względem szóste miejsce w Unii Europejskiej, przed m.in. Niemcami i Francją. Szkopuł w tym, że samochód zarejestrowany w Polsce ma średnio 16,2 lat (12,7 w UE), a fundament polskiej motoryzacji stanowią jeszcze starsze roczniki 2006–08. I choć aut z roku na rok nam przybywa (509 tys. w 2025 r.), to odsetek starych nie spada, co też stanowi klucz do zrozumienia siły nieformalnej Polskiej Partii Samochodowej.

Poligon Kraków

Poligonem doświadczalnym tej nowej PPS stał się Kraków, druga co do wielkości metropolia w Polsce. *„Partia samochodowa", rozumiana jako doraźna reprezentacja grupy interesów, mogła być częścią procesu, który doprowadził do odwołania prezydenta Krakowa i zastąpienia go politykiem o odmiennych poglądach nie tylko na kwestię ruchu ulicznego* - mówi dr Zofia Smełka-Leszczyńska, psycholożka, badaczka i doradczyni marszałka sejmu. Jest też radną Warszawy, ale pochodzi z Krakowa - współpracowała ze sztabem Darii Gosek-Popiołek i analizowała lokalne nastroje. - *Okazało się, że osoby, które na co dzień mogą lokować swoje sympatie polityczne od prawa do lewa, jako kierowcy samochodów - zwłaszcza mieszkający daleko od centrum i pokrzywdzeni dodatkowo przez skrócenie biletu komunikacji miejskiej do 15 minut - znaleźli wspólny głos.*

Chodzi o strefę czystego transportu (SCT) przyjętą ostatecznie w czerwcu 2025 r. Objęła 60 proc. powierzchni Krakowa, ale niemal cały miejski obszar zurbanizowany. Wywołała fale protestów m.in. komitetu Kraków dla kierowców, skargi do sądu i w końcu wniosek o referendum w sprawie odwołania prezydenta Aleksandra Miszalskiego z KO. – *Wspólnie z nami protestowali ludzie, którzy nie popierają naszych poglądów politycznych. Niektórzy głosowali wcześniej na KO i Miszalskiego* – mówi Wojciech Jaskółka, pełnomocnik komitetu Kraków dla kierowców i działacz Ruchu Narodowego. Wraz z żoną mają dwa samochody i nie widzi powodu, dla którego miasto miałoby ograniczać jego prawo do korzystania z nich, a tak traktuje wprowadzenie SCT. Ci, którym do politycznych poglądów narodowców daleko, w tej akurat sprawie są z nimi zgodni. Spoiwem społecznego oburzenia okazały się też podwyżki cen biletów miejskiej komunikacji, ▶

© BEATA ZAWRZEL/REPORTER, WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl b6a46f48ee

▶ wydłużenie godzin płatnego parkowania i opłaty za parkowanie w niedziele, a także sam sposób wprowadzenia strefy.

– *Jedni protestowali z powodów merytorycznych, inni politycznych, ale ekipa Miszalskiego wszystkich wrzuciła do jednego worka i traktowała jak wrogów. To też ich zjednoczyło* – mówi Krzysztof Kubas, Krakowianin pisujący artykuły o motoryzacji, który podkreśla, że od polityki trzyma się z daleka. Sam proponował zmiany w projektowanej strefie dotyczące historycznych samochodów (jest posiadaczem BMW z 1995 r.). Wskazywał absurdy, takie jak ten, że w obrębie strefy znalazły się parkingi systemu „park and ride" (parkuj i jedź), co uderza w kierowców przesiadających się do publicznej komunikacji. – *Odbijałem się od ściany* – mówi.

Gdy Miszalski został odwołany w majowym referendum, przeciwnicy strefy ogłosili, że była głównym powodem jego upadku. Analiza Joanny Sawickiej i Macieja Misztala z Polityki Insight (na podstawie badań pracowni Opinia24 dla More in Common Polska) wykazała jednak bardziej złożony obraz. Najważniejszymi powodami odwołania prezydenta były: podwyżki cen biletów komunikacji miejskiej (39 proc.), zadłużenie miasta (35 proc.) i niezadowolenie z rozwoju Krakowa (31 proc.). Strefę czystego transportu jako główny powód wskazało 26 proc. ankietowanych. Co więcej, aż 72 proc. Krakowian opowiada się za SCT, a jedynie 13,8 proc. sprzeciwia się jej w jakiejkolwiek formie. Zdecydowana większość prezentuje postawę „SCT tak, ale ze zmianami", jak obniżka cen biletów komunikacji czy uzależnienie wjazdu od realnej emisji spalin, a nie od rocznika pojazdu.

Nie zmienia to faktu, że przed wrześniowymi wyborami na prezydenta partia samochodowa wymusiła licytację na deklaracje: Michał Drewnicki (popierany przez PiS) zapowiedział likwidację strefy, niezależny Łukasz Gibała proponował referendum, Monika Piątkowska (KO/PSL) chciała okrojenia strefy i nowych konsultacji. Ograniczenia strefy chcieli kandydat Socjaldemokracji Polskiej Sławomir Pietrzyk oraz Jan Hoffman – szef Rady Dzielnicy I Stare Miasto, który był twarzą referendum, ale z wyborów ostatecznie się wycofał. Daria Gosek-Popiołek z Lewicy i Aleksandra Owca z Partii Razem postulowały korekty, a Michał Klimek (Konfederacja Korony Polskiej) zamierzał wysłać uchwałę o strefie do kosza. – *Polityka sprowadziła się w Krakowie do kwestii ważnych przede wszystkim dla posiadaczy samochodów, dla których transport publiczny nie był satysfakcjonującą alternatywą* – komentuje badaczka Smełka-Leszczyńska.

Pozostawieni w tyle

W badaniach dr Anety Kosteleckiej, przeprowadzonych w 2015 r. w Gdańsku, Krakowie, Poznaniu, Warszawie, we Wrocławiu i Rzeszowie, ponad 70 proc. kierowców dojeżdżających samochodami do centrów mogłoby tam dotrzeć komunikacją zbiorową, i to bez przesiadek. Średni czas podróży autem wynosił 24 minuty, autobusem czy tramwajem zaledwie pięć minut więcej, jednak nawyki kulturowe i poczucie wygody przemawiają na korzyść czterech kółek. I to jest gleba, na której rośnie partia samochodowa.

Potencjalny jej członek to często ideowy wolnościowiec, reagujący alergicznym oporem na wszelkie próby narzucania mu, co jest dobre dla zbiorowości, zwłaszcza w wydaniu proekologicznym. Do PPS mógłby się jednak zapisać każdy, dla kogo auto stanowi warunek sprawnego funkcjonowania i źródło poczucia niezależności. Może to być mieszkaniec podmiejskiej sypialni, który bez samochodu nie dojedzie do miasta. Raport Anny Pruszyńskiej z Fundacji Pole Dialogu („W obronie zadbanego Cinquecento" z 2024 r.) opisuje grupę tzw. *left behinds* (pozostawieni w tyle) – mieszkańców i mobilnych rzemieślników z gmin ościennych, którzy czuli się pomijani w konsultacjach dotyczących strefy w Krakowie. Do PPS mógłby też należeć rodzic, który wozi dziecko do przedszkola, szkoły, ogarnia zakupy i dojeżdża do pracy, a także mieszkaniec miejscowości, z której zniknął autobus i pociąg. Z zeszłorocznego badania CBOS wynika, że co czwarty Polak zgłasza brak lub poważne problemy z komunikacją. Od 2007 r. odsetek osób wybierających samochód, motocykl czy skuter, by dojechać do szkoły lub pracy, wzrósł z 43 do 68 proc. Samochodem porusza się regularnie ok. 85 proc. mieszkańców wsi i małych miast, gdy w metropoliach powyżej 500 tys. mieszkańców – 64 proc.

– *Wspólny interes nie oznacza jednakowych poglądów. Taki ruch potrafi jednak przyciągnąć lokalnych polityków, którzy wietrzą w tym swój interes, a w skali krajowej nadwerężyć mity, jak choćby ten, że „młodzi, aspirujący, z dużych miast" to wyłączny rezerwuar wyborczy KO* – mówi dr hab. Młyńczyk z Katedry Teorii Polityki i Myśli Politycznej Uniwersytetu Warszawskiego. Podkreśla, że partia samochodowa raczej nie zagości na polskiej scenie politycznej na stałe. Takie próby zresztą były – np. w 2019 r. zainaugurowała działalność Partia Kierowców. Zapowiadała walkę o lepsze prawo drogowe, rozsądną komunikację i „przejezdną infrastrukturę", ale skończyła swój byt, popierając Konfederację.

Nie przez przypadek tygodniami obserwowaliśmy też niedawno wojnę premiera Tuska i prezydenta Nawrockiego o ceny paliw: elektorat kierowców ją na pewno zapamięta. Partia samochodowa ujawnia się jednak raczej w konkretnych sytuacjach lokalnych: kiedy znika parking, pojawia się opłata za parkowanie, zmienia się organizacja ruchu albo ratusz ogłasza, że stary samochód nie wjedzie już do centrum. Młyńczyk: – *Nawet największe projekty i inwestycje ocenia się u nas pod kątem tego, jak wpłyną na ruch uliczny i czy powstaną parkingi, najlepiej tanie albo darmowe. Inaczej ryzykuje się irytację kierowców, a to może się przerodzić w ruch społecznego sprzeciwu o trudnej do oszacowania dynamice.*

Przekonał się o tym nie tylko Kraków. Rada Warszawy przyjęła (głosami KO) uchwałę wprowadzającą SCT przy protestach i okrzykach „Hańba!" i „Marionetki!". Prezydent Rafał Trzaskowski argumentował, że ograniczenia dotyczą zaledwie 2 proc. najstarszych aut, a tworzenie SCT w Polsce wynika z zapisów ustawy o elektromobilności i wymogów Unii. „Bez wprowadzania stref, Polska nie otrzyma ani eurocenta z KPO" – mówił. Politycy PiS, minister klimatu Anna Moskwa i wojewoda mazowiecki Tobiasz Bocheński, zarzucali władzom Warszawy brak dialogu i konsultacji. Analiza portalu Demagog wykazała, że to nie była prawda: konsultacje miejskie trwały trzy miesiące i objęły pięć spotkań na żywo i trzy online, zebrano 3 tys. uwag. Przeprowadzono też badanie opinii, które wykazało, że 69 proc. Warszawiaków popiera utworzenie SCT. Nawet wśród jeżdżących samochodem codziennie zwolennicy strefy stanowili większość – 59 proc., a to znaczy, że partia samochodowa w stolicy reprezentuje hałaśliwą mniejszość.

Emisja emocji

Pierwszym krajem, który już w 1996 r. wprowadził strefy ograniczające dostęp pojazdów, żeby zmniejszyć zanieczyszczenia, była Szwecja. Według raportu „Clean Cities Campaign" (Kampania Czystych Miast) z lipca 2022 r. w Europie funkcjonowało 320 stref niskiej emisji, a do końca 2025 r. miało ich być 500. Opór też przetacza się przez cały kontynent. Hiszpańska

eprasa.pl b6a46f48ee

narodowo-konserwatywna partia Vox usiłowała obalić strefę niskiej emisji w Madrycie. W 2024 i 2026 r. doprowadziła do batalii prawnej na tle raportów o gospodarczym wpływie strefy. Sąd Najwyższy dopatrzył się w nich uchybień, ale madrycka strefa nadal obowiązuje. We Francji Zgromadzenie Narodowe w kwietniu 2026 r. przegłosowało całkowite zniesienie stref niskiej emisji. Skrajnie prawicowy parlamentarzysta Pierre Meurin obwołał to „zwycięstwem nad represyjną ekologią", triumfował też ruch 40 millions d'automobilistes (40 milionów kierowców), ale Rada Konstytucyjna zablokowała likwidację stref. I choć przeciwnicy nie zrezygnowali, to jednak francuskie strefy obowiązują.

Inaczej sprawy potoczyły się w Londynie. Rozszerzenie przez burmistrza Partii Pracy Sadiqa Khana strefy Ultra Low Emission Zone (ULEZ) na wszystkie 32 dzielnice brytyjskiej stolicy (z opłatą 12,50 funtów dziennie dla aut niespełniających norm) wywołało polityczne trzęsienie ziemi. Wybory uzupełniające w okręgu Uxbridge i South Ruislip w 2023 r. wygrali konserwatyści, budując kampanię na sprzeciwie wobec ULEZ. Stacja GB News i prawicowi populiści okrzyknęli strefę wojną z kierowcami i atakiem na uboższych mieszkańców przedmieść. Zamaskowane grupy bojówkarzy niszczyły kamery monitorujące wjazd do strefy.

Ówczesny premier Rishi Sunak z Partii Konserwatywnej skrytykował powiększenie strefy, ale blokowanie tej zmiany odpuścił, bo to wyłączna kompetencja burmistrza Londynu. Rozszerzenie było również przedmiotem skargi do Sądu Najwyższego, który ostatecznie uznał je za zgodne z prawem. Niezależni analitycy zaś wojnę ze strefą ochrzcili mianem populizmu infrastrukturalnego, który wolę „zwykłych ludzi" przeciwstawia elitom, ekspertom albo urzędnikom. „Język populizmu infrastrukturalnego może pomóc w zrozumieniu, w jaki sposób prawicowe ruchy populistyczne mogą znajdować nowe formy i narracje do legitymizacji własnych projektów politycznych" – pisał prof. Ed Atkins z Uniwersytetu w Bristolu. A w lipcu 2024 r. burmistrz Londynu opublikował dane o skutkach rozszerzenia ULEZ: pochodzące z aut zanieczyszczenie na obrzeżach stolicy spadło o jedną piątą.

Jak pokonać ruch oporu

– *Partia samochodowa rośnie w siłę zwykle tam, gdzie władza próbuje zastąpić sprawne zarządzanie miastem czystym zakazem, nie dając nic w zamian. Pogłębione konsultacje społeczne i uwzględnienie racjonalnych interesów jak największej grupy mieszkańców pozwoliłyby najpewniej uniknąć większości problemów* – uważa Młyńczyk, politolog z UW.

Nieco inną receptę wskazuje Tomasz Tosza, fachowiec zajmujący się reorganizacją ruchu ulicznego: – *Zanim zapytamy mieszkańców o zdanie, pokażmy im, jaki mają wybór*. Tak zrobił ze współpracownikami w 80-tysięcznym Jaworznie (woj. śląskie), gdzie pełnił kluczowe funkcje urzędnicze. Jeszcze ćwierć wieku temu Jaworzno było jednym z najbardziej zatłoczonych miast w Polsce. Ulice nieustannie się korkowały, rok w rok notowano ponad 100 wypadków, w tym kilkanaście śmiertelnych. W 2003 r. miasto zamówiło studium transportowe. – *Jego autorzy byli zaskoczeni, że od ówczesnego prezydenta Pawła Silberta nie usłyszeli litanii życzeń, tylko prośbę, aby opracowali kompleksowy dokument* – wspomina. – *Zwykle zamawia się je, bo wymagają tego przepisy albo jako podkładkę dla pozyskania dotacji, a potem lądują na półce. A my ten dokument punkt po punkcie zrealizowaliśmy*.

Najpierw miasto przebudowało jedną ulicę: Wiejską, która była osiedlowym skrótem z szalejącymi piratami drogowymi. Gdy miasto uspokoiło tam ruch, pokazywało Wiejską jako wzór mieszkańcom kolejnych ulic. W ciągu kilkunastu lat odchudziło drogi: wybrane odcinki zwężono do 6 m, zredukowano liczbę pasów ruchu. Zbudowano też wyniesione przejścia dla pieszych i skrzyżowania, ruch tranzytowy wyprowadzono ze śródmieścia, budując obwodnice i zmieniając układ drogowy. Rozwijano infrastrukturę rowerową i uspokajano ruch na ulicach lokalnych. Pojawiły się ronda holenderskie, w których znajdują się dwie tarcze – jedna dla ruchu samochodowego, druga dla ruchu rowerowego. Jednocześnie Jaworzno wprowadziło roczny bilet na wszystkie miejskie linie (za 180 zł i ulgowy za 90 zł) i postawiło na elektryki: co czwarty elektryczny autobus w Polsce jeździł w tym mieście, realizując ponad połowę kursów (dziś prawie wszystkie). Pasażerowie docenili klimatyzację, ładowarki USB i Wi-Fi oraz system informacji: ponad 80 proc. mieszkańców korzystało z autobusów przynajmniej raz w roku, przestało to być obciachem.

W 2017 r. Jaworzno osiągnęło spektakularny sukces: odnotowało 19 miesięcy z rzędu bez śmiertelnego wypadku. – *Ogólna liczba wypadków spadła do kilkunastu rocznie, ginie w nich pojedyncza osoba raz na kilka lat, a sprawcami w 90 proc. są kierowcy spoza miasta* – podkreśla Tosza. Miejscowi jeżdżą w cywilizowany sposób, czyli wolno. Z badań przedstawionych na krakowskim Kongresie Bezpieczeństwa Ruchu Drogowego wynika, że emisja spalin, przepustowość, bezpieczeństwo i czas przejazdu są w mieście optymalne przy prędkości 42 km/h (i 70 km/h poza miastem).



Strefa czystego transportu w Krakowie objęła 60 proc. powierzchni miasta

W 2023 r. aż 76 proc. ankietowanych mieszkańców Jaworzna poparło taką politykę. – *Przeciw było 9 proc., głównie młodzi mężczyźni, którzy cenią prędkość ponad wszystko, i to jest potencjał dla ewentualnej partii samochodowej. Pozostali przekonali się, że lepiej żyje się w mieście bezpiecznym, przyjaznym i otwartym na potrzeby ludzi, a nie samochodów* – mówi Tosza. Od 2024 r. jest wiceszefem Biura Zarządzania Ruchem Drogowym w Warszawie.

Tu podobne działania są już rozpędzone, a efektem jest spadek liczby ofiar śmiertelnych na drogach z ponad 300 w 1997 r. do 28 w 2025. Skala wyzwań w niemal dwumilionowym mieście jest inna, ale metody podobne. Kluczowe jest to, że partii samochodowej nie pokona się moralizatorskim kazaniem o szkodliwości spalin, tylko konkretnymi udogodnieniami.

ZBIGNIEW BOREK

© JAKUB WŁODEK/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl b6a46f48ee



Zoo Łączna. Mały i źle zabezpieczony wybieg dla tygrysicy. Po interwencji wywieziono ją do azylu w Holandii.

Ciasne klatki, małe wybiegi i tropikalne gatunki marznące od października do kwietnia. Tak często wygląda życie egzotycznych zwierząt w prywatnych zoo, hodowlach i kolekcjach. Czy awantura wokół Zoo Łączna coś wreszcie zmieni?

Spółka z o.o.

AGNIESZKA SOWA

Choć od interwencji prokuratury i policji w Łącznej minęły już prawie trzy tygodnie, to sprawa dalej rozpala do czerwoności internetowe fora. Medialną krew poczuł Krzysztof Stanowski, który ogłosił w kanale Zero, że „ukradli facetowi zoo". Ten facet to Marcin N., który jest synem właściciela prywatnego zoo (Aleksandra N., myśliwego, od wielu lat członka koła łowieckiego Knieja Lubawka) i któremu postawiono zarzuty znęcania się nad zwierzętami.

Bez wody i karmy

Tylko że to nie jest typowa polska pyskówka. W prywatnym zoo było ponad 800 zwierząt. Prokuratura uznała, że co najmniej 561 z nich doświadczało złych warunków. Zarzuty dostał nie tylko N., ale również cztery kolejne osoby zarządzające placówką, więc trudno mówić, że to kwestia jednego nieodpowiedzialnego człowieka. Sprawa jest systemowa. I systemowo trzeba będzie się z nią zmierzyć.

Śledztwo trwa od lutego zeszłego roku, w maju były pierwsze oględziny śledczych i biegłych i już wtedy zadecydowano o konieczności odebrania zwierząt. Nie było co z nimi zrobić, więc oddano je na przechowanie Marcinowi N. Prokuratura odsunęła od czynności powiatowego inspektora weterynarii, który nadzorował zoo. Według biegłych ptaki były utrzymywane w skrajnie nieodpowiednich warunkach i w rażącym niechlujstwie, na ogół bez skutecznego ogrzewania, część była w wyraźnie złej kondycji, brakowało karmy odpowiedniej dla konkretnych gatunków. Liczne grupy zwierząt nie miały w ogóle dostępu do wody. Inne mogły korzystać jedynie z wody stojącej w rowach lub sadzawkach. Zwierzęta były w ciasnych pomieszczeniach, a drapieżniki miały wybiegi obok swoich potencjalnych ofiar.

Generalny dyrektor ochrony środowiska jeszcze w sierpniu wszczął z urzędu postępowanie administracyjne w sprawie cofnięcia decyzji z 2012 r. zezwalającej na prowadzenie ogrodu zoologicznego.

Więc teraz, w październiku, kiedy weszły służby, niemal natychmiast zaczęła się wywózka zwierząt, którą skutecznie utrudniali licznie zgromadzeni pod bramą zwolennicy zoo. Byli tam przed policją i prokuraturą, bo dzień przed interwencją dyrektor ogrodu Marcin N. poinformował w mediach społecznościowych o planowanych działaniach. Dowiedział się tego, jak się później okazało, od policjantki (na urlopie wychowawczym) Katarzyny S., w cywilu wolontariuszce fundacji Centaurus. Prokuratura postawiła policjantce zarzut utrudniania postępowania karnego, a przełożeni zawiesili ją w czynnościach służbowych. W efekcie wywieziono tylko 33 zwierzęta, a cała akcja była koncertowym blamażem prokuratury, co przyznał prokurator okręgowy w Świdnicy Marek Rusin, mówiąc o „totalnym fiasku". Jego zastępca Marcin Witkowski twierdził, że dopuszczono się

© KRZYSZTOF ZATYCKI/AGENCJA WYBORCZA.PL (2)

eprasa.pl b6a46f48ee



Wataha wilków polarnych. W tym prywatnym zoo było ponad 800 zwierząt. Co najmniej 561 z nich doświadczało złych warunków.

aktów sabotażu. Ktoś zniszczył ogrodzenie, część zwierząt uciekła. W internecie można było zobaczyć kolorowego pawia przechadzającego się w pobliskim lesie. A wcześniej film z nieudolnej próby uśpienia zebry: przerażone zwierzę galopowało po wybiegu, kiedy człowiek ze strzelbą Palmera pudłował raz za razem.

Odpowiedzialnością za nieudaną akcję prokuratura obarcza policjantkę, która uprzedziła Marcina N., oraz hejt, jaki zwolennicy zoo skierowali na organizacje pozarządowe, które miały pomóc służbom w zabezpieczaniu zwierząt. W efekcie zaczęły się wycofywać jedna po drugiej i gdy odszedł Centaurus, którego aktywiści karmili zwierzęta, wojewoda Anna Żabska zwołała sztab kryzysowy. Zwierzęta powierzono burmistrzowi gminy Mieroszów Andrzejowi Lipińskiemu jako osobie zaufania publicznego, a zarząd zoo Marcie Zając-Ossowskiej, która w Łącznej pracowała, a wcześniej była dyrektorką wrocławskiego zoo. To jeszcze nie koniec. Burmistrz się wycofał, bo zaczął się obawiać, że przekazanie mu zwierząt oznacza odpowiedzialność za ich utrzymanie (ok. 300 tys. zł miesięcznie), a zoo pozostaje zamknięte. Zwolennicy zoo zaczęli organizować zbiórki. Na pomagam.pl jest już ponad 600 tys. zł, na pikniku charytatywnym w Łącznej zebrano ponad 111 tys. zł. Zrezygnowała też Marta Zając-Ossowska. Pracownicy co prawda zostali, ale i tak prokuratura się poddała i cofnęła podejrzanemu Marcinowi N. zakaz kontaktowania się z pracownikami, tym samym przywracając go do zarządzania zoo. Śledczy uznali, że inaczej nie ma możliwości zapewnienia zwierzętom odpowiednich warunków. Śledztwo trwa, prokuratura zdecydowała się przystąpić do postępowania GDOŚ, nie milkną protesty w obronie zoo.

Fałszywy cyrk

Ten dwutygodniowy rollercoaster przyćmił zakończenie ciągnącej się wiele lat sprawy nielegalnej hodowli zwierząt egzotycznych „Okapi", zarejestrowanej jako cyrk w Pyszącej obok Śremu. Niemal bez echa przeszło ogłoszenie ostatecznego wyroku skazującego dla właściciela Macieja Maciejewskiego, który prowadził – jak to określił sędzia – „hurtowy handel" zwierzętami. Dodatkowo znęcał się nad nimi, utrzymując prawie 300 dzikich zwierząt w niewłaściwych warunkach, w brudzie i ciasnocie, bez wentylacji i właściwej opieki (właściciel zatrudniał dwie osoby), co sąd wycenił na rok i 10 miesięcy więzienia. Fałszywy cyrk w Wielkopolsce i prywatne zoo na Dolnym Śląsku łączy tygrysica Solaris. Do zoo przyjechała z cyrku-hodowli, zanim policja z prokuraturą cyrk zamknęła i postawiła Maciejowi Maciejewskiemu zarzuty. Nie był to przypadek.

Właściciel „Okapi" Maciej Maciejewski i Marcin N. z Łącznej doskonale się znają. Jak zresztą wszyscy pasjonaci egzotyków. Marcin N. przekazał Maciejewskiemu dwa lamparty perskie, bez dokumentów. A rok przed zlikwidowaniem nielegalnej hodowli w Pyszącej do zoo w Łącznej pojechały stamtąd dwa tygrysy, również bez dokumentów.

W trakcie dochodzenia w sprawie „Okapi" śledczy dokonali przeszukania w Zoofarma Łączna (tak wtedy nazywało się zoo). Marcin N. zeznawał jako świadek w sprawie Maciejewskiego. Jego zdaniem stan zwierząt w „Okapi" był zadowalający, a zabezpieczenia prawidłowe. Sąd nie wziął pod uwagę jego zeznań, bo – jak wyjaśnia w uzasadnieniu wyroku pierwszej instancji: „świadek jest w sposób ewidentny zaangażowany w spór pomiędzy oskarżonym, od którego w 2016 roku otrzymał w darowiźnie wartościowe koty drapieżne, a fundacjami mającymi na celu ochronę praw zwierząt. O zaangażowaniu świadka najlepiej świadczy jego twierdzenie, że gdyby fundacja VIVA faktycznie chciała pomóc, to mogła zorganizować zbiórkę na wybiegi dla tygrysów, np. na terenie Zoo w Łącznej". Viva! pomagała w interwencji w „Okapi".

A Ewa Zgrabczyńska, ówczesna dyrektorka zoo w Poznaniu, która też brała udział w interwencji, zeznała: „W wielu miejscach to wyglądało jak obóz kaźni dla zwierząt". Zbulwersowała ją zwłaszcza ciężarna ocelotka z odgryzionymi dwiema łapami. Zgrabczyńska, na której ▶

eprasa.pl b6a46f48ee

▶ ciążą zarzuty dotyczące finansów poznańskiego zoo i przekroczenia uprawnień, pomagała w relokacji zwierząt z Łącznej. To ona znalazła miejsce dla tygrysicy. I przygarnęła pięć serwali, matkę z młodymi.

Zajumali tygrysa

Tygrysicę wywieziono do azylu w Holandii Fundacji Stichting Leeuw. Posypały się oskarżenia: „sprzedano najcenniejszy okaz". Prokuratura wyjaśniła: wybieg tygrysicy był źle zabezpieczony i istniało realne niebezpieczeństwo, że może się z niego wydostać. Raz prawie przeskoczyła górą. Ale – jak opowiadał jeden z pracowników – tygrysica ważyła tylko 120 kg, była za chuda i chyba nie miała siły. Siatka została jednak wygięta.

Być może tygrysica ma zaniki mięśni. Wybieg miała niezbyt duży, niektórzy twierdzą, że stanowczo za mały, co gorsza – nieurządzony. Według dr. Roberta Maślaka warunki tygrysa „były skandaliczne". Bo zwierzę oprócz sierści i ciała ma też psychikę. Jednak Marta Zając-Ossowska twierdzi, że wybieg jest absolutnie zgodny z rozporządzeniem ministra. – *Minimalne wymogi w rozporządzeniu to dla nas jest takie zupełne minimum* – mówi Izabela Krause, dyrektorka gdańskiego zoo i przewodnicząca Rady Polskich Ogrodów Zoologicznych i Akwariów. – *To nie jest wszystko, co zwierzę powinno mieć zapewnione.*

I nie do końca metry są najważniejsze. – *Antylopa może mieć hektar, ale jeżeli nie będzie tam drzew, zadaszenia, kryjówek, a ludzie będą chodzić dookoła wybiegu, to spełni to normy rozporządzenia, ale nie potrzeby zwierzęcia, bo nie będzie miało cienia ani gdzie się ukryć, będzie cały czas na widoku, otoczone drapieżnikami, bo tym są dla antylopy ludzie.*

Wybiegu tygrysa w zoo w Łącznej Izabela Krause oceniać nie chce, bo trwa dochodzenie. Była tam w 2025 r. razem z delegacją Rady, bo zoo w Łącznej chciało do Rady przystąpić. – *Prośba została odrzucona, bo nie spełniali standardów, jakich oczekujemy od naszych członków* – mówi dyrektorka zoo w Gdańsku.

Przedstawiciel Rady został teraz poproszony przez prokuraturę o dokonanie ponownych oględzin zoo, razem z biegłym z Instytutu Medycyny Weterynaryjnej Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Eksperci stwierdzili, że infrastruktura wymaga natychmiastowych zmian



© KRZYSZTOF ŻATYCKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

ze względu na „wieloletnie zaniedbania", a realizacja zaleceń naprawczych i realna poprawa bytu zwierząt będą możliwe wyłącznie pod nadzorem osoby zarządzającej ogrodem. Stąd decyzja prokuratora o przywróceniu podejrzanego Marcina N. na funkcję dyrektora zoo.

Tygrysica Solaris stała się ikoną zwolenników i obrońców zoo. „Zajumali tygrysa" krzyczą. Solaris pojawia się na grafikach i rolkach, rapuje w obronie zoo i dyrektora Marcina N. I na plakacie nawołuje do ogólnopolskiego protestu, planowanego na 31 października pod hasłem „Oddajcie tygrysa, zamknijcie rudego lisa". Sprawa już dawno przestała być merytoryczna, a stała się polityczna. W takich sytuacjach łatwiej polaryzować i nie zwracać uwagi na fakty ani opinie autorytetów. Autorytetem staje się każdy, kto zabiera głos.

Egzotyczni ludzie

Jednym z żarliwych obrońców Zoo Łączna jest profil Świat Zwierząt Egzotycznych. Prowadzi go Jakub Ś., który przemawiał na protestach pod zoo. Sam na koncie ma m.in. zarzuty dotyczące posiadania bez zezwolenia dwóch lwiątek i trzech krokodyli, przemytu zwierząt, oszustw przy sprzedaży ocelota i pantery oraz przy leasingu samochodów. W wielu tych sprawach pojawia się jego partnerka biznesowa Aneta B., prowadząca hodowlę zwierząt egzotycznych, m.in. serwali, małpek, lemurów, kapibar. Miała u siebie jednego lewka należącego do Jakuba Ś. Szerszej publiczności stała się znana w sprawie nutrii z Rybnika. Za „przygarnięcie", czyli przetrzymywanie bez zezwolenia nutrii, inwazyjnego gatunku obcego, i – co gorsza – zagłodzenie zwierząt, które niby ratowała (z 60 przeżyły dwa), ma postawione zarzuty. Na tym nie koniec. Kolejne za posiadanie zwierząt egzotycznych bez legalnej dokumentacji pochodzenia (m.in. lemura, marmozety, makaka i kapucynki) i za wyłudzenie 25 tys. zł, razem z biznesowym partnerem Jakubem Ś.

Jakub Ś. alarmował na Twitterze, że Facebook zablokował jego profil Świat Zwierząt Egzotycznych, i łączył to ze swoim zaangażowaniem w obronę zoo i Marcina N. Założył nowy profil: Fakty Świata Zwierząt Egzotycznych. Wkrótce potem został zatrzymany w innej sprawie.

Sam dyrektor Zoo Łączna Marcin N. też miał konflikt z prawem: w 2015 r. w Wielkiej Brytanii odsiedział dwa lata za próbę przemytu 1,5 mln funtów, ukrytych w paszy dla zwierząt z Zoo Łączna. Nie wyjaśniono, do kogo należały przemycane pieniądze ani z jakiego źródła pochodziły. Handel chronionymi gatunkami to czwarty największy czarny rynek na świecie, po handlu narkotykami, bronią i ludźmi. Nielegalny obrót zwierzętami i roślinami szacowany jest na 20 mld dol. – *Środowisko hodowców zwierząt egzotycznych jest jak mafia* – mówi osoba zaangażowana w interwencję w Pyszącej. – *W grę wchodzą olbrzymie pieniądze. W Pyszącej były dwa lamparty, każdy z nich wart pół miliona złotych*. Te lamparty, które były prezentem od Marcina N., dyrektora zoo w Łącznej.

Kto broni zoo

Do światka hodowców/handlarzy egzotycznych zwierząt dołączyły środowiska skrajnie prawicowe, powiązane z Konfederacją i Konfederacją Korony Polskiej Grzegorza Brauna, która przygotowała projekt nowelizacji ustawy o ochronie zwierząt, mający zapobiegać interwencyjnemu odbiorowi zwierząt przez „lewackie organizacje". Protestują przeciwko ograbianiu przedsiębiorcy z dorobku jego życia. Nie interesuje ich, że ten „dorobek" żyje i cierpi. Rozpowszechniają spiskowe teorie: w całej sprawie chodzi o przejęcie terenów zoo. Protestują przeciwko establishmentowi, „układowi zamkniętemu". Sekundują im środowiska przeciwne organizacjom prozwierzęcym, oskarżając je o bezprawne zabieranie zwierząt właścicielom i działanie ponad prawem: profile i grupy takie, jak Ekopatologia, Ujawniamy nieprawidłowości w świecie prozwierzęcym, Prawda o DIOZ 2.0. Fundacje są na celowniku, bo zawiadomienie w sprawie zoo w Łącznej złożyły DIOZ i TOZ Oddział Krynica. A prokuratura, jak to zwykle się dzieje w sprawach, w których są zwierzęta, poprosiła o pomoc

eprasa.pl b6a46f48ee

w interwencji m.in. Mondo Cane, Centaurusa, fundację Mam Pomysł.

Rzesze miłośników zoo, zachwycone widokiem tulących się do siebie lemurów, nie widzą, że zwierzęta desperacko próbują się ogrzać. Ani że antylopy boją się tygrysa, którego mają za sąsiada. A już największe zachwyty budzą pojawiające się często w zoo młode. Prokuratura nie odpowiedziała na pytanie, ile w momencie interwencji było samic ciężarnych czy odchowujących młode. – *W chwili obecnej Marcin N. nie ma ogłoszonego zarzutu prowadzenia nielegalnej hodowli* – mówi prokurator Pindera.

Obrońcy zoo odsądzają od czci i wiary policję, prokuraturę i rząd. Amunicji prokuratura dostarczyła im aż nadto. Nad tym, co się działo w Łącznej przez pierwsze dwa dni, lepiej spuścić zasłonę milczenia. Na swoją obronę służby mają tylko to, że nie jest łatwo znaleźć miejsce dla kilkuset dzikich zwierząt. Na wniosek organów ścigania powinien się tym zająć Centralny Azyl dla Zwierząt. Azyl istnieje od prawie trzech lat, ale tylko na papierze. W zeszłym roku przyjęli cztery zwierzęta, przekazując je dalej, bo azylu jako takiego nie ma. Wiosną tego roku podpisano umowę na przygotowanie projektu. Jak dobrze pójdzie, budowa potrwa do 2031 r. W zeszłym roku pensje pracowników Azylu kosztowały podatników 1,2 mln zł, do tego 1,4 mln zł wydano na „usługi obce". Rzecznik Prokuratury Okręgowej prok. Mariusz Pindera potwierdza, że prowadząca wówczas postępowanie Prokuratura Rejonowa w Wałbrzychu od maja korespondowała z Azylem.

Gdy likwidowano hodowlę w Pyszącej, większość zwierząt udało się przenieść w ciągu tygodnia. Dużo wzięła Ewa Zgrabczyńska, która wówczas rządziła w poznańskim ogrodzie zoologicznym. I zoo słono za to zapłaciło. Zwierzęta z Pyszącej nie miały udokumentowanego pochodzenia i nie wszystkie zostały poddane kwarantannie (np. tygrysy), więc zoo straciło na trzy lata status członka Europejskiego Stowarzyszenia Ogrodów Zoologicznych i Akwariów (EAZA). Dlatego ogrody zoologiczne nie chcą przyjmować zwierząt z interwencji. Trzeba szukać miejsc w azylach i sanktuariach, a takich w Polsce, zwłaszcza dla zwierząt niebezpiecznych jak tygrysy, po prostu nie ma.

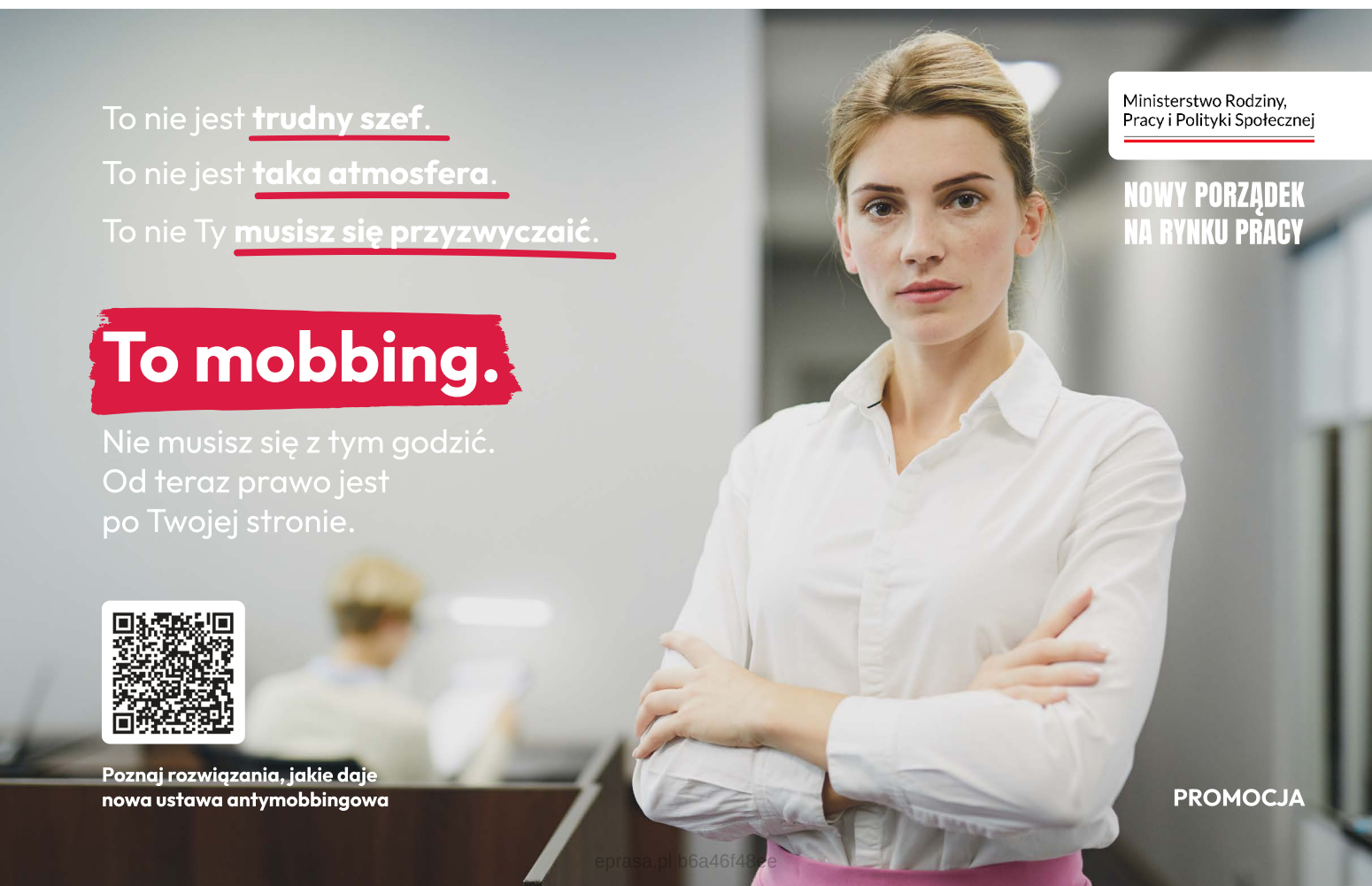
Post scriptum

Zakazaliśmy występów w cyrkach zwierząt niebezpiecznych, wiele europejskich krajów nie pozwala cyrkom na pokazy z udziałem wszystkich dzikich zwierząt. Ale dalej tolerujemy prywatne menażerie, choć to oczywiste, że zapewnienie odpowiednich warunków kilkuset zwierzętom z różnych stref klimatycznych to zadanie ponad siły dla prywatnego przedsiębiorcy. Finansowanie publicznych ogrodów zoologicznych opiera się najczęściej na modelu mieszanym, w którym kluczową rolę odgrywają dotacje z budżetów jednostek samorządu terytorialnego.

Pozostaje pytanie o sens trzymania w niewoli zwierząt jako atrakcji dla odwiedzających. Zwolennicy mówią o funkcji edukacyjnej, ale czy chcemy uczyć dzieci, że lemury i małpki możemy trzymać w klatkach, po to by mogły je karmić z ręki? W Łącznej razem z biletem można było kupić w kubeczkach porcje do karmienia dzikich zwierząt. Oczywiście dla właścicieli to biznes jak każdy inny. Tyle że oparty na cierpieniu tych zwierząt, bo nikt w klatce szczęśliwy nie jest.

AGNIESZKA SOWA

REKLAMA



Gdy ze szkoły wyjdzie policja

Rozmowa z Lucyną Kicińską, założycielką i wiceprezeską Fundacji Życie Warte Jest Rozmowy, o tym, co jest potrzebne, żeby ataki nożowników nie powtarzały się w szkołach ani nigdzie indziej.

JOANNA CIEŚLA: **– Ponad połowa Polaków popiera instalowanie w szkołach urządzeń wykrywających metal, w tym noże – wynika z niedawnego sondażu IBRiS dla „Rzeczpospolitej". Ministra edukacji Barbara Nowacka zapowiada, że placówki dostaną do tego podstawę prawną. Cieszy to panią?**

LUCYNA KICIŃSKA: – Czuję ogromną złość. **To idźmy dalej. Nauczyciele dla poprawy bezpieczeństwa w szkołach, po atakach nożowników z początku października, będą mogli przeszukiwać plecaki uczniów i odbierać im niebezpieczne przedmioty.**

Gdybym chciała przeszukiwać plecaki, zatrudniłabym się na lotnisku lub w policji. To nie jest moja rola i nie jestem do tego przygotowana. Z nauczyciela próbuje się zrobić już nie tylko rodzica, psychiatrę, interwenta kryzysowego, psychoterapeutę i trenera umiejętności społecznych, ale i antyterrorystę. Bo to rozwiązanie bezkosztowe. Tylko jak ktoś to sobie wyobraża? Mam powiedzieć do ucznia, którego zachowanie mnie niepokoi: „Pokaż mi swój plecak". On odpowie: „Oczywiście!", wyciągnie nóż i skieruje go na mnie. Samo poproszenie o pokazanie zawartości plecaka osoby, która chce zrobić innym krzywdę, aktywuje w niej agresję. Jak mam się bronić? Moim narzędziem pracy jest długopis.

A wykrywacze metalu?

Z perspektywy bezpieczeństwa szkół, uczniów i nauczycieli to rozwiązanie ma już więcej sensu, pod warunkiem że oprócz takiego wykrywacza w szkole pojawiłby się pracownik ochrony do jego obsługi.

Co się nie wydarzy.

Oczywiście, bo to kosztuje. A ma być za darmo, czyli kosztem nauczycieli.

Teraz w szkołach jest bezpieczniej, niż było na początku października, gdy zaczęły się ataki nożowników?

Myślę, że tak. Obecność policjantów rzeczywiście ma pewien efekt prewencyjny.

Ciągle przychodzą?

Tak, policjanci nadal odwiedzają szkoły. To w pewnym stopniu może hamować kogoś, kto ma agresywne zapędy – będzie się bał je realizować, bo nigdy nie wie, kiedy pojawi się policja. Ale już słychać, że policja nie może ciągle patrolować szkół, bo wzrośnie przestępczość, bo nie ma wystarczająco funkcjonariuszy. MSWiA może powiedzieć: „Już nie kierujemy policjantów do szkół, bo oni mają inne zadania", a MEN nie mówi: „Nie kierujemy nauczycieli do przeszukiwania uczniów, bo nauczyciele mają inne zadania". Gdyby obecność policji została utrzymana, w szkołach zapewne byłoby bezpieczniej. Ale to są rozwiązania końca, ponieważ nawet ten, którego zniechęciłaby do wniesienia noża do szkoły bramka przy wejściu, w końcu zacznie się posługiwać tym nożem na ulicy, co już się zdarza. Od początku kumulacji ataków nożowniczych tej jesieni powtarzam, że to nie problem szkoły, tylko problem emocji, które są w ludziach. W dzieciach, ale i w dorosłych. I że trzeba się zająć frustracją i niezaspokojonymi potrzebami, problemem społecznym związanym z brakiem więzi i brakiem relacji.



ILUSTRACJA **IRENEUSZ SZUNIEWICZ**

Oczekuje pani obowiązkowych, powtarzanych co kilka lat, szkoleń dla rodziców, podczas których dowiedzą się, jak odpowiadać na potrzeby dzieci i zapewniać im pomoc. Udział w szkoleniach miałby być systemowo egzekwowany, nawet wstrzymaniem świadczeń 800+. Bardzo mi się ten pomysł podoba.

Cieszę się, bo nie ma wielu zwolenników.

Dlaczego?

Jak każda zmiana systemowa wymaga nakładów finansowych i czasu. Większość z nas pragnie szybkich rozwiązań i najlepiej takich, w których to inni coś robią. W apogeum doniesień o atakach pojawiły się apele, żeby rodzice w domach

eprasa.pl b6a46f48ee

sprawdzali, co ich dzieci noszą w torbach. I co? I natychmiast pojawiły się argumenty, że to zerwie więź i zaufanie między rodzicem a dzieckiem. Część matek i ojców mówi, że oni sami nawet chcą sprawdzić plecaki, ale dzieci stanowczo odmawiają. Jedno i drugie to dowód na to, że więzi w takich rodzinach nie ma oraz że w plecaku jednak jest coś, czego nie powinno tam być. Nie mówię, że koniecznie nóż, częściej pewnie i-cosy itd. Myślę, że część rodziców też po prostu się boi, co w plecaku dziecka znajdzie. Sytuacja jest tym bardziej kuriozalna, że spora grupa dzieci zabiera noże do szkoły na wypadek konieczności obrony własnej. I mogą mieć z tego powodu ogromne problemy, ponieważ gdy ktoś, np. policjant, ten nóż znajdzie, to nie będzie słuchał wyjaśnień, tylko nada sprawie bieg prawny.

W pierwszych tygodniach po atakach przeprowadzono wiele webinarów i szkoleń, także dla rodziców.

Prowadziłam jedno z takich spotkań. Zgłosiło się ponad tysiąc osób. Uczestnicy relacjonowali, że na większości wcześniejszych webinarów słyszeli głównie: „Porozmawiaj ze swoim dzieckiem o tym, co się dzieje". Mówienie czegoś takiego rodzicowi w XXI w. daje tyle, że on wpada w jeszcze głębsze poczucie winy i bezradności, niż kiedy na webinar dołączał. Prowadzący jakby nie zdawali sobie sprawy, że ich przekaz brzmi: „Nie rozmawiasz z dziećmi i dlatego jest problem". Rozmów rzeczywiście nie ma, ale wytykanie tego nie pomoże. Trzeba pokazać, jak ma wyglądać dialog budujący relację.

Jak?

Trzeba wyjść od zauważenia, że pojawia się wiele informacji, np. o zagrożeniach w szkołach. Ale potem warto zapytać, jak dziecko to odbiera, co czuje i co myśli na ten temat. Bo zdarza się, że rodzice, którzy na bieżąco śledzą doniesienia, są dużo bardziej przerażeni niż ich dzieci. Jeśli dziecko potwierdza nieprzyjemne emocje, trzeba ustalić, czego dotyczą. Czy ogólnej sytuacji, zalewu wiadomości tworzących wrażenie, że w każdej chwili coś złego może się wydarzyć? Czy może obawy są związane z zachowaniem konkretnej osoby w klasie albo w szkole? Jeśli chodzi o konkretną osobę, należy wytłumaczyć różnicę między donoszeniem a współodpowiedzialnością za bezpieczeństwo.

I też chyba od razu ustalić, o jakie zachowania tej osoby chodzi.

Tak, ale bez względu na to, czy byłoby to bardziej niejasne wrażenie, czy może fakty – jakieś działania lub słowa – dziecko musi wiedzieć, komu – także w szkole – może powiedzieć o swoich odczuciach. Warto się dowiedzieć od dziecka, komu w szkole ufa. Teraz bardzo mało uczniów cokolwiek komukolwiek zgłasza – nie tylko z lęku przed łatką donosiciela, ale też dlatego, że nie czują się odpowiedzialni ani za własne bezpieczeństwo, ani za bezpieczeństwo innych. Badanie PISA pokazało, że uczniowie w Polsce nie czują, że szkoła jest ich, nie mają refleksji wspólnotowej. Ale skąd mają ją mieć, jeżeli nie stworzyli tej pierwotnej wspólnoty w rodzinie?

A jeśli dziecko mówi, że niepokoi je głównie ogólne wrażenie, że w każdej chwili coś złego może się wydarzyć?

Wtedy nie można zaprzeczać istnieniu zagrożeń, ale warto podkreślać, że spływające nieustannie informacje w dużej części dotyczą tych samych sytuacji. Ataków było pięć, a wiadomości na ich temat 1,5 tys. Ludzki mózg odbiera to jako wiadomość o 1,5 tys. ataków, ale to iluzja. Nie trzeba żyć tak, jakby niebezpieczeństwo było wszędzie. Trzeba dawkować sobie informacje i czerpać je z rzetelnych źródeł, ale też nie śledzić nieustająco newsów i komentarzy. Może być też tak, że dziecko albo nastolatek nie będzie chciał zaczynać albo kontynuować rozmowy na ten temat. Trzeba mu pozwolić się wycofać i zaznaczyć, że może wrócić, kiedy tylko zechce. Oczywiście forma takich rozmów musi uwzględniać to, ile dziecko ma lat. Na moich webinarach słuchacze dostają propozycje gotowych przykładowych komunikatów dla konkretnych grup wiekowych. Tylko wie pani, ja i inni specjaliści możemy zedrzeć gardło, edukując rodziców, organizując spotkania i konferencje. Ale jeżeli to się odbywa w trybie awaryjno-akcyjnym, a dołącza ten, kto chce, jest to mało efektywne w ujęciu społecznym. Bo edukacji potrzebują też ci, którzy myślą, że ich to nie dotyczy, oraz ci, którzy są przekonani, że robią dobrze, a także ci, którzy krzywdzą dzieci.



Lucyna Kicińska
– pedagożka, suicydolożka, terapeutka narracyjna, w przeszłości koordynatorka Telefonu Zaufania dla Dzieci i Młodzieży Fundacji 116 111 Dajemy Dzieciom Siłę. Przewodnicząca zespołu pomocy psychologiczno-pedagogicznej w XLI LO im. J. Lelewela w Warszawie.

W kręgu polityków koalicji rządzącej jakiś czas temu pojawił się pomysł, żeby moduły na temat bezpieczeństwa cyfrowego dzieci wprowadzać do szkół rodzenia, bo to jedyna w Polsce masowa forma kształcenia dorosłych. Czy tam też powinno być miejsce na tematy dotyczące budowania relacji?

W szkołach rodzenia już w tej chwili jest przekazywanych bardzo wiele treści – z obszaru pielęgnacji, zdrowia, opieki itd. I nawet gdyby dołożyć tam informacje, że w pierwszym roku życia dziecka na technologie nie ma miejsca i w drugim roku życia też, to nie sposób omówić w trakcie szkoły rodzenia, w jaki sposób postępować z człowiekiem do 17. roku życia nawet tylko z technologiami. System szkół rodzenia trzeba po prostu ekstrapolować na szkoły rodzicielstwa. W kolejnych zajęciach o podobnej formule do tych poprzedzających narodziny dziecka powinni uczestniczyć rodzice, których syn czy córka zaczyna przedszkole, potem szkołę, potem gdy przechodzi do czwartej klasy, do siódmej, a następnie do pierwszej i czwartej klasy szkoły ponadpodstawowej. Treści powinny być dostosowywane do etapu rozwojowego dzieci i nowych zagrożeń, które się pojawiają. Dzięki temu jesteśmy w stanie wspierać w zadaniach rodzicielskich nie tylko osoby chętne i zaangażowane, lecz również te, które zainteresowane nie są, a potrzebują uświadomienia oraz korekcji postaw i zachowań rodzicielskich.

A kto nie przyjdzie, dostanie po kieszeni.

Możliwe jest uzależnienie wypłaty świadczenia 800+ od uczestnictwa w szkoleniach (bez konieczności brania dnia wolnego w pracy – takie rozwiązania już przecież istnieją), ale też np. uruchomienie kuratora w takiej rodzinie.

To już w ogóle ostro.

Chodzi o to, żeby kurator nie pojawiał się w rodzinie po fakcie – gdy dzieje się coś poważnego, ujawniona zostaje krzywda dziecka. Jeśli ktoś nie uczestniczy w bezpłatnych, systemowych szkoleniach pomagających w pełnieniu najtrudniejszej ludzkiej funkcji – byciu rodzicem, to nie chodzi przecież o to, żeby kogoś karać obecnością kuratora, tylko by zintensyfikować działanie i pomóc rodzicowi w zrozumieniu, na czym polega jego rola i po jakie metody w wychowaniu sięgać. Opór ▶

© WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl b6a46f48ee

▶ wobec pójścia na szkolenia, niechęć do spełnienia tego rodzicielskiego obowiązku, powinien być interpretowany jako sygnał, że rodzina potrzebuje dodatkowego instytucjonalnego wsparcia.

W lutym na sejmowej komisji ds. dzieci i młodzieży przedstawiała pani propozycje tych szkoleń i całego systemu wsparcia dzieci i młodzieży, którego powinny być częścią.

Opisałam system oparty na trzech filarach. Pierwszy filar to rodzice – najważniejszy czynnik ochronny w życiu dzieci. To oni od wczesnych lat życia dzieci mogą wspierać ich odporność psychiczną, mogą być pierwszymi interwentami, gdy pojawia się problem. Dziś często są pozostawieni sami sobie. Potrzebujemy powszechnego, systemowego programu edukacyjnego adresowanego do rodziców: jak wspierać odporność psychiczną, jak reagować w razie trudności, jak współpracować ze szkołą i z systemem ochrony zdrowia. Drugi filar to standardy. Każda placówka opiekuńcza i edukacyjna w Polsce powinna działać według jednolitych, opartych na dowodach naukowych standardów postępowania dotyczących zapobiegania i reagowania na sytuacje trudne. Brak jasnych standardów, również w innych grupach zawodowych, powoduje, że szkoła dźwiga więcej, niż powinna. Trzeci filar to kompetencje. Przygotowanie konkretnych grup zawodowych do zapobiegania i reagowania na problemy dzieci i młodzieży to kwestia kluczowa. Rozwijanie umiejętności świadczenia pierwszej pomocy emocjonalnej musi być elementem systemowym, a nie fakultatywnym szkoleniem.

W założeniach takie pomysły działają, ale w realiach kuleją.

Aby system działał, potrzebuje koordynacji, międzyresortowej odpowiedzialności i wieloletniej strategii, która przetrwa zmiany polityczne. Dlatego apelowałam do prezesa Rady Ministrów o powołanie pełnomocnika rządu ds. bezpieczeństwa dzieci i młodzieży oraz o rozpoczęcie prac nad wieloletnią multisektorową strategią bezpieczeństwa dzieci i młodzieży.

Takiej funkcji nie mógłby pełnić rzecznik praw dziecka?

Mógłby, gdyby podniesiono jego rangę z ministra, którą ma teraz, do koordynatora działań na poziomie rządu, z obszaru zarówno ministerstwa rodziny, jak i edukacji, zdrowia itd., a także na styku sektorów.

I co się wydarzyło po tym, jak przedstawiła pani tę propozycję?

Usłyszałam, że nie da się zbudować takiego systemu, bo jest rok przedwyborczy, że wdrożenie rozwiązania wymaga czasu, a my go przecież nie mamy.

To posiedzenie komisji odbyło się dwa miesiące po tym, jak w Jeleniej Górze 12-latka zabiła 11-latkę. Od tamtej sytuacji zaraz minie rok. Przez który tamten dramat wielokrotnie się odtwarzał, na szczęście na ogół w mniej tragiczny sposób.

W połowie roku w Ministerstwie Sprawiedliwości została powołana grupa robocza do opracowania procedur postępowania w podobnych, nadzwyczajnych sytuacjach. Wypracowaliśmy rekomendacje. Niestety, kiedy tak bardzo są potrzebne, wciąż są w uzgodnieniach międzyresortowych.

Pod koniec października w Ministerstwie Sprawiedliwości było kolejne spotkanie, z udziałem służb mundurowych, publicznych, ale też przedstawicieli oświaty. Też chodziło o synchronizację działań i przekazywania informacji, ma z tego powstać m.in. obrazkowy materiał instruktażowy.

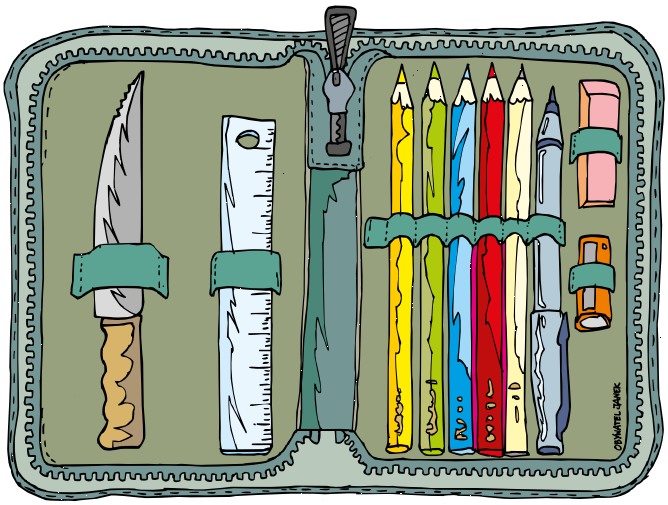
To dobry kierunek. Cieszę się także, że Ministerstwo Edukacji Narodowej wydało niezbędnik dla nauczycieli dotyczący przemocy rówieśniczej. Tylko to wciąż rozwiązania punktowe. Mimo wielu działań wciąż umyka naszej uwadze, że młodzi ludzie funkcjonują w rodzinach i nie można zostawiać tych rodzin samych sobie. Co rusz wybucha alarm, że mamy za mało psychiatrów dziecięcych. Ale psychiatrzy to jedno z ostatnich pięter systemu wsparcia. Gdyby na wcześniejszych etapach dzieci i nastolatki miały poczucie wspólnoty i zaspokojone trzy podstawowe potrzeby – akceptacji, uznania i przynależności – psychiatrzy byliby potrzebni dużo rzadziej. Niezaspokojenie tych potrzeb prowadzi nie tylko do zaburzeń lękowych czy depresyjnych, lecz także do kopiowania nagłaśnianych w mediach zachowań innych, którzy w patologiczny sposób rozładowali własną frustrację, albo do ulegania psychomanipulacjom ruchów radykalizujących. Jeżeli ktoś ma zaspokojoną potrzebę akceptacji, uznania i przynależności w rodzinie, w środowisku rówieśniczym, w szkole, to nawet gdy ktoś będzie go próbował radykalizować, np. w sieci, wyloguje się i zajmie czymś innym.

Radykalizm nie będzie miał mu nic do zaoferowania.

No właśnie. A jeśli ktoś jest w kryzysie emocjonalnym, czuje się sfrustrowany i traktowany niesprawiedliwie, chętnie pójdzie za komunikatem: „Oni są źli, są twoim wrogiem", „Możesz ich atakować". Tropienie ruchów radykalizujących młodzież jest potrzebne. Ale to tylko jedna warstwa tortu. Przemoc rówieśnicza to kolejna warstwa, zapobieganie zachowaniom samobójczym – następna. Rozproszenie i brak koordynacji działań obniża ich skuteczność i zwiększa koszty. Już wiele lat temu Brytyjczycy policzyli, że jeden funt zainwestowany w szeroko pojętą profilaktykę pozwala oszczędzić pięć funtów w ciągu 10 lat. Tylko trzeba przyjąć, że to, co się będzie działo przez 10 lat, jest sprawą wszystkich, niezależnie od tego, kto w danym momencie będzie u władzy.

ROZMAWIAŁA JOANNA CIEŚLA

GALERIA POLITYKI



OBYWATEL JANEK

eprasa.pl b6a46f48ee

aelia
DUTYFREE

BUY

Prosto z lotniska



ZESKANUJ MNIE

-22% na wszystkie nieprzecenione perfumy i kosmetyki przy zakupach za min 299 zł.

Kod: 22AELIA-P

Ważny do 31.01.2027 r.

Rabat na produkty nieprzecenione przy zakupach za min. 299 zł.
Rabat nie łączy się z innymi promocjami i programami benefitowymi.

eprasa.pl b6a46f48ee

Dobrze naprawiony

Jan Furmanek i dr hab. Mariusz Wyleżoł, chirurg bariatra, który odmienił życie pana Jana

Gdyby choroby mierzyć na kilogramy, Jan Furmanek z trudem udźwignąłby swoją kartę pacjenta. Medycyna dała mu nie drugie, ale dziesiąte życie.



PAWEŁ WALEWSKI

Gdyby Jan Furmanek z Daleszyc na Kielecczyźnie urodził się pół wieku wcześniej, jego biografia byłaby zwięzła i skończyłaby się cicho, jeszcze przed pięćdziesiątką. A może i szybciej z powodu powikłań olbrzymiej otyłości, niewydolności serca, uwięźniętej przepukliny albo niekontrolowanego przełomu tarczycowego. Jednak pan Jan – rocznik 1959 – miał to szczęście, że wszedł w wiek dojrzały w momencie, gdy medycyna przestała być sztuką powściągliwej obserwacji, a stała się zaawansowanym rzemiosłem naprawczym. Innymi słowy: w wyścigu z chorobami medycyna zaczyna wygrywać, nawet jeśli pacjent nie pomaga.

Patrząc na kartę informacyjną z jego ostatniego wypisu szpitalnego, trudno opanować wrażenie, że czyta się nie tyle historię choroby 67-latka, ile scenariusz kolejnego serialu medycznego. W dodatku takiego, którego twórców można by oskarżyć o przesadę. Trudno bowiem uwierzyć, że wszystkie rozpoznania dotyczą jednego człowieka, który do tego po kolejnych pobytach w szpitalach wraca do domu, by żyć i dalej pracować.

Kalafior i przeciwwskazania

Zaczęło się od otyłości olbrzymiej – przy wzroście 176 cm waga pana Jana w szczytowym momencie dochodziła do 177 kg, co dawało niewyobrażalny wręcz wskaźnik BMI równy 57 (na skali otyłości, najwyższy trzeci stopień zaczyna się od 40). W 2000 r. laparoskopowo wszczepiono panu Janowi regulowaną opaskę żołądkową – taki chirurgiczny knebel na bezmiar apetytu. Był to zaledwie wstęp do trwającej ponad dwie dekady epopei medycznej. Przepukliny (pępkowa, pachwinowe, mosznowa). Refluks. Kamica nerkowa. Choroba tarczycy wymagająca jej usunięcia. Zaburzenia rytmu serca, migotanie przedsionków, implantacja stymulatora. Potem kolejne operacje, wymiana elektrod urządzenia, białaczka, a wreszcie udar mózgu, który we wrześniu 2025 r. na krótko poraził ośrodek mowy. Do tego: zapalenie przełyku, żołądka i dwunastnicy, zakażenie *Helicobacter pylori*, polipy jelita grubego oraz nadciśnienie tętnicze.

Akta medyczne pana Jana czyta się więc nie jak standardową historię choroby, ale jak dziennik pokładowy statku, który

© LESZEK ZYCH

eprasa.pl b6a46f48ee

za każdym razem, wbrew prawom biologii i logice, jest wyciągany na powierzchnię przez wirtuozów skalpela i endoskopu. To zarazem fascynujący dowód na to, jak spektakularny – i cichy zarazem – skok wykonała medycyna w ciągu ostatniego ćwierćwiecza.

– *Na co dzień zachwycamy się podbojem kosmosu i sztuczną inteligencją, przegapiając fakt, że największa rewolucja rozegrała się w szpitalnych salach zabiegowych* – komentuje dr hab. Mariusz Wyleżoł, chirurg bariatra, który był pierwszym lekarzem pomagającym panu Janowi w jego podróży przez sale operacyjne. Trzydzieści lat temu pacjent z taką wielochorobowością byłby skazany na opiekę paliatywną, odesłany do domu z taktowną radą, by uregulować sprawy spadkowe. Dziś jest systematycznie, wręcz rutynowo, „serwisowany": na miejsce wysłużonych elementów wstawia się siatki syntetyczne i elektrody, a rozregulowane procesy komórkowe trzyma w karbach nowoczesna farmakoterapia.

Żeby w pełni zrozumieć, na czym polega ów cud technologicznej konserwacji, musimy cofnąć się do przełomu tysiącleci. To wówczas ciało pana Jana postanowiło wypowiedzieć mu posłuszeństwo, stawiając go przed ponurą perspektywą podzielenia losu matki, która zmarła na wylew w wieku zaledwie 42 lat, będąc osobą otyłą i chorującą na cukrzycę. On sam jesienią 2000 r. dobił do ściany. Zanim inżynieria medyczna wzięła go na warsztat, codzienność przypominała walkę z grawitacją. Z zawodu cukiernik, z pasji kierowca ciężarówek, pan Jan wspomina to jako pasmo upokorzeń: – *Miałem brzuch tak duży, że siedzenie za kierownicą było odsunięte do samego tyłu i ledwo dostawałem do niej rękami. Nie było na mnie ubrań, więc chodziłem w dresie. A i tak ludzie wytykali mnie palcami.*

Żona, pani Maria, również pamięta ten logistyczny koszmar: – *W naszej okolicy nie było rozmiarów XXL, więc jeździłam na zakupy do Łodzi. Największe rzeczy kupowałam, mierząc je na sobie – koszula dla męża musiała być poniżej moich kolan, żeby się w nią zmieścił. Spodnie rozcinałam z tyłu, żeby wszywać wstawki.*

Pod potężnym ciśnieniem rozstępowały się tkanki. Pan Jan fizycznie się dusił, a przedmioty codziennego użytku kapitulowały pod jego ciężarem. – *Spałem na siedząco, poduszki podłożone pod głowę. Łóżko było specjalnie wzmocnione, pod spodem podłożyliśmy drewniane belki. Raz się zawaliło, gdy deski niestety nie wytrzymały.*

Powłoki brzuszne również – pękły, formując olbrzymią przepuklinę wokół pępka. Kiedy dr Wyleżoł (obecnie szef Centrum Kompleksowego Leczenia Otyłości w Szpitalu Czerniakowskim w Warszawie) spotkał pana Jana, pracował jako asystent w Klinice Chirurgii w Zabrzu – jednym z wówczas trzech punktów na mapie Polski, gdzie próbowano leczyć chirurgicznie skrajną otyłość. – *Obraz był dramatyczny, bo cała masa skumulowała się w jego jamie brzusznej* – opowiada. – *A sama przepuklina pępkowa tworzyła przed brzuchem osobny, zwisający worek, wyglądający jak gigantyczny kalafior.*

Zwykłe odchudzanie nie działało. Pani Maria opisuje ówczesne batalie kulinarne jako pasmo nieustannej frustracji: – *Bez przerwy stosował jakieś diety: a to same jajka, to znowu pietruszka. I cały czas huśtawka z wagą: 30 kg w dół, a później 50 do góry. Była nerwówka, bo mąż, jak był wkurzony na siebie, to zarzucał mi: „Bo źle gotujesz". No to nasiekałam samej sałaty, a on znów na to: „Czy ja jestem królik, żebym to jadł?".*

Torowanie drogi

Dlatego w 2000 r. Jan Furmanek wiedział już, że wyczerpał limit amatorskich napraw. Ówczesna medycyna nie była w Polsce sprzętowo przygotowana na ten kaliber pacjenta. Brakowało podstawowych narzędzi, w tym tak banalnych jak te do pomiarów. – *Nawet w klinice w Zabrzu nie było wagi lekarskiej odpowiedniej do mojego rozmiaru, więc pielęgniarki zaprowadziły mnie do pomieszczenia, gdzie ważono worki ziemniaków i kapusty przywożone do szpitalnej kuchni.*

Chirurdzy musieli pójść na żywioł i złamać kilka dogmatów, by w ogóle dać Furmankowi szansę. Jak dziś tłumaczy dr Wyleżoł: – *Wkraczaliśmy w świat techniki laparoskopowej w chirurgii bariatrycznej i należało zrobić coś, co w podręcznikach uznawane było za przeciwwskazanie. Bo pacjent miał za duży brzuch! Po latach wiemy, że nie skalpel, ale właśnie laparoskop dał tym chorym największą korzyść, gdyż ryzyko okołooperacyjne spadło aż dziesięciokrotnie.*

Założenie opaski było punktem zwrotnym. Wkrótce nadeszły pierwsze efekty, a po pewnym czasie chirurg mógł odciąć ciążącą przepuklinę. Gdy waga zeszła w okolice wymarzonych 75 kg, w domu w Daleszycach zapanowała euforia. – *Dobrze się czułem i wreszcie mogłem się ubrać jak człowiek* – wspomina pan Jan. A jego żona dopowiada uśmiechnięta: – *Tak się cieszył, że podarł wszystkie swoje zdjęcia sprzed operacji. Nie chciał na nie patrzeć. Kilka schowałam, ale do dziś mu ich nie pokazuję.*

Domina systemowe

Gdy otyłość została opanowana, okazało się, że biologia zaczęła zgłaszać usterki w potężnie wyeksploatowanych układach. Szczęściem w nieszczęściu było to, że redukcja wagi umożliwiła inne interwencje. Dr Wyleżoł stawia sprawę jasno: – *Nie sądzę, by ktokolwiek się podjął tych wszystkich zabiegów, gdyby pan Jan nie miał najpierw operacji bariatrycznej w 2000 r.*

Lista napraw serwisowych ruszyła z kopyta. Z powodu kamieni nerkowych ataki bólu były nie do wytrzymania, więc w 2006 r. lewą nerkę ratowano zabiegiem nefrolitotrypsji (złogi blokujące nerkę usunięto przez niewielkie nacięcie w lędźwiach). W 2007 r. uderzyła nadczynność tarczycy, wywołując duszności. Narząd wycięto, ale pacjent był przerażony koniecznością przewlekłego przyjmowania hormonów: – *Początki były trudne, bo załamałem się, że muszę brać te tabletki już do końca życia. Dziś to rutyna; łykam codziennie 11 różnych pastylek.*

Potem przyszła kolej na układ napędowy. Potężne, latami obciążone przez nadciśnienie serce odmówiło współpracy: migotało, zwalniało, gubiło rytm. Gdy w 2008 r. pana Jana zbadano rejestratorem Holtera, nie zdążył nawet wrócić z przychodni do domu: – *Kardiolog, gdy tylko spojrzał na odczyt, od razu skierował mnie do szpitala w Kielcach. Akcja była tak niemiarowa, że serce na 2–3 sekundy przestawało bić.*

Wszczepiono stymulator, ale po pięciu latach elektrody przestały działać i trzeba było je wymienić podczas innowacyjnego zabiegu w Lublinie (jedyny w Polsce ośrodek, który się tym zajmował), a ostatecznie przeprowadzono kardiologiczną ablację (wypalenie ognisk arytmii). Gdy wydawało się, że hydraulika i zasilanie są opanowane, nadszedł kolejny cios, śmiertelnie niebezpieczny: przewlekła białaczka szpikowa, zdiagnozowana przypadkiem przy odbieraniu wyniku rutynowej morfologii (ponad 19 tys. białych ciałek krwi przy normie 4–9 tys.). Pani Maria pamięta mrożący krew w żyłach strach tamtych dni i potworne bóle ▶

eprasa.pl b6a46f48ee



Jedno z nielicznych zdjęć pana Jana sprzed operacji – większość z nich podarł

▶ kostne męża na początku pierwszej terapii: – *Przez trzy dni tak jęczał... Przeżywaliśmy to wszyscy*.

I wtedy pan Jan zakwalifikował się do programu wczesnego leczenia Glivecem – preparatem, który na początku XXI w. zrewolucjonizował hematologię i zamienił wyrok śmierci na chorobę przewlekłą. Dr Wyleżoł mówi wprost: – *Znowu oszukał przeznaczenie, bo leczenie, które mógł otrzymać, całkowicie zmieniło podejście do jego choroby. Uniknął skomplikowanego przeszczepu, wystarczyła jedna doustna tabletka, którą przyjmuje się w domu jak aspirynę.*

Udar na masażu, cewnik w mózgu

Nowoczesny pacjent, będący konglomeratem naprawczych interwencji, to projekt nieskończony. Opaska bariatryczna ma swoją żywotność, ulega zmęczeniu materiału, więc również pan Jan musiał ją wymienić w 2018 r. – *Na opaskę trzeba patrzeć jak na formę implantu. Uległa uszkodzeniu, ale nie z powodu złych zachowań pacjenta* – zaznacza dr Wyleżoł.

Uszkodzenie wywołało jednak trzymiesięczny, błyskawiczny wzrost wagi (plus 30 kg) i powrót apetytu na golonki i ciasta. Przy ponownych 120 kg pan Jan znowu przyjechał na chirurgię po ratunek – i dostał kolejną szansę, bo przecież nie z własnej winy znów tył i nie potrafił się nasycić (ostatnie lata przewróciły do góry nogami spojrzenie na przyczyny choroby otyłościowej – nie wynika ona ze słabej woli ani złych nawyków pacjenta, jej źródła tkwią w zaburzonej pracy ośrodkowego układu nerwowego).

Karta wypisowa Jana Furmanka to katalog chorób, z których każda mogłaby być osobną historią:

2000 r. – operacja skrajnej otyłości, założenie opaski na żołądek
2002 r. – operacyjne usunięcie przepukliny pępkowej
2004 r. – operacyjne usunięcie przepukliny pachwinowej
2006 r. – usunięcie kamieni z lewej nerki
2007 r. – wycięcie tarczycy z powodu nadczynności
2008 r. – wszczepienie kardiostymulatora serca
2009 r. – rozpoznanie przewlekłej białaczki szpikowej
2011 r. – operacyjne usunięcie przepukliny mosznowej z wszyciem siatki
2013 r. – innowacyjna wymiana elektrod w stymulatorze serca i ablacja serca
2018 r. – wymiana opaski na żołądku i usunięcie polipów z jelita grubego
2025 r. – udar mózgu z przejściowym porażeniem ośrodka mowy
Choroby towarzyszące: nadciśnienie tętnicze, zakażenie *Helicobacter pylori*, choroba refluksowa, zapalenie przełyku, żołądka i dwunastnicy.

Jak na cyborga przystało, awaria systemowa mogła jednak przydarzyć się wszędzie. I nadeszła: we wrześniu 2025 r., podczas niewinnej wizyty u fizjoterapeuty z powodu bolącego kolana. – *Podczas masażu zemdlałem. Kiedy zaczęto mnie cucić, zacząłem bełkotać. Szybko rozpoznano udar. Okazało się, że oderwana skrzeplina zablokowała tętnice w mózgu* – opowiada pan Jan. Kiedyś by na tym skończył swoją historię, ewentualnie żył sparaliżowany. Teraz w kieleckim szpitalu trafił błyskawicznie na rezonans, a następnie zastosowano technologię iście kosmiczną z punktu widzenia minionej epoki: trombektomię mechaniczną, polegającą na wprowadzeniu cewnika przez tętnicę udową aż do mózgu, by fizycznie wyciągnąć zakrzep. – *Lekarz, który mi robił ten zabieg, był ze mną szczery: wykonuje się go dopiero od 2018 r., więc wcześniej by mnie nie uratowano* – opowiada Jan Furmanek.

Serce, nerki, tarczyca, na koniec mózg – organizm pana Jana wystawiał medycynę na niejedną próbę. I wszystkie udało się przejść zwycięsko. Ta historia pokazuje, jak w ciągu zaledwie jednego pokolenia zmieniły się nasze szanse na przeżycie – i jak łatwo przestajemy to zauważać. Pan Jan, zapytany, co o tym myśli, ucina filozoficzne dywagacje z twardym realizmem przedsiębiorcy z branży transportowej: – *Jestem chyba dobrze urodzony, jeśli chodzi o czas, bo gdybym się urodził 10 czy nawet 5 lat wcześniej, to nie miałbym tylu szans.*

Na co dzień ekscytujemy się tym, że nasze smartfony potrafią wykadrować zdjęcie za pomocą algorytmu, ale prawdziwa futurystyczna magia dzieje się na szpitalnych oddziałach, gdzie ludzi z tak potwornie obciążoną biologią, zamiast kierować pod opiekę paliatywną, po prostu się „przepycha", stymuluje i puszcza w dalszą drogę. Jan Furmanek jest bohaterem naszych czasów nie dlatego, że wyzdrowiał – bo w klasycznym rozumieniu tego słowa nie wyzdrowiał nigdy. Jednak na jego przykładzie widać, jak nowoczesna medycyna potrafi utrzymać przy życiu wbrew prawom biologii, zamieniając to, co niegdyś było śmiertelnym wyrokiem, w kolejny punkt w kalendarzu wizyt kontrolnych. Pytanie tylko, gdzie leży granica tej technologicznej nieśmiertelności i czy system, w którym jeden pacjent wymaga zaangażowania kilkunastu specjalności medycznych naraz, jest w stanie przetrwać własny sukces.

PAWEŁ WALEWSKI

© ARCHIWUM JANA FURMANKA

eprasa.pl b6a46f48ee

ŻYWOT PANÓW BRACI



Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**

Wydanie cyfrowe – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**

Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**

Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

KUP TERAZ

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl b6a46f48ee

Zbrojne auta

Jak europejski przemysł motoryzacyjny zamierza się bronić przed chińską inwazją i dlaczego za pomocą dronów, amunicji i samochodów pancernych?

Linia produkcyjna pojazdów dla wojska w fabryce Jelcz. Powyżej: wojskowa wersja ciężarówki Zetros z zakładów Mercedes-Benz Trucks.

ADAM GRZESZAK

Chińska motoinwazja zaczęła się zaledwie kilka lat temu, a w ub. r. auta z Państwa Środka, o wciąż egzotycznie brzmiących nazwach, miały już 6-procentowy udział w rynku samochodowym UE, a w polskim ponad 8-procentowy. Chińczycy nie zdejmują nogi z gazu i w sierpniu tego roku przekroczyli już 11 proc. Ich przemysł motoryzacyjny, zwłaszcza e-samochodowy, intensywnie subsydiowany przez państwo, realizując postawione przez partię cele planu „Made in China 2025", rozrósł się ponad miarę. Rynek krajowy nie jest w stanie wchłonąć takiej liczby aut, więc trzeba je wyeksportować. Za wszelką cenę, nie licząc się z kosztami, nawet ze stratą. Na świecie są dwa zamożne i chłonne rynki samochodowe: europejski i amerykański. USA postawiły tamę, więc chińska fala ze zdwojoną siłą uderzyła w Europę.

Ta powódź stworzyła egzystencjalne zagrożenie dla unijnego przemysłu motoryzacyjnego. Jeszcze niedawno europejskie koncerny uczyły Chińczyków, jak się robi nowoczesne samochody, lokowały tam własne fabryki i sprzedawały auta, nieźle na tym zarabiając, a dziś sytuacja się odwróciła. Bruksela długo się temu przyglądała, aż wreszcie postanowiła działać. Jesienią 2024 r. po przeprowadzeniu dochodzenia i ustaleniu, że auta elektryczne z Chin są nieuczciwie subsydiowane przez państwo, nałożyła na nie dodatkowe cła wyrównawcze. Eksport bateryjnych aut z Chin zmalał, ale nie aż tak, jak oczekiwano. Chińczycy przełknęli wyższe cła, zredukowali własne marże albo uruchomili montaż e-aut w krajach UE. Tak np. zrobił Leapmotor, początkowo w polskich zakładach Stellantis w Tychach, a potem w Saragossie.

Potęga się sypie

Chińczycy dostrzegli, że Europejczycy wciąż nie są entuzjastami samochodów elektrycznych, za to chętnie kupują auta hybrydowe. Mają one już ok. 40-procentowy udział w rynku. W pierwszej połowie 2026 r. eksport tych aut do UE wzrósł aż trzykrotnie w stosunku do 2025 r. W sumie w tym roku może trafić do Europy nawet 800 tys. sztuk. To dla europejskich koncernów, zmagających się z trudnym procesem zielonej transformacji, uderzenie wyjątkowo bolesne. Auta hybrydowe, zwłaszcza typu plug-in, odznaczają się najniższą emisją CO_2 (ok. 29 g CO_2/km), więc im większy będzie ich udział wśród ogółu sprzedanych aut, tym większa szansa, że producent spełni wymóg średniej emisji (93,6 g CO_2/km) na sprzedany samochód. Inaczej czekają go mordercze kary.

Przejęcie przez Chińczyków rynkowego segmentu hybryd może sprawić, że cały misterny unijny plan dekarbonizacji europejskiego przemysłu samochodowego (w 2035 r. kończy się era silników spalinowych) poniesie fiasko. Jednocześnie w gruzy może runąć unijny sektor gospodarki, zatrudniający 12–13 mln pracowników, zapewniający 7 proc. unijnego PKB (w Polsce 8 proc.) i dający 170 mld euro eksportu (w Polsce 105 mld zł).

Erozję już widać. W 2025 r. zamknięto w UE wiele fabryk, a pracę straciło 100 tys. pracowników. Tylko w Polsce były to: zakłady FCA Powertrain Poland w Bielsku-Białej, Volvo Buses we Wrocławiu, Scania Production w Słupsku, Stomil Poznań. Unijne fabryki samochodów osobowych i lekkich dostawczych działają obecnie na poziomie zaledwie ok. 55 proc. średniego wykorzystania mocy produkcyjnych. Od 2017 r. europejscy producenci samochodów stracili jedną piątą udziału w światowym rynku.

Sytuacja zrobiła się poważna, dlatego w październiku komisarz UE ds. handlu Maroš Šefčovič wybrał się do Pekinu na „spotkanie konsultacyjne" z ministrem handlu Chin Wang Wentao. Efektem jest „wspólne porozumienie" w sprawie ograniczenia chińskiego eksportu aut hybrydowych do UE. Dotyczyć ma ono klasycznych hybryd (HEV), miękkich (MHEV), a szczególnie plug-in, czyli z możliwością doładowywania akumulatorów (PHEV). Deficyt handlowy Europy z Chinami sięga już 360 mld euro, a chiński eksport samochodów jest wart ok. 15 mld euro.

Z nieoficjalnych informacji wynika, że zgodnie z porozumieniem (jego treść poznamy dopiero w grudniu) import zostanie w przyszłym roku ograniczony do 350 tys. pojazdów. Limit będzie następnie zwiększany o 6 proc. rocznie przez kolejne cztery lata. To spore ograniczenie, zważywszy, że w tym roku spodziewanych jest w sumie 800 tys. chińskich hybryd. – *Nie znamy szczegółów, nie wiemy, czy zawarto umowę, czy to tylko deklaracja politycznych intencji. Trudno więc ocenić, jak wpłynie ono na rynek i sytuację europejskiego przemysłu. Sądząc jednak po sprzecznych komentarzach urzędników chińskich i unijnych, obie strony widzą porozumienie nieco inaczej* – komentuje Jakub Faryś, prezes Polskiego Związku Przemysłu Motoryzacyjnego. Wiadomo, że limit obejmie sprowadzane do UE hybrydy również europejskich marek, produkowane w chińskich fabrykach. Nie obejmie natomiast chińskich aut montowanych w UE ani w krajach, z którymi ma ona odrębne umowy, np. w Turcji czy Maroku. – *W porozumieniu nie ma mowy ani o autach benzynowych, ani, co ważne, o lekkich autach dostawczych, a to segment rynku, na którym chińskie firmy rosną wyjątkowo szybko. W sumie więc import wszystkich aut z Chin dojdzie do 1–1,2 mln sztuk rocznie* – wyjaśnia prezes Faryś.

Wszyscy wiedzą, że w tej rozgrywce Chińczycy mają mocniejsze karty. Wszystko za sprawą metali ziem rzadkich, których wydobycie i przerób zmonopolizowali w skali globalnej. Dziś trzymają świat w szachu, bo nawet Donald Trump musiał pohamować antychińską krucjatę, gdy usłyszał, że bez chińskiego ceru, lantanu, neodymu, itru cały nowoczesny amerykański przemysł stanie.

Chińczycy umiejętnie sterują dostępem do swych najcenniejszych zasobów, więc UE musi także być gotowa na daleko idące ustępstwa. Nie tylko zresztą w sprawie aut, bo na szali jest los całego europejskiego sektora technologicznego, transformacji energetycznej i Zielonego Ładu. Dlatego obok porozumienia w sprawie hybryd Šefčovič uzgodnił drugie – w sprawie „zielonego kanału", czyli ułatwienia europejskim firmom uzyskiwania licencji na import metali ziem rzadkich i magnesów neodymowych.

Powrót do korzeni

Branża motoryzacyjna szuka ratunku w innych obszarach gospodarki. CLEPA, czyli Europejskie Stowarzyszenie Dostawców Motoryzacyjnych, wspólnie z firmą doradczą McKinsey przeprowadziły ankietę wśród europejskich firm: większość chce zdywersyfikować działalność. Najczęściej poszukiwania nowych obszarów działania dotyczą produkcji zbrojeniowej, na drugim miejscu jest sprzęt AGD, a na trzecim produkcja lotnicza. Branża zbrojeniowa kusi jednak 343 mld euro przeznaczonymi na wydatki obronne UE, w Polsce zaś SAFE to ok. 180 mld zł. Zbrojeniówka została więc okrzyknięta nową szansą przemysłu motoryzacyjnego.

Grupa Renault ogłosiła, że opracowuje drona naziemnego do użytku wojskowego i cywilnego. W styczniu koncern ▶

© KATHARINA KAUSCHE/DPA/PAP, MACIEJ KUKCZYŃSKI/PAP

eprasa.pl b6a46f48ee

▶ podpisał umowę partnerstwa z koncernem zbrojeniowym Turgis Gaillard dotyczącą produkcji lotniczych dronów we Francji. „Grupa została poproszona przez francuskie Ministerstwo Sił Zbrojnych o wykorzystanie doświadczenia, aby wesprzeć przemysł zbrojeniowy w stawianiu czoła wyzwaniom związanym z innowacyjnością, suwerennością i produkcją na dużą skalę. Od pojazdów wielozadaniowych, przez drony, po zdalnie sterowaną amunicję" – czytamy w komunikacie koncernu. Są również warunki, jakie stawia koncern. „Projekty, w których uczestniczy Grupa, muszą: być prowadzone pod patronatem francuskiego ministerstwa sił zbrojnych; obejmować partnerstwa z europejskimi producentami obronnymi; generować aktywność dla zespołów inżynieryjnych i zakładów Grupy we Francji; oraz być realizowane bez wpływu na zdolność inwestycyjną Grupy". W ten sposób Renault wraca do korzeni. W końcu obowiązująca do dziś konstrukcja czołgu z obrotową wieżą narodziła się we francuskiej firmie samochodowej w czasie pierwszej wojny światowej.

Szturm przez obronę

Niemieckie firmy motoryzacyjne też mają dawne doświadczenia zbrojeniowe, choć nie lubią się nimi chwalić. Ma je także Volkswagen, więc gdy pojawił się problem redukcji mocy produkcyjnych i zamknięcia fabryki w Osnabrück, natychmiast padło hasło uruchomienia tam produkcji dla wojska. Były zaawansowane rozmowy z izraelskim koncernem zbrojeniowym Rafael na temat wspólnego wytwarzania wojskowych ciężarówek przeznaczonych do obrony przeciwrakietowej, a potem systemów obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej Iron Dome, Arrow i David Sling. Na kooperację z izraelską firmą nie zgodził się jednak katarski udziałowiec koncernu VW. Ostatecznie Izraelczycy odkupili zakład w Osnabrück i przejęli pracowników.

W czerwcu 2026 r. Mercedes-Benz nawiązał współpracę z Tytan Technologies. W jej ramach na bazie furgonetki Sprinter oraz terenowego modelu klasy G ma powstać mobilny system obrony powietrznej przeznaczony do zwalczania niewielkich dronów. Firmy mają nadzieję na stworzenie systemu tańszego niż Oerlikon Skyranger firmy Rheinmetall. Ford, GM oraz brytyjski koncern JLR znalazły się w gronie przedsiębiorstw ubiegających się o kontrakt brytyjskiego ministerstwa obrony o wartości 1,2 mld dol. Zamówienie obejmuje początkowo 3 tys. pojazdów, które mają powstać na bazie zmodyfikowanych wersji ciężarówek i aut terenowych, już znajdujących się w ofercie tych producentów. Firma Daimler Truck produkuje wojskowe odmiany ciężarówek, m.in. Zetros, Unimog i Arocs. W 2026 r. nawiązała współpracę z polską Polską Grupą Zbrojeniową. Planowany jest montaż silników w Kaliszu. Będą trafiać do pojazdów wojskowych polskich producentów. Uruchomienie linii przewidziano na 2027 r.

– *Sektor obronny jest jednym z obszarów, gdzie w najbliższych latach spodziewamy się rosnącego zapotrzebowania na technologie, moce produkcyjne i produkty, dlatego chcemy się dynamicznie rozwijać w tym obszarze. Naszym celem jest budowa zintegrowanej platformy wspierającej krajowy przemysł obronny* – deklaruje Adam Sikorski, prezes Grupy UNIMOT. Firma jest znana z działalności na rynku paliwowym, lecz w jej strukturze jest także spółka PZL Sędziszów, główny dostawca filtrów samochodowych (powietrza, oleju, paliwa i kabinowych). PZL Sędziszów ma się wkrótce zamienić w PZL Defence Holding. „Jednym z kluczowych projektów Grupy UNIMOT w segmencie obronnym jest rozwój silnika turboodrzutowego AI-04G we współpracy z ukraińskim biurem konstrukcyjnym JSC Ivchenko-Progress. Projekt docelowo zakłada uruchomienie seryjnej produkcji silników odrzutowych do dronów przez PZL Sędziszów. Równolegle wspólnie z amerykańską firmą Divergent Technologies analizujemy możliwość wykorzystania technologii DAPS – zintegrowanego systemu zaawansowanej produkcji, wykorzystującego m.in. druk 3D z metalu i zrobotyzowany montaż" – wyjaśnia Grupa UNIMOT.

System dual-use

Warszawskie Zakłady Mechaniczne WUZETEM, produkujące m.in. samochodowe rozpylacze i wtryskiwacze, już wytwarzają elementy zapalników do pocisków artyleryjskich, a technologie rozwijane m.in. na potrzeby motoryzacji znajdują zastosowanie w systemach uzbrojenia. Prezes Jacek Pużuk podkreśla też potencjał wejścia firmy w łańcuch dostaw komponentów m.in. dla dronów, systemów optoelektronicznych czy głowic obserwacyjnych.

Polska Grupa Motoryzacyjna (PGM), zrzeszająca blisko stu producentów i dostawców sektora motoryzacyjnego, od kilku lat uczestniczy w projektach dotyczących rozproszonej produkcji wyrobów strategicznych oraz w budowaniu relacji między producentami a odbiorcami z sektora obronnego. – *57 firm, członków PGM, zadeklarowało zainteresowanie udziałem w takich projektach. Część już produkuje dla wojska. Spółka Intap, produkująca fotele do autobusów i mikrobusów, wspólnie z Wojskowym Instytutem Techniki Pancernej i Samochodowej, opracowała fotel chroniący załogę pojazdów specjalnych i wojskowych przed skutkami wybuchów min oraz ładunków* – wyjaśnia Bartosz Mielecki, dyrektor zarządzający PGM.

– *Wiele firm dziś kojarzonych z motoryzacją ma silne historyczne powiązania z produkcją na rzecz sektora obronnego. Produkcja dual-use, czyli cywilna i wojskowa, to kierunek w Polsce dobrze znany. Jednak bariera wejścia jest trudna do pokonania, a specyfika produkcji na tyle odmienna, że nie każdy może jej sprostać* – przekonuje Tomasz Bęben, prezes Stowarzyszenia Dystrybutorów i Producentów Części Motoryzacyjnych. Część zakładów motoryzacyjnych pamiętających czasy PRL – takich jak Jelcz czy Autosan – po bolesnym zderzeniu z wolnym rynkiem znów jest w rękach państwa i działa w strukturach Polskiej Grupy Zbrojeniowej.

Tomasz Szpikowski, prezes i współwłaściciel spółek Bergman Engineering i TestArmy, członek rady Polskiej Izby Dual Use, studzi jednak entuzjazm przedsiębiorców z branży motoryzacyjnej, którzy w produkcji zbrojeniowej widzą szansę na szybkie poratowanie biznesu. – *Samo uzyskanie koncesji na produkcję dla wojska trwa do półtora roku. Należy przy tym spełnić wiele warunków, jak choćby związanych z dopuszczeniem pracowników do produkcji dla wojska, czasem także z uzyskaniem dla nich poświadczenia bezpieczeństwa. Do tego dochodzi konieczność posiadania tajnej kancelarii, odpowiednio zabezpieczonej, bo Wojsko Polskie korzysta tylko z dokumentacji papierowej. W sumie samo przygotowanie to koszt kilkuset tysięcy złotych* – tłumaczy. I dodaje, że po tych formalnościach dopiero zaczynają się schody związane z uzyskaniem zamówienia, bo wojsko to trudny, kapryśny i nieprzewidywalny klient.

I pomyśleć, że w PRL dual-use był standardem. W każdym większym zakładzie przemysłowym był tajny „wydział S", który produkował coś dla wojska. Wrocławski Polar robił pralki automatyczne i amunicję, Predom sprzęt AGD i zapalniki do rakiet ziemia-powietrze, Pronit w Pionkach płyty gramofonowe i materiały wybuchowe. Trochę jak w skeczu Smolenia i Laskowika: „W naszym zakładzie robimy bombki. Choinkowe? Też".

ADAM GRZESZAK

eprasa.pl b6a46f48ee



Teren pod budowę CPK

Ulotne lotnisko

Spółka CPK przez trzy miesiące nie miała zarządu, odcięto ją od dofinansowania unijnego i dostaje mniej pieniędzy, niż planowano. Opóźnia się budowa, przesuwane są terminy kolejnych przetargów, a z grona chętnych do budowy terminala na własne życzenie wypisało się duże konsorcjum.

MARCIN PIĄTEK

Wsie się wyludniły, „czynnik ludzki" nie stoi już na drodze narodowej inwestycji lotniskowej. Miejsca kombajnów i ciągników zajął na polach ciężki sprzęt. Przybywa zamkniętych dróg, szlabanów i płotów, zakazów wjazdu niedotyczących pojazdów budowy CPK. Tymczasowymi drogami przemykają ciężarówki i pikapy z logo firmy „Wyburzenia Śląsk", obracające w sterty gruzów kolejne gospodarstwa.

Budowa miała ruszyć „pełną parą" – wedle zapewnień sterników projektu – we wrześniu. Ale na razie, jak mówi się z przekąsem w okolicy, jest przymiarka do wstępu, czyli akcja-niwelacja. Jej efekty najlepiej widać z lotu ptaka: orne jeszcze do niedawna pola (jedne z najlepszych na Mazowszu, jeśli chodzi o jakość gruntów) spychy i walce przecięły szerokimi jasnymi prostokątami, od których odchodzi rząd mniejszych, wyglądających jak stanowiska postojowe dla samolotów.

W drugiej połowie października zakończono palowanie próbne, czyli wzmacnianie gruntu pod przyszły budynek terminala. Dalsze prace wstrzymano z powodu niedopełnienia formalności urzędowych. Nie wiadomo, kiedy zostaną wznowione.

Obecnie rządzący w temacie budowy narodowego lotniska wykonali spektakularny zwrot. Będąc w opozycji, krytykowali „megalomański projekt" forsowany „na krzywdzie lokalnych mieszkańców", po czym kilka miesięcy po przejęciu władzy, nie zrobiwszy żadnych audytów, ogłosili, że inwestycja jednak powstanie, ale nieco okrojona. I odchudzili kosztorys ze 155 mld do 131 mld zł. To wystarczyło, by wszem wobec powtarzać, że teraz projekt stanął z głowy na nogi, a obecnej władzy należą się podziękowania za wyjątkową gospodarność publicznym groszem.

Gry odszkodowaniami

W dalszym ciągu nie zostały jednak ujawnione żadne wiarygodne analizy ani ekspertyzy pokazujące, że budowa tego lotniska, pod presją silnej konkurencji w regionie – Berlin, Monachium, Frankfurt, Wiedeń – ma sens i broni się ekonomicznie. A te 131 mld? Nie należy się do nich przywiązywać; gdy budowa ruszy, trzeba ją będzie dokończyć za wszelką cenę.

Personalnym symbolem owego nieoczekiwanego zwrotu został poseł Koalicji Obywatelskiej Maciej Lasek. ▶

© LESZEK ZYCH

eprasa.pl b6a46f48ee

▶ Przed wyborami parlamentarnymi był jednym z twardych krytyków projektu. Szukał głosów w kampanii, jeżdżąc po przeznaczonych do wysiedlenia wsiach w gminach Baranów, Teresin i Wiskitki i obiecując mieszkańcom, że nie zostawi ich w potrzebie. Dostał się do Sejmu i wkrótce został rządowym pełnomocnikiem do sprawy budowy CPK. Polityczni przełożeni wymagali od Laska postępów, a on mógł je osiągnąć tylko w jeden sposób: pozbywając się z tego terenu ludzi, o których wcześniej obiecał walczyć. Wpisał się więc w narrację lansowaną już za rządów PiS: przystępujcie do programu dobrowolnych nabyć nieruchomości, bo jak nie, to i tak was stąd wysiedlimy, ale na o wiele gorszych warunkach.

Program już się zakończył, ale ten ton podtrzymywany jest do dziś; niedawno spółka CPK rozesłała po mediach informację, z której wynikało, że ci, którzy opuścili gospodarstwa dopiero na mocy wywłaszczeń, są przegrani, gdyż właściciele nieruchomości z programu dobrowolnych nabyć „mogli otrzymać nawet 20 mln zł". Wywłaszczenia ruszyły zimą tego roku, choć wciąż jeszcze daleko do finalizacji (wypłaty ostatecznego odszkodowania) w kilkuset przypadkach. Od wycen gospodarstw, dokonanych przez wojewodę mazowieckiego Mariusza Frankowskiego (podpisanego pod decyzją lokalizacyjną dla lotniska, której nadano rygor natychmiastowej wykonalności), odwołali się bowiem zarówno wywłaszczani, jak i sama spółka CPK. – *Co jest o tyle kuriozalne, że wojewoda dokonywał wycen, opierając się na kwotach z programu dobrowolnych nabyć firmowanego przez spółkę. Można odnieść wrażenie, że kwestionują teraz ceny, które sami wcześniej zaproponowali* – mówi Mirosław Ochojski z kancelarii prawnej Inlegis, reprezentującej wywłaszczanych.

Wywłaszczonym przysługują wprawdzie, niezależnie od wszczęcia procedury odwoławczej, zaliczki w wysokości 85 proc. odszkodowania. I te zostały wypłacone. – *Wiele osób ma jednak obawy, by tymi pieniędzmi rozporządzać. Co bowiem, jeśli przyznana im kwota zostanie skutecznie zakwestionowana?* – dodaje Ochojski. Mówi się, że spółka wnosi odwołania po to, by wywrzeć presję na kolejnych przystępujących do programu dobrowolnych nabyć właścicieli nieruchomości. Tych stojących na kursie kolizyjnym z liniami kolei dużych prędkości, zaplanowanymi w dużej części z myślą o dotarciu do lotniska. Tam skala wysiedleń i ewentualnych wywłaszczeń będzie o wiele większa niż pod lotnisko.

Gorące fotele

Nadzorując wyprowadzkę mieszkańców, Maciej Lasek wykonał kawał niewdzięcznej roboty. Ale wciąż musiał użerać się z ludźmi stojącymi na drodze superszybkiej kolei, nad których ciężkim losem, będąc w opozycji, również obiecywał się pochylić. Przejścia do rozpoczęcia prac związanych z palowaniem terenu pod terminal jednak nie doczekał. W czerwcu tego roku odszedł ze stanowiska, a miesiąc później odwołano prezesa spółki CPK Filipa Czernickiego. Pierwszy konkurs na nowe władze unieważniono, bo chętni nie spełnili oczekiwań. Pod koniec października na prezesa wybrano Piotra Borysa, menedżera kolejowego. – *To gorący fotel. Terminy są napięte, presja na sprawczość duża, każde opóźnienie to nerwówka. W Polsce powstało w ostatnich kilkunastu latach wiele portów lotniczych, inne się rozbudowały. Pracują tam menedżerowie i inżynierowie, którzy znają się na realiach budowy i funkcjonowania lotniska. Nie słyszałem, by którykolwiek z nich został zatrudniony przez spółkę CPK* – mówi osoba z branży.

Lasek odmówił rozmowy na temat przyczyn swojego odejścia, gdyż, jak poinformował, „przyjął zasadę niekomentowania zarówno swojej decyzji, jak i projektu". – *Podjął się misji niemożliwej, czyli firmowania „wysiedleń z ludzką twarzą", co miało pomóc Koalicji Obywatelskiej zyskać na tych terenach trochę poparcia. To się jednak nie udało, w ubiegłorocznych wyborach prezydenckich Trzaskowski dostał tam dwa razy mniej głosów niż Nawrocki* – mówi jeden z mieszkańców gminy Teresin.

Ale Lasek stawał się też coraz bardziej niewygodny. Upominał się o pieniądze, bez których termin (2032 r.) oddania do użytku lotniska oraz choćby niektórych linii kolei dużych prędkości, mającej do portu dowieźć pasażerów, coraz bardziej się oddalał. W lipcu 2025 r. Lasek napisał do odpowiedzialnego za kolej w Ministerstwie Infrastruktury Piotra Malepszaka, że spółka CPK jest „dyskryminowana", jeśli chodzi o dostęp do finansowania projektów kolejowych z funduszy unijnych. Priorytet mają bowiem inwestycje zapisane w Krajowym Planie Kolejowym, nadzorowane przez spółkę PKP PLK. W praktyce to wszystkie projekty



poza koleją dużych prędkości, gdyż stworzenie tej sieci to zmartwienie nie PKP PLK, a spółki budującej gigalotnisko.

Kołdra jest za krótka

Ton Laska podchwyciły władze spółki CPK, kierując w czerwcu tego roku do ministra Malepszaka list, w którym alarmowały, że brak dostępu do środków unijnych „doprowadzi do paraliżu inwestycyjnego". W końcu Malepszak, już jako powołany na stanowisko rządowego pełnomocnika do budowy CPK, złożył wniosek o przekazanie spółce ponad 7,5 mld zł z obligacji skarbowych. Ale pierwotnie zakładano, że z tego źródła CPK otrzyma w 2026 r. 11 mld zł.

Poza tym spółka „przestrzeliła" skalę możliwych do uzyskania środków unijnych w kolejnej perspektywie (2028–34). Szacowano je na 33 mld zł, będzie co najwyżej 10 mld. – *Mając problem z finansowaniem unijnym, spółka CPK ustawia się w kolejce po pieniądze z Funduszu Kolejowego* (finansowanego m.in. z opłaty paliwowej, ze spółek Skarbu Państwa oraz kredytów i obligacji – przyp. red.). *Ale najpierw trzeba by przeprowadzić jego reformę, a ona się odkłada co najmniej do 2028 r. Poza tym kołdra jest za krótka – wydatki na kolej dużych prędkości oznaczają mniejsze środki na połączenia konwencjonalne. A przywracając lokalne połączenia, walcząc z wykluczeniem komunikacyjnym, można sporo politycznie ugrać. Na pewno więcej niż budując superdrogą kolej głównie na potrzeby uruchomienia lotniska* – uważa menedżer funkcjonujący na rynku kolejowym.

eprasa.pl b6a46f48ee



© LESZEK ZYCH

Efekt? Trzeba szukać innych źródeł finansowania, czyli przede wszystkim kredytów. Koło ratunkowe wartości 20 mld zł właśnie rzucił dla spółki CPK Bank Gospodarstwa Krajowego. Trzeba też ciąć i optymalizować. Wiceprezes spółki CPK Piotr Rachwalski przyznał niedawno, że być może trzeba będzie zmniejszyć z sześciu do czterech liczbę lotniskowych peronów dla pociągów. Już są też opóźnienia w ogłaszaniu przetargów na stanowiącą punkt wyjścia kolei dużych prędkości linię Warszawa–Łódź, np. przetarg na sieć trakcyjną przesuwano już siedmiokrotnie. Prezes Rachwalski opóźnienia woli jednak nazywać racjonalizacją. Twierdzi, że efektem ubocznym ścigania się z PKP PLK o wykonawców teraz byłoby windowanie cen. A „biedna" spółka nie może sobie na to pozwolić. W tym roku planowano ogłoszenie przetargów na łączną kwotę 50 mld zł, trzeba było ją ściąć do 15 mld.

Rekordowy kontrakt

Wybory parlamentarne za niespełna rok i rządzący bardzo chcieliby się pochwalić konkretami z budowy samego lotniska. Wydawać by się mogło, że na realizację tak priorytetowego projektu pieniądze uda się wykopać nawet spod ziemi, a wykonawcy będą walczyć do upadłego o zwycięstwo w przetargach. Tymczasem niedawno gruchnęła informacja, że z udziału w przetargu na budowę terminala zrezygnowało konsorcjum Polimexu-Mostostalu oraz niemieckiej firmy Hochtief. Czyżby nie chcieli zarobić? – *Chcieliby, i to bardzo. Przez rok analizowali dokumentację i doszli do wniosku, że ryzyko, iż trzeba będzie do tego interesu dołożyć, jest zbyt duże* – uważa menedżer działający na rynku budowlanym.

W branży mówi się, że jeśli chodzi o budowę terminala pasażerskiego dla CPK – zaprojektowanego za astronomiczne 850 mln zł przez pracownię Normana Fostera, jedną z największych gwiazd współczesnej architektury – wszystko stoi na głowie. – *Nie ma pozwolenia na budowę. Kiedy będzie? Trudno powiedzieć. Dopóki nie ma pozwolenia, nie można budować. Problem drugi: nie ma głównego inżyniera kontraktu. Przetarg wprawdzie rozstrzygnięto, ale poszły odwołania. Zresztą spółka CPK się sama o nie prosiła, bo z błahego powodu odrzuciła jedną z ofert, co wytknęła potem Krajowa Izba Odwoławcza. Uwzględniła argumenty przegranego konsorcjum, więc postępowanie się przedłuża. A gra idzie o duże pieniądze, bo między ofertami jest spora różnica. 2,2 mld kontra 1,7 mld* – mówi menedżer.

To rekordowa w historii polskich zamówień publicznych suma przeznaczona dla głównego inżyniera kontraktu. Inżynier kontraktu to w praktyce inwestor zastępczy; jako wyspecjalizowana firma rozlicza, nadzoruje i weryfikuje prace, de facto prowadzi inwestycję. – *I bierze za jej przebieg odpowiedzialność. Teoretycznie można sobie wyobrazić rozstrzygnięcie przetargu na budowę terminala bez inżyniera kontraktu. Ale w spółce CPK, zatrudniającej 1,2 tys. osób, brakuje kompetentnych pracowników, którzy byliby w stanie sprawować nad tą ogromną inwestycją właściwą kontrolę. Inżynier jest niezbędny* – zauważa menedżer.

To nie koniec problemów z właściwą kolejnością prac. – *Wciąż nie został wyłoniony wykonawca tunelu pod terminalem. Zresztą parametry tego tunelu nie mają jeszcze ostatecznego kształtu, wyklarują się dopiero w ramach tzw. dialogu konkurencyjnego, w którym biorą udział firmy zainteresowane realizacją tego zadania. A trudno wybudować terminal, nie znając wszystkich rozwiązań konstrukcyjnych i projektowych dla tunelu. Spółka CPK stara się przeforsować w umowach zapisy, które sprowadzają się do tego, że ewentualne kolizje na tych dwóch placach budów mają między sobą rozstrzygać wykonawcy. Roszczenia? Proszę bardzo, byle nie do nas, spierajcie się między sobą* – opowiada menedżer.

Ewentualnych kolizji na budowie terminala może być więcej, bo do oddzielnych przetargów wyłączone zostały integralne części przyszłego lotniska, np. system kontroli bagażu, urządzenia do transportu na samym terminalu czy rękawy pasażerskie. W branży coraz głośniej mówi się też, że w projekcie przyszłej umowy z wykonawcą terminala zapisano bardzo wysokie i nieadekwatne do skali przewinienia wykonawcy kary. Oraz że projekt budowlany terminala autorstwa biura Fostera pozostawia wiele do życzenia. Są w nim dziury, a opierając się na tym dokumencie, trzeba dopiero sporządzić projekt wykonawczy terminala.

Wszystko wstępne

Na te wilcze doły, które czekają na wykonawcę, sposób jest jeden: zasypać je pieniędzmi. Czyli przyjąć duży bufor w kosztorysie inwestycji, żeby do niej nie dołożyć. Spółka CPK chce na budowę terminala przeznaczyć ponad 5 mld zł. Na rynku mówi się, że będzie cudem, jeśli jakaś oferta zmieści się w tym budżecie. Co wtedy? W scenariuszu optymistycznym: odważna decyzja kierownictwa spółki CPK o zwiększeniu budżetu do poziomu najkorzystniejszej oferty. Bardziej prawdopodobne jest jednak unieważnienie postępowania w nadziei, że oferenci się nieco zmitygują. A czas biegnie.

W związku z tym pod dużym znakiem zapytania staje termin oddania lotniska do użytku w 2032 r. – *Zwłaszcza że to nie autostrada, którą można otworzyć, jednocześnie montując ekrany dźwiękochłonne albo wykonując inne prace niezakłócające ruchu. Lotnisko, wraz z co najmniej jedną linią kolejową, musi być gotowe na tip-top. Biorąc pod uwagę piętrzące się problemy, o których już dziś wiemy, uważam, że realny jest raczej 2035 r.* – mówi menedżer z branży budowlanej.

Pewne jest tylko jedno: niekończące się sypanie pieniędzy. Państwowych, z niewielkim wsparciem unijnym, bo rządzący wypowiedzieli umowę, jaką ze strategicznym inwestorem prywatnym (konsorcjum australijsko-francuskim) tuż przed wyborami parlamentarnymi w 2023 r. zawarły ówczesne władze spółki CPK, z nadania PiS. Krok w tył uzasadniano tym, że za 8 mld zł, jakie zadeklarowało konsorcjum, chciano przekazać mu zbyt duży udział w przyszłych zyskach. Ale przynajmniej obyło się bez kar. Umowa była tylko porozumieniem wstępnym.

Podobnie jest z całym CPK – jest bardzo wstępnie.

MARCIN PIĄTEK

Biuro prasowe CPK nie odpowiedziało na pytania POLITYKI.

eprasa.pl b6a46f48ee

Cena trudnego sąsiedztwa. Jak Podlaskie buduje nową architekturę bezpieczeństwa Unii

Wschodnia granica UE to dziś kluczowy punkt europejskiego bezpieczeństwa. O cenie i szansach życia na geopolitycznym pograniczu mówi **Łukasz Prokorym**, marszałek województwa podlaskiego.



Marszałek Łukasz Prokorym „Bezpieczeństwo Unii zaczyna się w takich regionach jak Podlaskie"

Podlaskie jest organizatorem Forum Spójności i Rozwoju Granicznego UE. 4 listopada 2026 r. odbywa się druga edycja tego wydarzenia.

Dlaczego powołaliście międzynarodowe Forum Spójności i Rozwoju Granicznego UE? Bruksela zza swoich biurek nie dostrzega, co się tutaj dzieje?

Łukasz Prokorym: W Brukseli doskonale wiedzą, że mapa Europy się zmieniła. Czym innym jest jednak obserwowanie tej zmiany z perspektywy europejskich instytucji, a czym innym życie kilkadziesiąt kilometrów od granicy. Przez lata korzystaliśmy z sąsiedztwa ze Wschodem. Był handel, współpraca transgraniczna, turyści. Dziś część tych możliwości zniknęła. Nie chcemy jednak, żeby Podlaskie postrzegano wyłącznie jako region zagrożenia. Chcemy mówić także o tym, co możemy dać Europie. Bo bezpieczeństwo Unii zaczyna się właśnie w takich regionach jak Podlaskie. Mamy firmy, uczelnie, ludzi i infrastrukturę, które mogą stać się częścią europejskiego systemu bezpieczeństwa. Forum ma pokazać, że inwestycje w regiony graniczne nie są wydatkiem na peryferie, ale inwestycją w bezpieczeństwo całej Unii.



Premier Donald Tusk podczas Forum Spójności i Rozwoju Granicznego UE 2025

eprasa.pl b6a46f48ee

Druga edycja Forum odbywa się pod hasłem „Silne Regiony. Bezpieczna Europa. Nowa geografia europejskiej odporności". Co jest dziś najważniejsze?
Jednym z naszych postulatów jest stworzenie europejskiej „doktryny odporności regionalnej". Chodzi o to, żeby bezpieczeństwo i odporność cywilna na stałe znalazły się w polityce spójności. Mówimy o infrastrukturze, która w czasie pokoju służy mieszkańcom, a w sytuacji kryzysowej może być wykorzystana przez wojsko. Mówimy również o ochronie ludności i przeciwdziałaniu dezinformacji. Chcemy też lepiej przygotowywać inwestycje. Jeśli pojawiają się europejskie pieniądze, musimy mieć gotowe projekty, które można szybko realizować i finansować również z dużych instrumentów, takich jak Europejski Bank Inwestycyjny czy Europejski Bank Odbudowy i Rozwoju.

Bezpieczeństwo kojarzy się przede wszystkim z wojskiem i zakupami zbrojeniowymi. Czy jest w tym miejsce dla podlaskich firm?
Oczywiście. Możemy kupować najnowocześniejszy sprzęt, ale ktoś musi go produkować, serwisować i rozwijać technologie. Dlatego razem z Politechniką Białostocką tworzymy RE:SPACE – Regionalne Centrum Kształtowania Przestrzeni Odpornych. Ma połączyć naukę, biznes i potrzeby związane z bezpieczeństwem. Podlaskie ma silny sektor metalowo-maszynowy, firmy technologiczne i rozwijającą się branżę IT. Możemy rozwijać technologie o podwójnym zastosowaniu. Dron może służyć rolnictwu, ale również monitorowaniu granicy. Systemy łączności mogą działać na co dzień, ale muszą być odporne także na sytuacje kryzysowe.

Nie każda firma ma jednak kapitał i technologie, żeby wejść w sektor bezpieczeństwa.
I nie każda musi mieć je od razu. Potrzebujemy współpracy. Samorząd nie zbuduje tego systemu sam. Stąd pomysł Sojuszu dla Regionu, który łączy firmy przemysłowe, budowlane i ekspertów od bezpieczeństwa. Chodzi o to, żeby podlaskie przedsiębiorstwa nie były tylko wykonawcami pojedynczych zleceń, ale częścią większych łańcuchów dostaw. Jeżeli w Polsce i Europie rosną wydatki na bezpieczeństwo, chcemy, żeby część tych pieniędzy trafiała również do firm działających na wschodzie Polski.

Wszystko to wymaga ludzi. Tymczasem młodzi mieszkańcy wyjeżdżają.
To jedno z najpoważniejszych wyzwań. Depopulacja nie jest już tylko problemem demograficznym. Jeżeli wyjeżdżają młodzi ludzie, zaczyna brakować pracowników, lekarzy, inżynierów, nauczycieli i innych specjalistów. W dłuższej perspektywie staje się to również problemem bezpieczeństwa. Nie zatrzymamy młodych ludzi apelami. Muszą mieć dobrą pracę, mieszkanie, szkołę dla dzieci, dostęp do lekarza i normalne warunki życia.

Dlatego podczas Forum będziemy mówić o europejskiej inicjatywie Right to Stay. Europa powinna mocniej wspierać możliwość pozostania młodych ludzi w ich rodzinnych regionach.

Jednym z pomysłów jest wykorzystanie funduszy europejskich do tworzenia instrumentów mieszkaniowych dla osób, których szczególnie potrzebujemy – inżynierów, specjalistów IT czy personelu medycznego. Zabiegamy również o pilotażowy program „regionalnej wizy dla talentów", ułatwiający przyciąganie specjalistów z zagranicy do konkretnych regionów i branż.



Marszałek Łukasz Prokorym „Wzmocnienie wschodniej flanki jest dziś jednym z najważniejszych zadań polskiego państwa"

Co konkretnie ma się wydarzyć podczas Forum?
Forum jest kolejnym etapem działań, które prowadzimy od dłuższego czasu. Współpracujemy z rządem, instytucjami europejskimi i regionami znajdującymi się w podobnej sytuacji. Chcemy, żeby stało się platformą współpracy regionów, samorządów, przedsiębiorców i środowisk naukowych. Podlaskie chce być jednym z liderów tej współpracy. Działamy m.in. w ramach koalicji EURegions4Cohesion, skupiającej 149 europejskich regionów, które przedstawiły wspólne stanowisko w sprawie przyszłości polityki spójności. Mamy też efekty. Udało się przeznaczyć ponad 173 mln euro z obecnego programu regionalnego na inwestycje związane z technologią, bezpieczeństwem i infrastrukturą. Kolejne 94 mln euro trafiło na takie obszary jak schrony, szpitale czy systemy ewakuacji. Teraz chcemy zrobić kolejny krok. Podczas Forum przedstawimy Deklarację Regionów Trudnosąsiedzkich, która połączy postulaty samorządów, przedsiębiorców, uczelni i mieszkańców.

Czyli chcecie zmienić sposób, w jaki Europa patrzy na regiony graniczne?
Dokładnie. Chcemy dziś w Europie mocno podkreślać jedną rzecz: Podlaskie nie jest problemem, który Europa musi rozwiązać. Podlaskie jest częścią rozwiązania, które Europa musi zbudować.

Materiał przygotowany przez Urząd Marszałkowski Województwa Podlaskiego.

eprasa.pl b6a46f48ee



Obóz Beniamina Netanjahu ma teraz 53 posłów w 120-osobowym Knesecie, obóz Gadiego Eisenkota zdobył 48 mandatów

Albo my, albo Arabowie

Większość Izraelczyków zagłosowała przeciw Beniaminowi Netanjahu. Jednak to nie wystarczy, żeby odsunąć go od władzy. Tym bardziej że według niego Arabowie ukradli wybory.

AGNIESZKA ZAGNER Z JEROZOLIMY

Tłum na Placu Paryskim w Jerozolimie, niedaleko rezydencji premiera, skanduje: „Żydzi i Arabowie są równoprawnymi obywatelami Izraela". Jest 29 października, dwa dni po wyborach. – *Partie arabskie powinny wejść do rządu. Nie ma innego sposobu, by odsunąć Netanjahu od władzy i doprowadzić do prawdziwej zmiany w Izraelu. To zapewni nam bezpieczeństwo, bo Arabowie również będą współodpowiedzialni za kraj* – mówi Micha, 80-letni Jerozolimczyk i wyborca Wspólnej Listy, koalicji trzech partii arabskich, z której startowało także troje żydowskich kandydatów.

Wspólna Lista zdobyła 11 mandatów, sześć więcej niż cztery lata temu. Wraz z mandatami Ra'am (Zjednoczonej Listy Arabskiej) Mansura Abbasa partie arabskie będą mieć w Knesecie łącznie 19 deputowanych – niemal dwa razy więcej niż dotychczas. To one są największymi zwycięzcami tegorocznych wyborów. Od nich będzie zależeć, czy Gadi Eisenkot, lider opozycji, utworzy rząd.

Przy najwyższej od 1999 r. frekwencji (78 proc.) obóz Eisenkota zdobył 48 mandatów, a w połączeniu z partiami arabskimi dysponowałby większością 67 głosów w 120-osobowym Knesecie. Obóz Netanjahu ma 53 deputowanych, z czego 27 przypada na Likud, największą partię w parlamencie, 13 zdobyły żydowskie partie religijne, które straciły w sumie pięć mandatów, kolejne 13 – radykalne ugrupowania Itamara Ben-Gwira i Becalela Smotricza. To jednak wciąż za mało, by samodzielnie utworzyć rząd.

eprasa.pl b6a46f48ee

A to tylko początek powyborczej układanki. Choć suma mandatów obozu Eisenkota i partii arabskich daje większość, nie oznacza to jeszcze, że uda się zbudować z nich koalicję. Przeciw koalicji z Arabami jest Awigdor Lieberman, którego ugrupowanie Nasz Dom Żydowski jest częścią obozu Eisenkota i zdobyło siedem mandatów. Bez Liebermana nie będzie rządu. Ale też ewentualne przejście tego polityka do obozu Netanjahu jest mało prawdopodobne.

Jalla, odwaga!

Pierwszym testem będzie wybór nowego przewodniczącego Knesetu. Jeśli zostanie nim polityk związany z obozem zmiany, może być to dobrą wróżbą dla nowego rządu. Same negocjacje rządowe mogą potrwać kilka miesięcy, w kolejnych krokach możliwych jest trzech kandydatów na premiera. Jako pierwszego prezydent zapewne wyznaczy polityka, który ma największe szanse. Prawdopodobnie będzie to Eisenkot.

– *Do utworzenia rządu potrzeba odwagi i nieszablonowego myślenia. Izraelczycy dokonali wyboru, teraz czas na naszych liderów* – uważa Jariw Mozer, izraelski reżyser filmowy i jeden z założycieli Jaszar, czyli partii Eisenkota. Jego zdaniem, jeśli nie udałoby się utworzyć rządu z poparciem arabskiej Wspólnej Listy, alternatywą mogłoby być porozumienie z partią Ra'am i włączenie do rządu jedynego Żyda z jej listy – Joawa Segalowicza, byłego oficera izraelskiej policji, który jako pierwszy Żyd w historii dołączył do Ra'am, partii o korzeniach islamistycznych. Partia Mansura Abbasa uznaje Izrael za państwo żydowskie, domaga się jednak zakończenia dyskryminacji arabskich obywateli. Sam Abbas jest pragmatykiem i uważa, że zmiany systemu należy dokonywać od wewnątrz.

Dziś kalkulacja może być inna. – *Jeśli ceną za porozumienie byłoby przyznanie Liebermanowi stanowiska premiera w rotacyjnym rządzie, nie miałbym z tym problemu* – podkreśla Mozer. Jego zdaniem trzeba zrobić wszystko, by uniknąć kolejnych wyborów. Taki scenariusz byłby na rękę Netanjahu – to on na czele rządu przejściowego byłby premierem do wcześniejszych wyborów, pewnie na wiosnę 2027 r.

Kolejny wariant – z rządem jedności narodowej Eisenkot-Netanjahu – mógłby się powieść, jeśli premier Izraela przekonałby Donalda Trumpa do wznowienia wojny z Iranem. Tuż przed wyborami próbował namówić do tego własną armię, ale szef sztabu generalnego twardo mu się sprzeciwił, uznając, że obecnie nie ma bezpośredniego zagrożenia ze strony Teheranu. Po wyborach, w nowej sytuacji politycznej, oceny mogą się zmienić.

– *Obawiam się, że najbardziej prawdopodobne są nowe wybory. Netanjahu ma wyraźny interes w tym, by do nich doprowadzić. Trudno mi sobie wyobrazić, żeby zaakceptowano rząd mniejszościowy, opierający się na poparciu partii arabskich. Rząd jedności narodowej jest możliwy, ale nieufność wobec Netanjahu, który wielokrotnie łamał dane obietnice, jest tak głęboka, że to wydaje się też mało prawdopodobne* – uważa prof. Ofer Kenig, ekspert z Izraelskiego Instytutu Demokracji.

Arabowie ukradli wybory?

Netanjahu szybko znalazł winnych swojej porażki. Wskazał na izraelskich Arabów, którzy poszli do urn tłumniej niż kiedykolwiek – frekwencja w tej społeczności sięgnęła niemal 80 proc. (56 proc. cztery lata temu). Nazajutrz po głosowaniu Likud oświadczył, że „wybory zostały ukradzione przez Arabów" za pomocą fałszerstw, zastraszania członków komisji i kupowania głosów. Partia zapewniała, że ma „setki dowodów i zeznań", ale ich nie przedstawiła. Ani Centralna Komisja Wyborcza, ani Szin Bet, izraelska agencja bezpieczeństwa wewnętrznego, nie stwierdziły masowych naruszeń procesu wyborczego. Mimo to machina ruszyła.

Szef Centralnej Komisji Wyborczej wysłał bezprecedensowy list do szefa Szin Bet z prośbą o zbadanie podejrzeń o ingerencję zagranicznych podmiotów w wybory. Izraelskie media natychmiast zaczęły spekulować, że chodzi o Katar i Turcję. – *To bzdura. Chodzi wyłącznie o podważenie wyników wyborów bez żadnych podstaw. Nasz system wyborczy w zasadzie uniemożliwia takie fałszerstwa* – uważa bębniarka uczestnicząca w proteście w Jerozolimie. – *Kiedyś Netanjahu nie przeszkadzało, że Katar finansuje Hamas, a dziś próbuje nas przekonać, że ten sam Katar przekupił Arabów i wpłynął na nasze wybory. Tymczasem to za jego ekipą ciągną się afery związane z przyjmowaniem wielkich pieniędzy od rządu tego kraju.*

Dla młodej kobiety nie ulega wątpliwości, że Arabowie, stanowiący 20 proc. obywateli Izraela, powinni mieć udział w rządzeniu krajem. – *W końcu jesteśmy jedyną demokracją na Bliskim Wschodzie* – mówi. Netanjahu najchętniej namówiłby Eisenkota lub część polityków z jego obozu do utworzenia rządu jedności narodowej – oczywiście bez partii arabskich, a może także bez Ben Gwira i Smotricza. Zza oceanu płyną sygnały, że rząd jedności bez radykałów ucieszyłby Trumpa.

Potencjalni koalicjanci pamiętają jednak, jak skończył się poprzedni eksperyment z rządem jedności. Pięć lat temu były generał i centrowy polityk Beni Ganc miał objąć stanowisko premiera w ramach rotacyjnego porozumienia z Netanjahu. Ostatecznie do tego nie doszło, a rząd upadł. Teraz Ganc, obawiając się, że jego partia nie przekroczy progu wyborczego, wycofał się z wyścigu zaledwie kilka dni przed głosowaniem.

Kto jest gotowy?

Eisenkot może więc być ostrożniejszy, chociaż i on ma ograniczone pole manewru. Jakąś opcją będzie dla niego rząd mniejszościowy. Wystarczy, że w kluczowym głosowaniu liczba głosujących za będzie większa niż przeciw. Nawet bez Liebermana, ale z Arabami mogłoby to się udać. – *To musi być taktyka małych kroków. Najpierw odsunięcie od władzy Netanjahu, potem odważniejsze decyzje. To może się udać, jeśli machina propagandowa Netanjahu nie zohydzi Arabów na tyle, że opinia publiczna odrzuci możliwość powstania takiego rządu* – uważa jeden z dawnych podwładnych Eisenkota w armii.

Wspomniana machina działa jednak pełną parą. W dniu wyborów Kanał 14, tuba propagandowa obecnego rządu, straszył rekordową frekwencją w arabskich społecznościach. Na antenie przeprowadzono też debatę o tym, co by się stało, gdyby Iran zrzucił bombę atomową na Tel Awiw. Ilustracją tematu było wygenerowane przez sztuczną inteligencję zdjęcie – wrzucone przez Netanjahu tuż przed wyborami do mediów społecznościowych – przedstawiające grzyba atomowego nad miastem. Tym razem straszenie przyniosło jednak przewrotny skutek – nie tyle zmobilizowało elektorat Likudu i pozostałych partii rządzących, ile jeszcze bardziej zachęciło arabskich wyborców do pójścia do urn.

W Umm al-Fahm, 60-tysięcznym mieście położonym ok. 20 km od Hajfy, frekwencja również była rekordowa. ▶

© NIR KEIDAR/ANADOLU/GETTY IMAGES

eprasa.pl b6a46f48ee

▶ Stąd pochodzi m.in. Jusuf Dżabarin, lider partii Hadasz i numer jeden na liście Wspólnej Listy. – *To oczywiste, że Arabowie powinni wejść do rządu. Jesteśmy na to gotowi. Pytanie tylko, czy gotowi są na to pozostali izraelscy politycy i opinia publiczna* – mówi Haitham, sprzedawca paneli słonecznych z Umm al-Fahm.

O politycznych sympatiach mieszkańców można się przekonać już przy wjeździe do miasta. Wielkie billboardy z wizerunkiem Dżabarina stoją przy głównej ulicy al-Medina. – *Mam nadzieję, że tak dobry wynik partii arabskich przełoży się na realne zmiany. Dosłownie się tutaj dusimy. Zbudowałem dom, a teraz żądają ode mnie 100 tys. szekli* (ok. 126 tys. zł – przyp. red.) *za pozwolenie, grożąc rozbiórką. Do tego dochodzą straszna drożyzna i przemoc, nad którą nikt nie panuje* – mówi Saker, młody pracownik sklepu odzieżowego w tutejszym centrum handlowym.

Tylko w tym roku w Umm al-Fahm zginęło dziesięć osób, a w arabskich miejscowościach w całym Izraelu – ok. 200. Najczęściej ofiary giną w porachunkach gangów. Problem ma jednak głębsze przyczyny. Arabskie miejscowości od lat otrzymują mniejsze wsparcie z budżetu państwa niż te zamieszkane głównie przez Żydów. Wymownym przykładem była niedawna decyzja rządu o przesunięciu niemal miliarda szekli z programu wsparcia arabskich społeczności na zakup uzbrojenia dla izraelskiej armii.

– *Arabowie mają prawo czuć się w Izraelu obywatelami drugiej kategorii* – przyznaje Ofer Toder, dyrektor generalny urzędu miasta w Umm al-Fahm. Sam jest jednak dowodem na to, że współpraca Żydów i Arabów jest możliwa. Osiem lat temu Toder, Żyd z wieloletnim doświadczeniem w pracy w samorządach, zgłosił się do świeżo wybranego burmistrza Samira Mahamida z propozycją współpracy. Pomysł nie wszystkim się spodobał, zastępca burmistrza w proteście podał się do dymisji. – *Ostatecznie udało się nam wspólnie wiele osiągnąć, m.in. znacząco zwiększyć wpływy miasta z podatku od nieruchomości* – mówi Toder.

> Partie arabskie będą mieć w Knesecie łącznie 19 miejsc. To one są największymi zwycięzcami tych wyborów.

Siatka bezpieczeństwa

Jednym z największych problemów pozostaje jednak dyskryminacja ze strony władz centralnych. – *Niedawno ministerstwo obrony zażądało od Umm al-Fahm pasa ziemi szerokiego na 80 metrów, by utworzyć strefę buforową wzdłuż drogi przy żydowskim moszawie* (to taki syjonistyczny PGR – przyp. red.). *Od mieszkańców moszawu zażądano jedynie 7,5 metra* – mówi Toder. Sprawa trafiła do sądu. Na spornym terenie stoi 20 arabskich domów, którym grozi rozbiórka. Podobnych problemów jest więcej, ale Wspólna Lista wyklucza wejście do rządu Eisenkota. Chciałaby raczej pełnić funkcję jego „siatki bezpieczeństwa", czyli udzielać poparcia z zewnątrz, np. podczas kluczowych głosowań w Knesecie. – *Najważniejsze jest odsunięcie od władzy rządu Netanjahu, który jest rasistowski i dopuszcza się czystek etnicznych na Zachodnim Brzegu Jordanu* – mówi Maha Karkabi, kandydatka Wspólnej Listy, która jest już pewna mandatu.

Dla Eisenkota współpraca z tym ugrupowaniem może się okazać trudna. Dżabarin nigdy nie potępił Hamasu ani nie określił go mianem organizacji terrorystycznej. A to jeden z czterech warunków, na których opiera się program partii Eisenkota. Pozostałe to uznanie Izraela za państwo żydowskie, pełna akceptacja Deklaracji Niepodległości z 1948 r. oraz powszechny obowiązek służby wojskowej, obejmujący również ortodoksów.

Przed wyborami zapowiadano, że będą plebiscytem nad Netanjahu i jego polityczną odpowiedzialnością za atak Hamasu z 7 października 2023 r. Zginęło wówczas ok. 1,2 tys. osób, a 251 porwano jako zakładników. – *Mimo że doszło do tego, kiedy był premierem, nadal uważam, że tylko Netanjahu jest w stanie uchronić nas przed kolejnym 7 października* – mówi Joram, 60-latek z Riszon Le-Cijon.

Podobnie myśli wielu zwolenników premiera, którzy nie wierzą doniesieniom mediów o ostrzeżeniach, jakie Netanjahu miał otrzymać przed atakiem. Ostrzegać go miał m.in. prezydent Zjednoczonych Emiratów Arabskich szejk Mohammed bin Zajed. Zadzwonił ponoć do izraelskiego szefa rządu dziesięć dni przed atakiem Hamasu, rozmowa trwała 45 minut. Biuro premiera zaprzecza, że do takiej rozmowy w ogóle doszło.

Martwy Arab

W wyborach z 27 października Netanjahu stracił większość w Knesecie, ale nie otrzymał jednoznacznej czerwonej kartki. – *To dla mnie całkowicie niezrozumiałe. Jak to możliwe, że po tym, co się stało 7 października, Izraelczycy nie odesłali go na dobre do domu?* – pyta ojciec jednego z żołnierzy zabitych tamtego dnia.

Joram nie ma wątpliwości, jak powinny wyglądać relacje Żydów z Arabami. – *Sprawa jest prosta: albo my, albo Arabowie. To ziemia Izraela, obiecana nam przez Boga, a oni mogą się wynieść do któregoś z dwudziestu kilku państw arabskich. Po 7 października nie wierzę już w żadne porozumienie z nimi. Dobry Arab to martwy Arab. Arabskie dzieci wysysają zamiłowanie do terroru z mlekiem matki* – mówi stanowczo. Przyznaje, że wielu Arabów pracuje w Izraelu w ważnych sektorach, m.in. jako lekarze i pielęgniarki, ale dla niego to bez znaczenia. – *Nawet jeśli są wobec mnie uprzejmi, czuję, że w głębi serca mnie nienawidzą. A ja nienawidzę ich* – przyznaje.

Nie jest to odosobniony pogląd. Według zeszłorocznych badań instytutu Midgam nieufność wobec Arabów deklarowało 72 proc. żydowskich obywateli Izraela. Wśród Arabów nieufność wobec Żydów wyrażało 40 proc. badanych. Netanjahu próbuje wykorzystywać te resentymenty, co zapowiada zaciekłą walkę o niedopuszczenie partii arabskich do współrządzenia krajem. – *To niepokojące, że tak wiele osób nie ufa Arabom, choć powinni oni współrządzić krajem* – uważa Monica Cohen, lewicowa działaczka i była wiceburmistrzyni Petach Tikwy.

Siedzimy w kawiarni niedaleko miejskiego ratusza. Z okien widać pomnik nawiązujący do niemieckiej legendy o szczurołapie z Hameln. Według opowieści za pomocą gry na flecie szczurołap wywabił z miasta plagę gryzoni, ale gdy nie otrzymał obiecanej zapłaty, zemścił się na mieszkańcach, wyprowadzając 130 dzieci, które bezpowrotnie zaginęły. – *Ten pomnik to dobra metafora Bibiego i jego zwolenników, którzy ślepo za nim podążają, bez względu na melodię, jaką im zagra. Tyle że ta historia nie ma dobrego zakończenia. Ostatecznie wszyscy będziemy jego ofiarami* – kończy Cohen.

AGNIESZKA ZAGNER

eprasa.pl b6a46f48ee

Mit nowej Jałty



Rozmowa z analitykiem Markiem Menkiszakiem o międzynarodowej cenie Ukrainy, o możliwym szczycie nowej wielkiej trójki. I o tym, co się stanie, gdy zniknie wieczna zmarzlina.

© ANDREY RUDAKOV/BLOOMBERG/GETTY IMAGES

AGNIESZKA LICHNEROWICZ: **– Czy wyniki wyborów do Kongresu zmienią politykę Donalda Trumpa wobec Rosji i Ukrainy?**

MAREK MENKISZAK: – Jeśli Demokraci przejęliby Kongres, mogą utrudniać radykalne ruchy prezydenta. Na przykład gdyby postanowił całkowicie zakończyć wsparcie dla Ukrainy i zupełnie znormalizować relacje z Moskwą.

Ostatnio Amerykanie znów próbują doprowadzić do rozmów dyplomatycznych.

Ma to przede wszystkim związek z wyborami. Amerykańska administracja chce stworzyć wrażenie, że robi wszystko, żeby wpłynąć na rynki energetyczne i doprowadzić do obniżki ceny paliw. Trump i jego współpracownicy próbują przykryć to, że nie mogą sobie poradzić z Iranem i wynikającą z tej wojny destabilizacją rynków energetycznych. Dlatego próbują przerzucić odpowiedzialność za wzrost cen paliwa na Ukrainę.

Czy te dyplomatyczne próby mogą do czegoś doprowadzić?

Dopóki strona amerykańska nie zrozumie rosyjskich intencji, będzie popełniać strategiczne błędy. Trump i jego bliscy współpracownicy są przekonani, że wszystkie konflikty można rozwiązać w oparciu o interes ekonomiczny.

Tak jak kiedyś Niemcy chciały zmieniać Rosję, handlując z nią.

Niemcy próbowały budować współzależności. Ta polityka poniosła fiasko, bo dla Kremla współzależność jest bronią i instrumentem do pętania rąk Europejczykom, by uniemożliwić próby ▶

eprasa.pl b6a46f48ee

▶ konfrontacji z Rosją. Trump i jego ludzie zdają się natomiast uważać, że naturalną potrzebą ludzką jest chęć zarabiania pieniędzy oraz osobisty dobrobyt. I że zaspokojenie tych potrzeb doprowadzi do zamrożenia konfliktu.

To o co chodzi Kremlowi?

O zemstę za przegraną zimną wojnę. Z rosyjskiej perspektywy Zachód, a przede wszystkim Stany Zjednoczone, doprowadził do rozpadu najpierw bloku wschodniego, a następnie Związku Radzieckiego. Kiedy więc teraz Zachód przeżywa rozmaite kryzysy, Rosja liczy, że się odegra i odzyska przynajmniej część tego, co – w jej przekonaniu – należy się jej jako wielkiemu mocarstwu. Chce z Pekinem stworzyć nowy – postzachodni, jak go nazywają – ład globalny. Rosja nie szuka stabilizacji ani współzależności.

Trump oferuje Moskwie współpracę nie tylko przy odbudowie Ukrainy, ale też w Europie.

USA chciałyby m.in. stać się pośrednikiem w sprzedaży rosyjskiego gazu do Europy. I razem z Kremlem realizować projekty na szelfie arktycznym. Waszyngton zdaje się liczyć, że w ten sposób – razem z Moskwą – przeciwstawi się rosnącej potędze Chin. Wynika to z przekonania, że Rosja jest słabnącym mocarstwem, któremu grozi podporządkowanie Chinom. To prawda. Tylko Amerykanie zakładają, że Rosja chce się uwolnić poprzez współpracę z Zachodem. Wychodzą z założenia, że jeśli Rosja otrzyma gwarancje bezpieczeństwa – to język Rosjan, ale używają go także Amerykanie – to relacje Moskwy z Zachodem się ustabilizują, a sojusz chińsko-rosyjski rozluźni.

To się nie uda?

Amerykanie nie doceniają charakteru sojuszu rosyjsko-chińskiego. To nie jest wyłącznie taktyczna współpraca. To sojusz dwóch totalitarnych elit rządzących, które postrzegają Zachód jako egzystencjalne zagrożenie dla przetrwania ich reżimów. Rosjanom oczywiście nie podoba się zależność od Chin, ale uważają, że to konieczna do zapłacenia cena za zniszczenie stworzonego przez państwa zachodnie po drugiej wojnie światowej ładu międzynarodowego.

Rosja chce gwarancji bezpieczeństwa polskim kosztem. W grudniu 2021 r. zażądała wycofania m.in. z Polski sojuszniczych, zwłaszcza amerykańskich wojsk. I od czasu do czasu to powtarza.

Rosjanie nie chcą rozmawiać wyłącznie o Ukrainie. Ale dla nich to tylko pretekst, aby przeorganizować całe bezpieczeństwo europejskie. Rozszerzenie NATO i Unii Europejskiej postrzegają jako naruszanie swojej naturalnej strefy wpływów. A ich celem jest m.in. faktyczne zniszczenie NATO i osłabienie UE oraz stworzenie strefy buforowej na wschodniej flance Sojuszu.

Kolejne rozmowy nie doprowadzą do zakończenia tej wojny?

Pytanie, jak rozumiemy wojnę. Jeśli tylko jako intensywne działania zbrojne pomiędzy Rosją a Ukrainą, to taka wojna prędzej czy później się skończy. Choć nie w najbliższych miesiącach – na razie żadna ze stron nie jest na tyle wyczerpana. Jednak dla Moskwy to jest wojna systemowa między Rosją i Zachodem, a Ukraina jest tylko jednym z frontów. My czasem nazywamy ją wojną hybrydową, ale to eufemizm. Z perspektywy Kremla to prawdziwa wojna, tyle że toczona różnymi narzędziami. Mamy już ataki cybernetyczne, sabotaż, dywersję, akty terroru, ataki na infrastrukturę krytyczną i naruszenia przestrzeni powietrznej. Wyjątkowo efektywnym kosztowo narzędziem jest masowa dezinformacja i operacje kognitywne. Dla Rosji optymalnym scenariuszem jest wygranie wojny bez użycia siły zbrojnej. Jej celem jest rozmontowanie Zachodu od wewnątrz przez jego demoralizację i dezintegrację.

Czy Amerykanom uda się chociaż zatrzymać przemoc w Ukrainie?

To możliwe. Ale problemem jest sposób, w jaki próbują to osiągnąć – brakuje im konsekwencji, oprócz sankcji od czasu do czasu dają też Rosji marchewki. Jak dotąd administracja Trumpa była jednak bardzo pryncypialna: najpierw domagała się pokoju, a dopiero potem obiecywała Rosji współpracę gospodarczą. Moskwa chciała odwrotnie. Kreml próbuje zrealizować dwa scenariusze. Pierwszy zakłada skłonienie Amerykanów do podyktowania Ukraińcom warunków pokoju opartego na żądaniach rosyjskich, czyli faktyczną kapitulację. Druga opcja zakłada całkowite wycofanie wsparcia amerykańskiego dla Ukrainy, normalizację relacji amerykańsko-rosyjskich i współpracę biznesową bez zamrożenia konfliktu. Niech Europejczycy sobie sami radzą.

Czy ta druga opcja nie jest właśnie realizowana?

Właśnie nie. I Rosjanie są zaskoczeni, bo im się wydawało, że Trumpa nie obchodzi Ukraina, że kieruje się jedynie zyskami. I w związku z tym łatwo go będzie rozegrać. Okazało się jednak, że to nie takie proste, bo wewnątrz tej administracji istnieje też silny opór przed pójściem tą drogą. Rosjanie nadal zakładają, że uda im się zastraszyć Zachód wojną hybrydową oraz groźbami eskalacji w Ukrainie i w jej sąsiedztwie. A nawet sugestiami, że mogą użyć taktycznej broni jądrowej w Ukrainie. Na razie nic z tych politycznych prób nie wyszło.

Warto rozmawiać z Rosjanami?

Zawsze warto utrzymywać kontakt, ale formą komunikacji są również sankcje i wsparcie dla Ukrainy. Jeżeli już organizujemy spotkania bilateralne, a zwłaszcza jeżeli europejska delegacja jedzie do Moskwy, to ważne, żeby cel takiej wizyty był jasny. Jednocześnie jestem przeciwny rozmowom na najwyższym szczeblu, ponieważ legitymizują rosyjski reżim. Tym bardziej że Rosjanie interpretują europejskie delegacje przyjeżdżające do Moskwy jako wyraz europejskiego strachu przed Amerykanami. Kreml liczy na licytację polityczną – kto więcej zaoferuje.

Europa, czyli kto?

Są instytucje powołane do reprezentowania UE. Państwa członkowskie mają jednak różne stanowiska co do tego, czy i w jakiej formie rozmawiać z Rosją. Trudno tu uzgodnić konsens, różni liderzy zaczynają występować w imieniu Europy. Dla Rosji to dowód, że Europa jest podzielona.

Władimir Putin proponuje spotkanie przywódców Rosji, USA i Chin. Nowa Jałta?

Mit nowej Jałty jest suflowany przez Kreml. To spotkanie nie jest przesądzone, ale jeśli do niego dojdzie, dla Rosji byłby to rzeczywiście sukces. Putin nie tylko pokazałby, że nie jest izolowany międzynarodowo, ale że jest wręcz trzecim graczem w wielkim koncercie mocarstw. A to polityczna fikcja, bo ani Chiny nie potrzebują Rosji, żeby rozmawiać z USA, ani odwrotnie. Jeżeli jednak do takiego spotkania dojdzie, to jedynym efektem będą masowo kolportowane przez Kreml zdjęcia przywódców.

To będzie psychologiczne zwycięstwo Putina. Wzmocni wizerunek imperialnej Rosji. A na Zachodzie brakuje wiary, że Rosja może zostać pokonana. Czy to imperium może upaść?

Imperialna Rosja jest skazana na upadek. Z wielu powodów. Znamy historyczne

eprasa.pl b6a46f48ee

przykłady systemów, które – mimo że nie są efektywne politycznie i ekonomicznie – trwają lub trwały długo. Ale nie wiecznie. Przeciwko Rosji działają potężne trendy, choćby kryzys demograficzny czy światowa transformacja energetyczna. To perspektywa kilkudziesięciu lat, ale wyrok śmierci dla rosyjskiego modelu gospodarczego opartego na handlu węglowodorami w zasadzie już zapadł. Rosja wypadła też z wyścigu technologicznego i nie ma szansy do niego powrócić. Jedyną niszą, gdzie Rosjanie jeszcze mogą konkurować, są technologie wojskowe, ale tylko wybrane. Gigantycznym problemem dla Rosji jest też globalne ocieplenie.

A nie szansą? Choćby na odmrożenie szlaku żeglugowego wzdłuż północnych wybrzeży Rosji?

To nie rekompensuje potencjalnych strat. Przeważająca większość obszarów wydobywczych Rosji leży na wiecznej zmarzlinie, która już się topi, co powoduje katastrofy technogenne. Do tego dochodzi emisja metanu związana z topnieniem zmarzliny. Wszystkie te trendy osłabiają Rosję i na Kremlu wiedzą o tym. Agresja jest w dużej mierze podyktowana świadomością, że trzeba działać teraz, bo potem będzie za późno. Paradoksem jest jednak to, że im bardziej Rosja będzie słabnąć, tym bardziej będzie nadrabiać agresywnością.

Czy Chiny trzymają Rosję na kroplówce?

90 proc. towarów podwójnego przeznaczenia, których Rosja używa do celów wojennych, pochodzi z Chin. Do Chin trafia też niemal 60 proc. surowców eksportowanych z Rosji. Z perspektywy rywalizacji z Zachodem upadek rosyjskiego reżimu byłby dla Pekinu katastrofą. Chiny brutalnie wykorzystują tę zależność, a Rosja coraz bardziej zamienia się w rynek zbytu i montownię chińskich produktów. Rosjanie mają jednak świadomość, że Pekin ich potrzebuje jako zaplecza surowcowego i bezpiecznego szlaku transportu lądowego. Im ostrzejszy stanie się konflikt amerykańsko-chiński, tym bardziej Chiny będą potrzebować Rosji. Również z powodu współpracy wojskowej.

Słabnięcie Rosji nie jest powodem do radości?

Ważne, żeby Rosja słabła. Ale to może być burzliwy proces. Potrwa zapewne długo, ale może też dojść do gwałtownej zmiany, która zacznie się od góry. Protesty społeczne nie wywołają rewolucji w Rosji.

© PAP/TOMASZ GZELL



Marek Menkiszak – analityk Ośrodka Studiów Wschodnich, koordynator projektu Komunikacja strategiczna o Rosji. W latach 2006–26 kierownik Zespołu Rosyjskiego w OSW. Wykładowca Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego.

Mogą oczywiście zostać wykorzystane w ramach walki o władzę na szczytach elit rosyjskich, ale nie będą powodem. Wiemy również, że do zmiany przyłoży się raczej zewnętrzny szok.

Przegrana na froncie z Ukrainą?

Albo potężne załamanie gospodarcze w Rosji. Albo i to, i to. Ukraina i presja zachodnia mogą to przyspieszyć. Ale Zachód – głównie USA – musiałby podjąć ryzyko zdecydowanie większego niż do tej pory wsparcia Ukrainy. I podnieść presję, np. objąć sankcjami pozostałe części sektora energetycznego i ogłosić embargo na eksport rosyjskich węglowodorów oraz sankcje wtórne z tym związane.

Czego pewnie nie zrobi.

Waszyngton obawia się destabilizacji rynków energetycznych i problemów politycznych związanych ze wzrostem cen energii. Aczkolwiek gdyby Amerykanom udało się uspokoić sytuację na Bliskim Wschodzie oraz zwiększyć import ropy z Wenezueli i innych źródeł, to szok byłby ograniczony.

Rosjanie straszą też użyciem broni atomowej.

Ta broń jest podstawą ich poczucia mocarstwowości. Rosja jako jedyne państwo na świecie ma zdolność zniszczenia USA i całego świata. Traktuje jednak broń jądrową jako ostateczną. Zgodnie z koncepcją odstraszania nuklearnego samo jej posiadanie ma szachować potencjalnego przeciwnika. A jeśli pojawi się konieczność jej użycia, będzie to oznaczało porażkę Rosji, trudno bowiem o zwycięstwo w wojnie nuklearnej.

Rosja zakłada użycie tej broni w sytuacji zagrożenia istnienia państwa.

Bądź ataku na systemy absolutnie krytyczne dla jego funkcjonowania. Niestety, Rosjanie w ostatnim czasie nieco rozluźnili te kryteria, ale wciąż obowiązuje bardzo wysoki próg. W wypowiedziach publicznych Putin czasami go rozmywa. Dlatego broń atomowa to narzędzie rosyjskiej wojny psychologicznej. Celem jest zastraszenie i odstraszenie strony zachodniej, oddziaływanie na jej opinię publiczną. Ale reżim Putina sięgnąłby po broń atomową tylko wtedy, gdyby poczuł bezpośrednie zagrożenie dla swojego przetrwania. Paradoks polega na tym, że w takiej sytuacji byłby już zapewne tak słaby, że rozkaz użycia broni atomowej nie zostałby wykonany.

Czyli to nierealny scenariusz?

To, że w Moskwie nie myślą o użyciu broni jądrowej, sugeruje też obsesyjna troska Putina o przedłużenie własnego życia. Od lat interesuje się niekonwencjonalnymi technologiami medycznymi. Zresztą tym biznesem zajmuje się jedna z jego córek, a rosyjscy oligarchowie na polecenie Kremla finansują badania. Jest też kwestia sukcesji rodzinnej. Ci ludzie mają synów, córki, wnuków, którzy obsadzają kolejne stanowiska.

Po Putinie przyjdzie ktoś jeszcze gorszy?

Każda zmiana personalna osłabi rosyjski reżim. Nowy lider będzie musiał od nowa zabiegać o poparcie elit, a sama Rosja skoncentruje się na wewnętrznych problemach. Jednocześnie zmiana personalna może wynieść do władzy siły bardziej pragmatycznie nastawione wobec Zachodu. To mało prawdopodobne, ale i tak wstępem do tego powinna być nasza polityka presji na Rosję, a nie abstrakcyjne spekulowanie na temat lepszych scenariuszy i szykowanie już dziś oferty dla Moskwy.

A może to wielkie państwo zacznie się rozpadać i pogrąży się w chaosie?

Słabej Rosji może grozić destabilizacja, ale scenariusz rozpadu jest mało prawdopodobny. Dyskutowanie nad nim prowadzi do mentalnego paraliżu na Zachodzie – obawy, żeby za bardzo nie zaszkodzić Rosji, co skutkuje pomysłami ograniczenia wsparcia, zwłaszcza wojskowego, dla Ukrainy. To już się zdarzyło w 2022 i 2023 r. Tymczasem putinowska Rosja jest dla nas realnym zagrożeniem, w przypadku Polski egzystencjalnym. Odstraszyć Moskwę możemy tylko wtedy, kiedy pokażemy, że w razie czego mamy czym i chcemy z nią walczyć. I wygrywać.

ROZMAWIAŁA AGNIESZKA LICHNEROWICZ

eprasa.pl b6a46f48ee



Chory system

MICHAŁ BOGUSZ

Największą tajemnicą Chin jest zdrowie przywódcy Xi Jinpinga. To musi budzić obawy, bo mechanizm przekazywania władzy w tym ultranowoczesnym państwie pozostaje skrajnie archaiczny.

Niedawne doniesienia o nieobecności chińskiego przywódcy Xi Jinpinga na kolacji podczas szczytu BRICS wywołały falę spekulacji na temat jego zdrowia. Nasiliły się one jeszcze, gdy „Wall Street Journal" doniósł, że podczas wrześniowej wizyty w Stanach Zjednoczonych strona chińska zażądała zorganizowania specjalnej sali wypoczynkowej dla Xi oraz skrócenia lunchu roboczego, co spowodowało dłuższą przerwę w harmonogramie.

To już jest konkretna informacja, ale wciąż nie diagnoza medyczna. Fakt, że 73-letni mężczyzna potrzebuje odpoczynku, nie zaskakuje. Wiadomo jednak,

© KEVIN FRAYER/GETTY IMAGES

eprasa.pl b6a46f48ee

że Xi Jinping „nie wylewa za kołnierz" i przynajmniej do niedawna odpalał papierosa od papierosa. Niemniej jeszcze w połowie października pojawiał się na spotkaniach z gośćmi zagranicznymi i nic nie świadczyło, żeby był umierający. Oczywiście traktowanie kalendarza spotkań jak wykresu EKG to zła praktyka analityczna. Aktywność publiczna może wprawdzie zaprzeczyć plotkom o „utracie zdolności do działania", ale nie zastąpi badań i wiarygodnego komunikatu prasowego. Czasami jednak system sam potwierdza, że nie potrafi wypowiedzieć słowa „choroba" w odniesieniu do Xi Jinpinga.

Owa ułomność systemu nabiera szczególnego znaczenia, jeśli wziąć pod uwagę słynną już rozmowę Xi z Władimirem Putinem w Pekinie na paradzie z okazji 80. rocznicy kapitulacji Japonii i zakończenia drugiej wojny światowej. Mikrofony telewizyjne wyłowiły nieformalną pogawędkę. Temat: przeszczepy narządów i nieśmiertelność. Rosjanin miał powiedzieć, że rozwój transplantologii pozwala mieć nadzieję na coraz dłuższe życie. A Xi Jinping w odpowiedzi przekonywał, że część naukowców przewiduje możliwość wydłużenia życia nawet do 150 lat. Rozmowa ta potwierdziła tylko odwieczną regułę – największą bolączką każdego autokraty jest zdrowie. W Chinach jednak dywagacje o nieśmiertelności mają złowrogi, a często i starożytny kontekst, dlatego też nie dziwi, że cenzura z wyjątkową starannością starała się wymazać w chińskim internecie wszelkie wzmianki o rozmowie Xi z Putinem.

W Chinach był już taki jeden. Qin Shi Huang, pierwszy cesarz, który zjednoczył siłą walczące wcześniej królestwa, jest w tamtejszej kulturze archetypem tyrana. Równał z ziemią całe miasta, mordował prawdziwych i wyimaginowanych wrogów razem z krewnymi do piątego pokolenia, zakopywał żywcem uczonych, miał także obsesję na punkcie znalezienia leku na nieśmiertelność. Paradoksalnie, do śmierci w wieku 49 lat prawdopodobnie doprowadziło go postępujące zatrucie organizmu rtęcią z „eliksirów życia". Rtęć pogłębiała też paranoję i potęgowała żądzę krwi. Nic dziwnego, że imperium zaczęło się chwiać natychmiast po jego śmierci w 210 r. p.n.e., a upadło zaledwie cztery lata później.

22 wieki później można powiedzieć, że za wiele w Chinach się nie zmieniło. Wciąż są rządzone przez jednowładcę, którego zdrowie pozostaje tajemnicą, i wygląda na to, że szuka on sposobu na długowieczność.

Jedna partia, jedna farba

W państwie rządzonym przez partię komunistyczną wszystko musi być zawsze naj. Doskonałe muszą być nie tylko drogi, szybkie koleje czy tańczące roboty, ale także zdrowie rządzących. Dlatego kierownictwo Komunistycznej Partii Chin (KPCh) nie tylko nigdy na nic – oficjalnie – nie choruje, ale nawet nigdy nie przechodzi – oficjalnie – rutynowych badań lekarskich. Partyjne dekorum każe jednak posunąć się dalej – na dowód zdrowia i sprawności partyjne elity farbują włosy. Oczywiście wszyscy używają tej samej farby. Łysienie też jest oznaką słabości, więc perukarze w Pekinie nie mogą narzekać na brak klientów z głębokimi kieszeniami. Tylko ktoś naprawdę pewien swojej pozycji albo pozbawiony ambicji może zrezygnować z włosów, i to farbowanych. Dopiero na emeryturze można zacząć siwieć w spokoju.

Najważniejsze jest jednak zdrowie. Oczywiście najwyżej postawieni działacze mają do dyspozycji najlepszą opiekę, jaką mogą dać pieniądze. Na ich stoły trafia tylko organiczna żywność ze specjalnych gospodarstw rolnych w Mongolii Wewnętrznej, które są strzeżone równie pilnie co silosy z rakietami jądrowymi. Równocześnie, chociaż alkoholizm i uzależnienie od papierosów to wśród nich praktycznie choroby zawodowe, jednak liderzy partii komunistycznej nie cierpią na żadne przewlekłe schorzenia – przynajmniej oficjalnie.

Tajemnica wokół zdrowia przywódcy nie jest też w KPCh niczym nowym. W ostatnich latach życia Mao Zedonga jego stan zdrowia pogorszył się drastycznie, jednak na zewnątrz nadal prezentowano wizerunek tryskającego zdrowiem przywódcy o rumianych policzkach. Lekarze przy jego łóżku musieli zmagać się nie tylko z chronicznymi chorobami, lecz także z koniecznością zachowania pozorów. W czasie wizyty prezydenta USA Richarda Nixona w 1972 r. zespół reanimacyjny z butlami z tlenem czekał za kotarą. Stan zdrowia Mao był ściśle powiązany z walką o sukcesję aż do jego śmierci cztery lata później. Do końca też farbowano mu włosy i takie ma mumia w kryształowym sarkofagu złożona w mauzoleum na Placu Tiananmen.

Jeden z następców Mao, Deng Xiaoping, miał inny pomysł na swój wizerunek. Po 1989 r. stracił formalną władzę (poza stanowiskiem honorowego prezesa Chińskiego Stowarzyszenia Brydża Kontraktowego), ale zachował wpływy w partii i państwie. Nie kreował się jednak na okaz witalności, nie farbował włosów w późniejszych latach, a jego stan zdrowia nie był tajemnicą. Deng jako starzec-mędrzec starał się uczynić zmianę przywództwa procesem stosunkowo przewidywalnym i wprowadził ograniczenia dotyczące wieku oraz liczby kadencji.

Obecny przywódca Chin Xi Jinping od objęcia rządów w wieku 59 lat przeszedł już trzy fazy. Na początku, kiedy musiał eliminować przeciwników i manewrować między frakcjami, farbował się jak inni. Po 2018 r., kiedy już nic nie zagrażało jego pozycji, pozwolił włosom posiwieć. Ostatnio ma jednak nową stylizację – czarne włosy ze srebrnymi pasemkami. Widać, że zbliża się kolejny zjazd partii i trzeba pokazać, że szef twardo trzyma się pionu i władzy.

Pod rządami Xi w 2018 r. zlikwidowano też limity kadencji przewodniczącego państwa. To prawda, że ściśle rzecz biorąc, ograniczenie dotyczyło wyłącznie stanowiska przewodniczącego ChRL, a nie sekretarza generalnego partii czy przewodniczącego Centralnej Komisji Wojskowej, które są źródłem realnej władzy w Chinach. Niemniej zniesienie miało znaczenie symboliczne – to nie harmonogram decyduje już, kiedy najwyższy przywódca ma przekazać pałeczkę. Teraz może o tym zadecydować tylko jego śmierć i dlatego jego zdrowie znów nabrało wagi państwowej.

Zdrowie wagi państwowej

Przeziębienie szarego człowieka może co najwyżej opóźnić jedno spotkanie. Lecz nagłe pogorszenie stanu zdrowia osoby sprawującej jednoosobowo najwyższą władzę w partii, państwie i armii musi wpłynąć na cały mechanizm decyzyjny. Dlatego im bardziej skoncentrowana jest władza, tym mniej kwestia zdrowia pozostaje sprawą prywatną. To też wyjaśnia, dlaczego Chiny potrafią zaprezentować światu program lądowania na Marsie, ale nie mogą wyjaśnić, dlaczego Xi Jinping potrzebował popołudniowej drzemki w czasie ostatniej wizyty w Waszyngtonie.

Można zrozumieć, że istnieją powody do zachowania poufności. Teoretycznie przywódca państwa ma prawo do prywatności, ale chodzi też o to, że druga ▶

eprasa.pl b6a46f48ee

▶ strona może wykorzystać wiedzę o jego kondycji do spekulacji na temat planów politycznych chińskiego lidera. Od lat się mówi, że ambicją Xi jest przejście do historii jako ten, który „wyzwolił" Tajwan. Gdyby cierpiał na chorobę, która wyznaczyłaby mu krótki czas na realizację planów, mogłoby to spowodować przyspieszenie wyścigu zbrojeń i gwałtowne ruchy na arenie międzynarodowej.

Jest to też powód, dla którego prywatność przywódcy i odpowiedzialność publiczna wzajemnie się wykluczają. Nie ma potrzeby publikowania wszystkich wyników jego badań, ale zupełnie inną sprawą jest wiarygodne potwierdzenie, czy jest on w stanie pełnić swoje obowiązki. Czy przypadkiem poważna choroba wpływa na jego pracę? No i kto przejmuje później jego rolę?

W państwach demokratycznych jest ustalona sukcesja. Wiadomo, kto kogo zastąpi na wypadek śmierci lub choroby uniemożliwiającej pełnienie obowiązków. W Chinach pod rządami Xi jedynym kryterium do zajęcia stanowiska wiceprzewodniczącego państwa jest brak zdolności do zastąpienia szefa, gdyby temu coś się stało. Kto pamięta, że wiceprzewodniczący Han Zheng jest formalnie o jedno uderzenie serca od przywództwa nad Chinami? Większość czytelników zapyta: a kim jest ten Han Zheng?

Plotka zamiast informacji

Pekin ukrywa w szafie pancernej wszelkie informacje o stanie zdrowia „przewodniczącego wszystkich przewodniczących", a potem okazuje zdziwienie, że świat jest zaciekawiony, co w tej szafie schowano. Taki sposób sprawowania rządów jest wewnętrznie spójny dla tego systemu, ale pod względem komunikacji publicznej nie okazuje się zbyt skuteczny. W rezultacie funkcję głównego lekarza najwyższego przywódcy Chin przejął internet.

W 2022 r., gdy Xi Jinping nie pojawiał się publicznie przez kilka dni po wizycie w Uzbekistanie, w sieci już krążyły pogłoski, że zmarł lub został umieszczony w areszcie domowym, a wojsko przejęło władzę. Po dziesięciu dniach ponownie go pokazano zdrowego i dopiero wtedy wszyscy sobie przypomnieli, że jego nieobecność była zgodna z ówczesnymi rygorystycznymi przepisami sanitarnymi dotyczącymi wjazdu do kraju z powodu pandemii Covid-19. Oczywiście Xi nie był poddany kwarantannie, ale pozory trzeba zachowywać nawet w Chinach.

W tym samym roku, podczas ceremonii zamknięcia XX Zjazdu KPCh, były przywódca Hu Jintao został wyprowadzony z sali siłą. Państwowe media podały, że źle się poczuł, jednak szybko pojawiły się różne interpretacje polityczne. Nagranie rzeczywiście pokazało niezwykłe okoliczności opuszczenia przez niego sali, ale samo w sobie ani nie może potwierdzić charakteru choroby ani nie dowodzi, że doszło do jakiegoś politycznego przesilenia. Zwłaszcza że Hu i tak nie miał już realnej władzy.

W lipcu 2024 r. internet rozgrzał temat udaru mózgu. W postach twierdzono, że Xi doznał nagłego porażenia podczas posiedzenia Komitetu Centralnego. Dowód? Zdjęcie, na którym ma zamknięte oczy i trzyma filiżankę. Agencje wyjaśniły, że zdjęcie zrobiono na sesji chińskiego parlamentu w marcu tego samego roku. Rzekomy personel medyczny okazał się ekipą sprzątającą stoły. Później pojawiły się pogłoski o „ciężkiej chorobie" i „sobowtórze", mimo że w Chinach władcy zawsze bali się używać dublerów, ponieważ istniała obawa, że „oryginał" okaże się zbędny.

Jednak zdementowanie absurdalnych plotek nie oznacza, że wszystko jest w porządku ze zdrowiem Xi Jinpinga. W marcu 2025 r. przewodniczący parlamentu Zhao Leji, formalnie „numer trzy" reżimu, nie pojawił się na ważnym posiedzeniu, a jego zastępca publicznie wyjaśnił, że wziął on urlop z powodu infekcji dróg oddechowych. W chińskich realiach ta wiadomość była innowacją polityczną niemal na miarę pierestrojki. Możliwe jednak, że całą sprawę zainscenizowano – właśnie po to, żeby zasugerować, że reżim jest otwarty na mówienie o chorobach przywódców, więc jeśli nic nie mówi o Xi Jinpingu, to wszystko jest w porządku.

A lud patrzy...

Trudno w to uwierzyć, ale w Chinach – bardziej niż w wielu innych państwach – kwestia dostępności do opieki medycznej jest wybuchowa politycznie. Ubezpieczenie zdrowotne nie obejmuje wszystkich i zapewnia tylko niewielki zakres świadczeń. Zwykli pacjenci mogą być zmuszeni do stania w kolejkach w szpitalach, umawiania się na wizyty u specjalistów za łapówki i oczekiwania tygodniami na wyniki badań.

Za to wszystko płacą grube, jak na chińskie pensje, rachunki. Przeciętna chińska rodzina musi odkładać około jednej trzeciej dochodów na czarną godzinę, przede wszystkim chorobę. W tym samym czasie opieka medyczna nad najwyższymi przywódcami należy do kluczowych zadań aparatu państwowego. Nic dziwnego, że lepiej, aby elity partyjne oficjalnie nie chorowały, wtedy nikt nie będzie pytać, kto płaci za ich leczenie.

Zachowanie tajemnicy ma również swoją cenę wewnątrz partii. Wysocy rangą działacze być może wiedzą więcej niż opinia publiczna, ale kiedy najwyższa władza jest tak bardzo spersonalizowana, nie ma „delfina", a ustalenia dotyczące sukcesji nie są jasne, każda wątpliwość dotycząca stanu zdrowia przywódcy staje się testem lojalności. Zbyt wiele pytań może świadczyć o niezdrowych ambicjach. Za to zbyt mało troski też nie dowodzi oddania przywódcy.

Urzędnicy starają się zatem wychwycić wszelkie aluzje, analizują miejsca przy stole prezydialnym i listy uczestników spotkań, aby wykryć wszelkie zmiany w politycznym klimacie. A zwykli ludzie mają do wyboru tylko dwie opcje. Mogą wierzyć w oficjalne informacje lub w plotki. Trudno powiedzieć, które są mniej wiarygodne. Cenzura może kasować internetowe spekulacje, ale nie wyeliminuje powodów ich pojawiania się.

Ta luka informacyjna rozprzestrzenia się również za granicą. Obce rządy muszą zgadywać, z kim negocjować, jak długo będą obowiązywać podjęte zobowiązania albo kto ma prawo podejmować decyzje w sytuacji kryzysowej. Inwestorzy pytają o ciągłość polityki gospodarczej. W takim kontekście konkretna wartość ciśnienia krwi przywódcy nie ma znaczenia. Liczy się jedynie, czy system jest w stanie zachować stabilność, kiedy go zabraknie.

Partia wydaje się wszechwładna, ale choroba i śmierć nie podporządkują się decyzjom Komitetu Centralnego. Dlatego warto zadać pytanie, dlaczego tak ambitny system polityczny wiąże przewidywalność polityczną ze stanem zdrowia jednej osoby, a jednocześnie odmawia podawania informacji. Partia komunistyczna ma aspiracje w zakresie sztucznej inteligencji, ale jej mechanizm przekazania władzy pozostaje skrajnie archaiczny. Najbardziej niezawodny system to nie ten, który gwarantuje, że przywódca nigdy nie umrze, ale ten, który uznaje, że w końcu się zestarzeje. I odpowiednio wcześniej wszystko przewidzi i zorganizuje.

MICHAŁ BOGUSZ

eprasa.pl b6a46f48ee

NOWE WYDANIE JUŻ W SPRZEDAŻY









ZWIERCIADLO.PL

Wydanie dostępne także z **kalendarzem na 2027 rok**

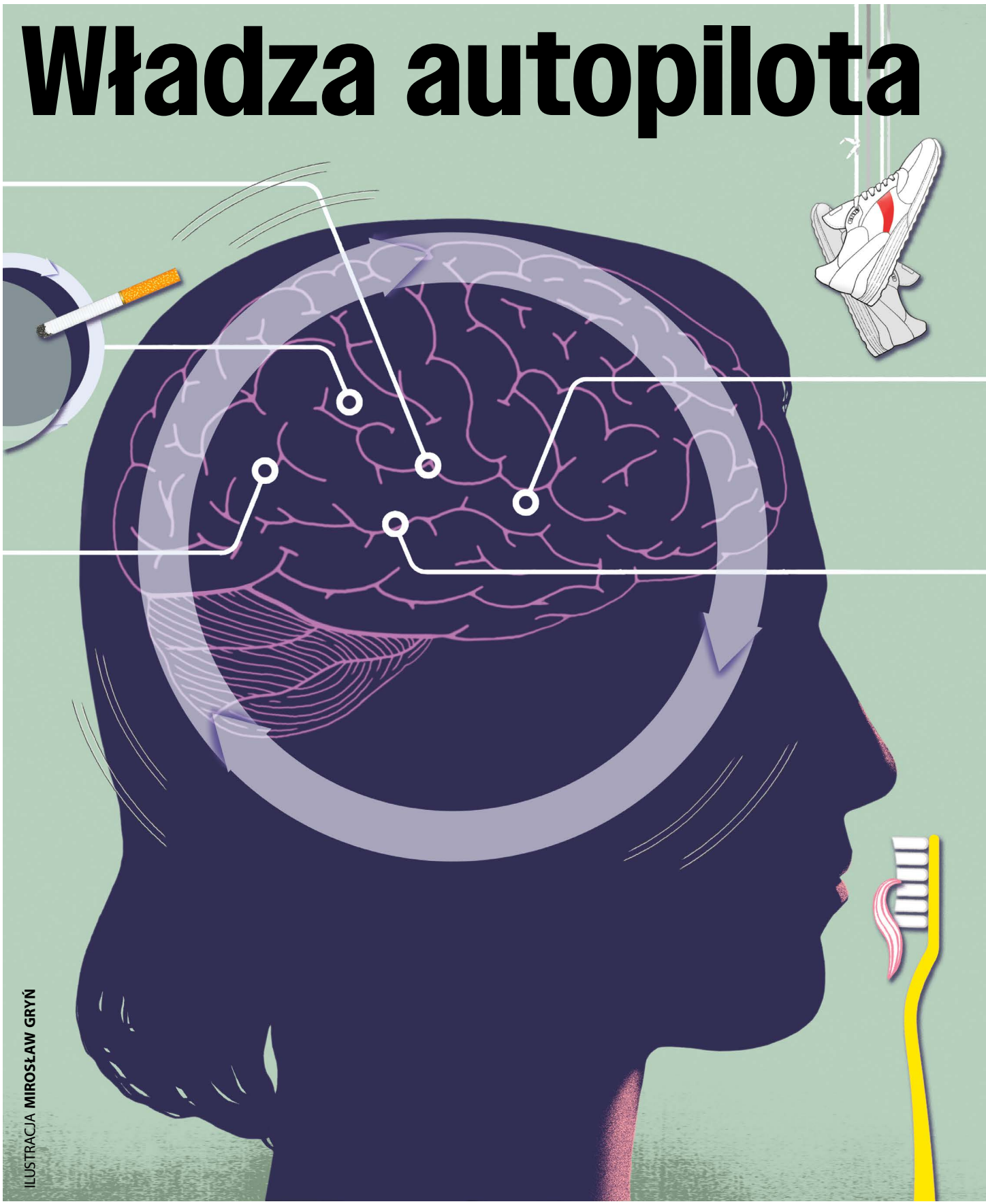
5 okładek do wyboru | duży format A5 | plany podróży LogosTour



RÓŻNE RODZAJE DODATKÓW ORAZ OKŁADEK DOSTĘPNE W WYBRANYCH PUNKTACH SPRZEDAŻY

eprasa.pl b6a46f48ee

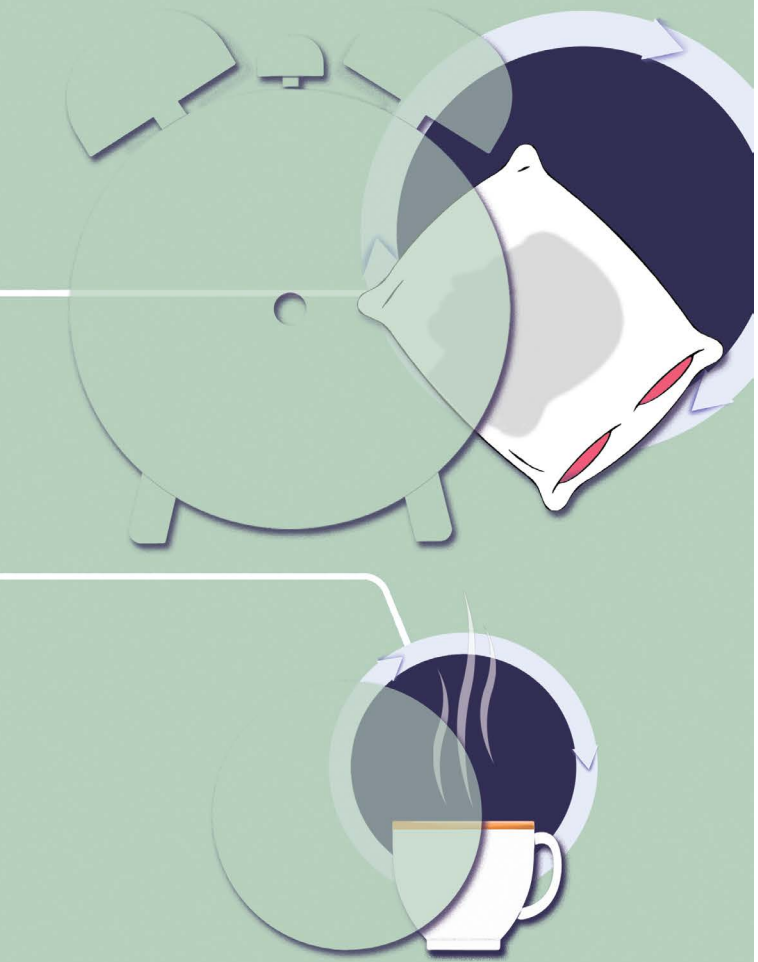
Władza autopilota



ILUSTRACJA MIROSŁAW GRYŃ

eprasa.pl b6a46f48ee

Człowiek jest bytem złożonym, zatem jego nawyki są materią skomplikowaną. Nauka dopiero odkrywa, jak bardzo.



MARGIT KOSSOBUDZKA-LIPIŃSKA

Wendy Wood, psycholożka z University of Southern California, bada, w jaki sposób i dlaczego ludzie wracają do starych zachowań, jak korzystne schematy pomagają w realizacji celów oraz jak zmieniać niepożądane przyzwyczajenia. Jednym z jej odkryć jest fakt, że aż 43 proc. codziennych działań wykonujemy automatycznie, myśląc w tym czasie o czymś zupełnie innym.

Współczesne pojęcie nawyku zostało jasno sformułowane przez Williama Jamesa pod koniec XIX w. Opisał on nawyk jako „rutynę, zachowanie, a nawet proces poznawczy, który rozpoczyna się spontanicznie, lecz jest automatycznie powtarzany w wyniku wcześniejszych doświadczeń". Innymi słowy, wytwarza się w wyniku wielokrotnego powtarzania danej czynności – celowo lub nieświadomie.

Gimnastyczka się automatyzuje

Nawyki są też bierne i aktywne. Bierne powstają w wyniku styczności z bodźcami, do których z czasem się przyzwyczajamy. Czynne kształtujemy poprzez świadome, powtarzane działania i wysiłek; z czasem utrwalają się jako umiejętności wykonywane niemal bez udziału świadomości. Gimnastyczka ćwiczy chód, skoki i salta na wąskiej równoważni tak długo, aż potrafi płynnie wykonać te ewolucje bez upadku.

Przyzwyczajenia zależą też od kontekstu: wzmacniają się dzięki tworzeniu skojarzeń z sygnałami płynącymi z otoczenia. Człowiek to jednak nie pies Pawłowa. Po co mu więc taki mechanizm? Główna teoria zakłada, że pozwala on naszemu organizmowi część zadań oddać w ręce autopilota. Zautomatyzowane czynności nie wymagają znacznego zaangażowania procesów poznawczych. To sposób mózgu, do którego docierają tysiące informacji na minutę, na ograniczenie liczby podejmowanych naraz decyzji i przekształcanie w rutynę korzystnych, lecz niekiedy nużących działań: sprzątania, nauki czy regularnych ćwiczeń fizycznych. Znane sygnały kierują zachowaniem ludzi, gdy są zbyt rozproszeni lub zmęczeni, by zastanowić się nad właściwą reakcją. Wyczerpani nie mają zbyt wiele siły woli na podejmowanie decyzji wymagających wysiłku, więc zaczynają działać automatycznie.

Badania na zwierzętach i ludziach wykazały też, że skłonność do polegania na utrwalonych schematach zwiększa stres – zarówno ostry, jak i przewlekły. Jest to prawdopodobnie adaptacja zmniejszająca ryzyko nieskutecznego działania lub popełnienia błędu decyzyjnego. W stresie mózg przestawia się na sprawdzone wcześniej strategie. Lepsza stara ścieżka niż szybkie szukanie nowej.

Mózg wymaga przestawienia

Dziesięciolecia badań wykazały, że w mózgu istnieją dwa odrębne, lecz wzajemnie oddziałujące na siebie układy – jeden obsługuje zachowania celowe, a drugi nawykowe. Prawdziwym wyzwaniem w codziennym życiu jest umiejętność dynamicznego przełączania się między obiema tymi strategiami – zaburzenia równowagi wpływają na zachowania. Nadmiernie utrwalone schematy mogą zderzać się z naszymi dążeniami i celami, a nadmierne nastawienie na cel wydaje się leżeć u podstaw pewnych form psychopatologii.

Naukowcy opisali dwa wzorce pozwalające rozpoznać zachowania nawykowe. Pierwszy, zwany dewaluacją nagrody, polega na obniżeniu wartości „bonusu" zyskanego po danym zachowaniu. U szczura nauczonego naciskania dźwigni, by zdobyć przekąskę, uznaje się reakcję za nawykową, jeśli powtarza tę czynność, nawet gdy smakołyku już nie ma albo został zmieniony na nieprzyjemny bodziec. Drugi wzorzec nosi nazwę degradacji kontyngencji (zależności). Polega na zakłóceniu ustalonego związku między działaniem a nagrodą. Nawyk występuje wtedy, kiedy szczur nadal naciska dźwignię z tą samą częstotliwością, nawet gdy jedzenie jest podawane losowo, bez związku z działaniem gryzonia.

Wskazówki pomocne w rozwikłaniu zagadki powstawania nawyków można znaleźć w jądrach podstawy – głęboko ▶

eprasa.pl b6a46f48ee

▶ położonych strukturach w pobliżu podstawy mózgu, które wykształciły się na wczesnym etapie ewolucji naszego układu nerwowego. Pełnią one kluczową funkcję w koordynacji wszelkiego rodzaju ruchów dowolnych, w tym złożonych czynności takich jak chodzenie, bieganie, jedzenie, mówienie czy chwytanie przedmiotów i manipulowanie nimi. Współdziałając z płatem czołowym, jądra podstawy pomagają także w realizacji niezwykle ważnego zadania – błyskawicznego wyboru konkretnego ruchu spośród wielu dostępnych opcji.

Co zrobić, gdy nagle zza krzaków wyskakuje tygrys? Stać w bezruchu, wspiąć się na drzewo czy rzucić się do ucieczki? Wybór konkretnego wzorca ruchu w takiej chwili może zadecydować o tym, czy uda nam się przekazać swoje geny potomstwu. Ponieważ najskuteczniejsze ruchy to te, które są dobrze opanowane lub zautomatyzowane, jądra podstawy odgrywają również istotną rolę w kształtowaniu nawyków.

Uwalnianie dopaminy zależy od aktywności neuronów w układzie limbicznym – kolejnym ewolucyjnie dawnym obszarze mózgu, odpowiedzialnym za przetwarzanie emocji i odczuwanie nagrody. Jest on ściśle powiązany z jądrami podstawy i potrafi nadawać wspomnieniom – oraz przyzwyczajeniom – znaczenie emocjonalne i wartość związaną z „bonusem".

Czas da się nagiąć

Powtarzanie tej samej czynności jest kluczowe dla wykształcenia nawyku, ale nie ma pewności, czy powstaje on jako dokładne odwzorowanie pierwotnego zachowania, czy też sama czynność ulega stopniowej zmianie w miarę jej automatyzacji. Zespół badaczy z Uniwersytetu w Kioto opracował nową metodę, która pozwala na szybkie kształtowanie nawyków u myszy, umożliwiając bezpośrednie śledzenie zachodzących zmian.

„Nawyki są jedną z najbardziej tajemniczych funkcji mózgu; często mamy trudności z ich kontrolowaniem, mimo że to nasze własne poczynania – mówi Nozomi Asaoka, współautorka badania. – Dzięki zrozumieniu mechanizmów ich działania możemy w przyszłości znaleźć sposoby, by przejąć nad nimi kontrolę, zamiast pozwalać, by to one nami sterowały".

Badając myszy, zespół odkrył, że w obrębie obwodu „nawykowego" dwa odrębne obwody neuronalne odpowiadają za różne aspekty automatyzacji zachowania. Pierwszy decyduje o tym, czy dana czynność stanie się nawykiem. Drugi kontroluje jego intensywność, co wyjaśnia różnice indywidualne. Myszy, u których wykształcił się nawyk i które wykazywały silne reakcje w tym drugim obwodzie, wykonywały daną czynność częściej niż osobniki o słabszych reakcjach. Proces kształtowania się takich zachowań jest zatem znacznie bardziej złożony, niż zakłada tradycyjny pogląd.

Jedno z często cytowanych badań dowodzi, że utrwalenie nowego, prozdrowotnego przyzwyczajenia – np. wykonywania ćwiczeń fizycznych przez co najmniej 30 minut dziennie – zajmuje średnio 66 dni. Trenerzy aktywności fizycznej także uważają, że dopiero po 6–8 tygodniach zaczynamy odczuwać przyjemność z aktywności i traktujemy ją jak rutynę. Nie jest to jednak takie proste. Badania przeprowadzone na Johns Hopkins University i opublikowane w „Nature Communications" pokazują jednak, że nawyk może rozwinąć się szybciej, niż dotychczas sądzono, i niekoniecznie jest to proces stopniowy. Kishore V. Kuchibhotla, główny autor publikacji, i jego zespół wykazali, że przejście zwierzęcia od zachowania celowego do nawyku następuje nagle. „A to sugeruje, że musi istnieć jakiś czynnik, który nią steruje" – twierdzi badacz.

Codzienne przyzwyczajenia mogą łagodzić ból fizyczny i objawy depresji. Regularny i rutynowy tryb życia pomaga zsynchronizować wewnętrzny zegar biologiczny organizmu. Gdy rytm dobowy jest prawidłowy, organizm funkcjonuje dobrze; gdy zaś ulegnie znacznemu rozregulowaniu, jego funkcjonowanie się pogarsza. Jest zatem o co walczyć. Kluczowe jest tu powtarzanie. Neurony, które wspólnie się aktywują, tworzą między sobą trwałe połączenia. Jeśli wielokrotnie powtarzamy tę samą czynność – najlepiej w niezmiennych warunkach – wzmacniamy je, co zwiększa prawdopodobieństwo, że powtórzymy dane zachowanie. Dobrym przykładem jest poranny trening zaraz po przebudzeniu.

Kluczowym sygnałem kontekstowym jest zaś miejsce. Mata do jogi rozłożona w wolnym pokoju, torba na siłownię przygotowana przy drzwiach wejściowych czy buty do biegania wystawione u dołu schodów aktywują automatyczne reakcje. Jest jeszcze pozytywne wzmocnienie, czyli nagroda. Powoduje uwalnianie dopaminy – jednej z kluczowych dla mózgu substancji chemicznych wywołujących poczucie przyjemności. Satysfakcjonujący jej wyrzut może nastąpić pod wpływem bodźców zewnętrznych, jak pieniądze, jedzenie czy pochwała, ale też wewnętrznych, choćby wyobrażenia sobie osiągnięcie upragnionego celu.

W budowaniu przyzwyczajeń pomaga *habit stacking* (łączenie nawyków). Polega na dołączeniu nowego zwyczaju do już istniejącego, dzięki czemu automatyzm obecnego zachowania wspiera kształtowanie nowego. Może to być np. włączenie pielęgnacji skóry do porannej rutyny mycia zębów. Wytrwaniu w postanowieniach służy też stosowanie tzw. intencji implementacyjnych. To poparta dowodami naukowymi strategia, w której tworzy się plany typu „jeśli..., to...". Chodzi o planowanie z wyprzedzeniem. Wyobraźmy sobie, że celem jest częstsze ćwiczenie dla poprawy zdrowia. Gdy znajomy zaproponuje spotkanie przy kalorycznym latte (sytuacja „jeśli"), lepiej zaprosić go na wspólne zajęcia sportowe (działanie „to"). Im bardziej precyzyjny będzie ten plan, tym lepiej.

Zastępowanie jest metodą

A co ze złymi nawykami? Nie muszą towarzyszyć nam wiecznie. Ich zmiana nie jest jednak łatwa, a poleganie wyłącznie na własnej zdolności do powstrzymania się od nich nie jest najlepszą strategią. Zespół Wood dostrzegł też, że utrwalonych przyzwyczajeń nie da się łatwo zmienić poprzez samą zmianę nastawienia. Można je przełamać, kontrolując sygnały wyzwalające dane zachowanie. Ważne jest też uświadomienie sobie, co jest szkodliwe. Jeśli poprosić palaczy, by zwrócili uwagę na smak i zapach papierosa, niektórzy dostrzegają, że doznania towarzyszące paleniu wcale nie są dla nich przyjemne.

Niepożądane schematy zachowania mogą pozostać uśpione, jeśli będziemy unikać powiązanych z nimi sygnałów lub sytuacji. Przykładowo, chcąc osłabić nawyk podjadania między posiłkami, warto unikać trzymania przekąsek w łatwo dostępnym miejscu. „Szczerze mówiąc – podsumowuje przewrotnie dr Eike Buabang, wykładowca neuronauki poznawczej z University of Kent i autor stwierdzenia o złożoności człowieka i jego zwyczajów – najlepszym sposobem na pozbycie się starych nawyków jest wykształcenie nowych".

MARGIT KOSSOBUDZKA-LIPIŃSKA

eprasa.pl b6a46f48ee

Iść za zapylaczem

Czym i kogo kuszą kwiaty? Po co badacze biegają po łąkach? W jakiej zieleni miastu jest najlepiej? Odpowiada dr inż. Katarzyna Roguz, laureatka tegorocznej Nagrody Naukowej POLITYKI w kategorii nauki o życiu.



© LESZEK ZYCH

ROBERT JURSZO: **– Dlaczego nauka? Jest tyle innych pasjonujących rzeczy, które można robić w życiu. I lepiej płatnych.**

KATARZYNA ROGUZ: – Chyba nie zdarza mi się myśleć o lepiej płatnej pracy, myślę o trudnej sytuacji finansowej polskiej nauki i doświadczam jej skutków. I pewnie moglibyśmy długo na to narzekać. Ja jednak zawsze chciałam i nadal chcę chronić przyrodę, wykorzystując narzędzia naukowe. Myślę o swojej pracy jak o pracochłonnym i uważnym dokładaniu kolejnych puzzli do ogromnego obrazu, którego w całości nikt jeszcze nie widział

Dlaczego przyroda?

Od początku bardziej świadomego życia kochałam zwierzęta, ważny był dla mnie wegetarianizm. To było trochę jak magma, która wzbierała we mnie, choć jeszcze nie było formy, w którą mogłaby się wlać. I kiedy już zdawałam na studia, przeczytałam w „Niezbędniku Inteligenta" POLITYKI wywiad z prof. Ewą Symonides (NI Plus 6/2010 – przyp. red.), w którym powiedziała, że sama miłość do przyrody nie wystarczy, by ją chronić, bo trzeba przede wszystkim ją poznać. Te słowa zapadły we mnie bardzo głęboko i w jakiś sposób pomogły przemienić moje emocje w coś bardziej konstruktywnego. Później zaczęłam pracę w Ogrodzie Botanicznym Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie nauczyłam się, że bez zachwytu nad detalem – budową skrzydła motyla czy kwiatostanu stokrotki – trudniej jest naturę chronić. Dlatego w swojej edukacyjnej pracy staram się pokazywać te szczegóły innym, by uwidocznić, jak bardzo złożony jest ten świat. Myślę, że nadal jest w tym ten mój pierwotny entuzjazm, jednak dojrzalszy, bo już ukierunkowany.

Jako naukowczyni poświęciła się pani badaniu ewolucji cech kwiatów oraz studiom nad relacjami między roślinami a zapylaczami.

To efekt wielu szczęśliwych zbiegów okoliczności. Odkąd zaczęłam studiować biologię, marzyłam, by pracę licencjacką zrobić w Ogrodzie Botanicznym UW. Od zawsze też uwielbiałam rośliny kwiatowe, ponieważ fascynuje mnie różnorodność kolorów, kształtów, form i zapachów kwiatów. Tak trafiłam do prof. Marcina Zycha, z którym relacja bardzo mnie ukształtowała naukowo i zawodowo. Dzięki niemu zrozumiałam, że kwiaty są nie tylko czymś statycznym i pięknym, ale również elementem skomplikowanych interakcji z innymi organizmami, a także czymś, co się zmienia. W doktoracie zajęłam się ewolucją kwiatów z rodzaju szachownica. Szczególnie interesowało mnie to, jak ich cechy kształtowały się w relacji z zapylaczami.

I jak ułożyły się puzzle?

Zaskakująco. W biologii zapylania funkcjonuje teoria tzw. syndromów kwiatowych, która mówi, że określone zestawy cech kwiatów odpowiadają preferencjom poszczególnych grup ▶

eprasa.pl b6a46f48ee

REKLAMA

Aplikacja mobilna

POLITYKA

Czytaj, słuchaj, oglądaj



Teksty tygodnika, rzetelne analizy

Słuchaj w biegu: podkasty i artykuły

Codziennie nowe treści

POBIERZ W Google play

POBIERZ W App Store

▶ zapylaczy. Przykładowo czerwone kwiaty są prawdopodobnie dopasowane do ptasich. Sądzono, że owady nie widzą tego koloru w taki sposób, w jaki my go postrzegamy, więc nie odróżniają ich od zielonego tła. W toku badania okazało się jednak, że kwiaty niektórych gatunków szachownic są odwiedzane nie tylko przez kolibry, ale też przez pszczoły. W ten sposób udało się pokazać, że teorii syndromów kwiatowych nie należy traktować jako koncepcji, która w pełny sposób wyjaśnia relacje między kwiatami a zapylaczami.

Mogłoby się wydawać, że o zapylaniu wiadomo już wszystko, tymczasem – jak widać – w naszej wiedzy wciąż są białe plamy.

Jako naukowczyni mam raczej wrażenie, że nasza wiedza jest jednocześnie duża i niewielka. Wiemy, że zapylacze są przyciągane przez właściwości kwiatów, czyli kolory, kształty, zapachy, oraz oferowaną nagrodę, czyli najczęściej pyłek lub nektar. Choć nie tylko, bo kwiaty są też miejscem spotkań – w tym kopulacji – czy nocowania. Wiemy też, że zapylacze, w tym owady, potrafią rozpoznawać kwiaty, że je zapamiętują i potrafią lokalizować. To, co dzieje się z pyłkiem – gdzie i jak się przemieszcza, gdy zostanie podjęty z kwiatu – wciąż jednak jest dla nas tajemnicą. Inny przykład: wciąż nie wiemy, po co szachownicy kostkowatej – to jedyna roślina z tego rodzaju rosnąca w Polsce, i to zaledwie na dwóch stanowiskach, do tego zagrożona – szachownicowaty wzór na płatkach kwiatów. Wciąż jest co badać.

W powszechnym przekonaniu zapylacze to owady, przede wszystkim pszczoły. Tymczasem zapylaczem może być nawet kaberu etiopski, zwany też wilkiem etiopskim, jeden z najrzadszych psowatych świata, w dodatku endemiczny.

Oraz kolibry i ptaki wróblowe. Na przykład w Wielkiej Brytanii korona cesarska, azjatycki gatunek, a przy tym roślina ozdobna ogrodów, jest zapylana przez sikory. Bardzo ważnymi zapylaczami dzikich bananów są nietoperze, czyli ssaki. Rośliny są zapylane przez różne gatunki gryzoni, ale też lemury czy jaszczurki. Grupa zapylaczy jest bardzo szeroka i nie ogranicza się do owadów. Przykład wilka etiopskiego jest fascynujący, ponieważ to drapieżnik, a więc kojarzymy go z polowaniem, a nie z zapylaniem. Przyroda lubi rozsadzać nasze wyobrażenia o niej, więc może tak jest i w tym przypadku. Mówię „może", ponieważ nie wiadomo, czy wilk etiopski przenosi pyłek w sposób efektywny, tzn. czy dotykanie pokrytym nim pyskiem żeńskich kwiatów faktycznie prowadzi do zapłodnienia. Na razie pretenduje do roli zapylacza. (*śmiech*)

Pani badania dotyczą również biologii miejskiej. Miasta, o czym wiemy co najmniej od drugiej połowy XX w., są ekosystemami bardzo złożonymi. Składają się nie tylko z obszarów zabudowanych, ale też np. z parków, łąk kwietnych, nieużytków, zieleni niezagospodarowanej, rumowisk, bocznic kolejowych. Czy taka przestrzeń zmienia relacje kwiatów z zapylaczami?

To pytanie bardzo mnie ostatnio nurtuje. Tym bardziej że miasto zmienia bardzo dużo: temperaturę, dostępność wody czy połączenia pomiędzy poszczególnymi populacjami, które często są porozcinane ulicami czy budynkami. Wprowadza nowe gatunki roślin, które w naturalnych siedliskach nie rosłyby obok siebie. Działa jak filtr na zapylacze – niektóre ich grupy nie są w stanie odnaleźć się w warunkach miejskich, a inne radzą sobie świetnie. I są oczywiście takie, które my wprowadzamy do ekosystemu, jak np. pszczoła miodna. Przestrzeń miejska zmienia się też szybciej niż typowy naturalny ekosystem.

eprasa.pl b6a46f48ee

Co udało się ustalić?

W Ogrodzie Botanicznym UW robimy badania na żmijowcu. To często występująca w miastach roślina uznawana za chwast, choć jest przepiękna – ma wielkie kwiatostany złożone z licznych niebieskich kwiatów. Całkiem dobrze czuje się na miejskich nieużytkach, bocznicach kolejowych i w zapuszczonych pustostanach. Nasze pierwsze badania wskazują na to, że ilość nektaru w jej kwiatach jest zależna od dostępności wody w siedlisku. Przy czym nie chodzi tu o wilgotność podłoża, lecz o obecność zbiorników w pobliżu. To ważne ustalenie, ponieważ – jak mówiłam – nektar jest jedną z ważniejszych nagród pokarmowych dla zapylaczy, która wabi je do kwiatów.

Druga część naszych badań na żmijowcu wskazuje na to, że gdy rośnie on w mniej zurbanizowanych przestrzeniach, to zapylacze wybierają większe kwiaty. To naturalna preferencja, bo większy kwiat jest obietnicą większej nagrody. Na terenach bardziej zurbanizowanych zapylacze stają się mniej wybiórcze. A to może oznaczać, że w warunkach miejskich zmienia się presja selekcyjna na określone cechy kwiatów. To jednak jest na razie raczej hipoteza robocza.

W tym kontekście ciekawe wyniki przyniosły nasze badania testujące uczciwość komunikacji między kwiatami a ich zwierzęcymi zapylaczami. Koncentrowaliśmy się tu na irysach. Sprawdzaliśmy to, czy większe kwiaty rzeczywiście produkują większą ilość nektaru, ale też to, czy zapylacze czytają ten sygnał. I okazało się, że nie jest to wcale sztywną regułą.

> Wiemy, że owady rozpoznają kwiaty i je zapamiętują. Jednak to, co dzieje się z pyłkiem, gdy zostanie podjęty z kwiatu, wciąż jest dla nas tajemnicą.

Czy z tych badań wynikają jakieś rekomendacje dla ochrony zapylaczy i kwiatów w miastach?

Myślę, że tak. Nasze analizy łąk kwietnych jasno pokazały, że warto dbać o to, by miejska zieleń zapewniała pokarm dla różnych grup zapylaczy. I choć w Polsce zasadniczo są to jedynie owady, to one również potrzebują w tej kwestii zróżnicowania. Przykładowo kwiatostany dzikiej marchwi są otwarte jak talerz, więc z nich będzie mógł pożywić się również tak mało wyspecjalizowany zapylacz jak chrząszcz. Są też jednak kwiaty mniej dostępne, jak u groszku, lucerny czy koniczyny, do których nie wszystkie zapylacze będą miały dostęp. Projektując łąki miejskie, dobrze jest zwracać uwagę na to, by tworzyły je zróżnicowane gatunki roślin, bo to zwiększa również bioróżnorodność owadów. Rośliny powinny być również dobierane w taki sposób, by pory ich kwitnienia pokrywały cały sezon wegetacyjny – od wczesnego marca po późny październik. No i w miastach zdecydowanie powinno się ograniczyć koszenie. Rozumiem, że w niektórych parkach – zwłaszcza zabytkowych – część roślinności musi być wykoszona, a np. na pasach drogowych trzeba to zrobić ze względów bezpieczeństwa. W innych przypadkach dajmy przyrodzie rosnąć. Również ze względu na zapylacze.

Otrzymała pani tegoroczną Nagrodę Naukową POLITYKI…

…to dla mnie bardzo ważne wyróżnienie. Szczerze mówiąc, byłam bardzo zaskoczona, że je otrzymałam. Wydawało mi się, że badanie ewolucji kwiatów to bardzo niszowe zajęcie. Nie pracuję nad ważnym lekiem, nie wymyślam nowej technologii, nie robię czegoś, co da się łatwo skomercjalizować i osiągnąć dzięki temu szybki zysk. Ta nagroda jest dla mnie ważna właśnie w tym momencie, w którym ją dostałam. Naprawdę dodała mi skrzydeł, bo ostatni czas był dla mnie ciężki: odrzucone granty, odrzucone artykuły, trudne recenzje. Oczywiście w nauce odmowa jest czymś naturalnym, ale zawsze bolesnym. I to naprawdę wspaniałe, kiedy przychodzi wiadomość, że to, co robię, ma znaczenie nie tylko dla mnie. Tę nagrodę traktuję również jako docenienie ludzi, którzy ze mną pracują, bo nauka to praca zespołowa. Może brzmi to patetycznie, ale tak właśnie myślę.

Ostatnie pytanie, stereotypowe, ale chyba wciąż warto je zadawać: trudno być kobietą w nauce?

Biologia jest dość sfeminizowaną nauką i zdaje mi się, że wcześniej nie musiałam się bardzo zastanawiać nad swoją płcią. Od niedawna jednak jestem także matką. I choć mam wspierającego partnera, to praca naukowa jest wymagająca i bywam ogromnie przeciążona. Nie da się uniknąć wszystkich trudności wynikających z łączenia macierzyństwa z pracą. Podczas grantu, w ramach którego byłam w Niemczech, uczelnia dofinansowała wyjazd na konferencję z dzieckiem, które miało też tam zapewnioną opiekę. Córka była jednak chora, więc przed swoim wystąpieniem spałam zaledwie godzinę. To są właśnie sytuacje, w których być kobietą w nauce jest trudno. Człowiek się jednak otrzepuje i idzie dalej.

Z pewnością wiele się zmieniło w zakresie instytucjonalnego wsparcia dla matek badaczek. Niemniej wciąż istnieją rozwiązania warte upowszechnienia. Kiedy zbliżał się moment porodu, poprosiłam mojego szefa, prof. Zycha, by na moje miejsce zatrudnił pracownika technicznego, który mógłby kontynuować moje badania, kiedy będę na urlopie macierzyńskim. Trzeba więc dobrego instytucjonalnego wsparcia, rozważenia różnych opcji i prób racjonalnego zaplanowania przerwy w karierze.

ROZMAWIAŁ ROBERT JURSZO

Partner Główny Nagród Naukowych POLITYKI 2026
KOPIPOL
Partnerzy Nagród Naukowych POLITYKI 2026
Dr Irena Eris
CONSULTRONIX
zaiKS sprzyjamy wyobraźni
Patron honorowy
Marcin Kulasek Minister Nauki i Szkolnictwa Wyższego
Patroni medialni
tokfm
FORUM AKADEMICKIE

eprasa.pl b6a46f48ee

Łączniczka



Katarzyna Jagiellonka z synem Zygmuntem w więzieniu Gripsholm, obraz Józefa Simmlera, XIX w.

© MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE, MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

ŁUKASZ WÓJCIK

500 lat temu urodziła się Katarzyna Jagiellonka, królowa Szwecji i matka polskiego króla Zygmunta III. Szwedom zawiozła widelce i renesans, a na Rzeczpospolitą sprowadziła Wazów.

Która to Katarzyna? Na portretach Lucasa Cranacha Młodszego trzy córki Zygmunta Starego i Bony Sforzy są tak samo ubrane, mają podobne spojrzenie, niemal identyczne fryzury. Można je zobaczyć w krakowskim Muzeum Książąt Czartoryskich. Podpowiedź. Anna jest trochę groźna i ma ręce ułożone w nienaturalny sposób. Zofii się trochę przytyło i nie wie, co zrobić z dłońmi. A Katarzyna? Zarumienione policzki,

eprasa.pl b6a46f48ee

para rękawiczek jakby gotowych do dalekiej podróży, którą wkrótce odbędzie, i „prawie uśmiech".

Nie wiedzielibyśmy, która jest która, gdyby XVI-wieczny malarz nie uwzględnił małych monogramów na wisiorach każdej z sióstr. Te „drobiazgi" zamówił dla nich ojciec u norymberskiego złotnika Mikołaja Nonartha. Każdy z monogramów wypełniony jest diamentami i otacza tańczącego putta, zapowiedź zgrozy baroku. Jest więc litera A jak Anna, obok S – to Zofia, i w końcu C naszej Katarzyny. Zofia zabrała swój wisior w ramach ślubnej wyprawy do Wolfenbütell pod Brunszwikiem. Wisior Anny zabrali Niemcy w 1939 r. i wciąż nie oddali.

Znany jest los tylko monogramu Katarzyny – można go zobaczyć w uppsalskiej katedrze, w której Katarzyna, polska królewna, została koronowana na królową Szwecji i w której została pochowana. 1 listopada minęło 500 lat od jej wawelskich urodzin. A to będzie opowieść o zerwaniu z anonimowością.

Nierozróżnialne

Musiała być ładna, ujmująca, intrygująca. W tamtych czasach konkury były dość ustandaryzowane – były skutkiem układów politycznych, a nie ich przyczyną. Młodzi nie mieli wielkiego wyboru, choć niektórzy próbowali się zabezpieczyć. Gdy młodemu Kazimierzowi Jagiellończykowi przewidziano Elżbietę Rakuszankę, której nie widział na oczy, poprosił o portret, po czym już nie protestował. Ale gdy zobaczył ją na żywo, próbował uciec.



Portret Katarzyny pędzla Lucasa Cranacha Młodszego, XVI w.

Z Katarzyną było odwrotnie. To chyba pierwsza w naszej historii kobieta, która cieszyła się opisanym powodzeniem. Długo by wyliczać adoratorów, którzy odkładali geopolityczne kalkulacje dla jej piękna. Fryderyk II Habsburg chciał się z nią żenić, gdy tylko ją zobaczył – jeszcze podczas wesela swojej siostry, też Katarzyny, z Zygmuntem Augustem. Podchody robił Albrecht Hohenzollern (ten od hołdu pruskiego), ale na małżeństwo nie zgodził się papież, bo Katarzyna była jego siostrą cioteczną. Prawdziwą obsesję na punkcie Katarzyny miał car Iwan IV Groźny i braciszek król omal jej nie sprzedał za Smoleńsk i Psków. W końcu Jan, książę fiński, dosłownie oddał za nią pół majątku.

Para królewska bardziej przejmowała się starszym rodzeństwem Katarzyny: Izabelą, która miała zostać królową Węgier, i przede wszystkim małym Zygmuntem, oczkiem w głowie Bony. Pozostałe trzy córki były takie jak z krakowskich portretów – w zasadzie nierozróżnialne. Oczywiście nie zaniedbano ich edukacji. Katarzyna mówiła i pisała po łacinie, niemiecku i włosku, czytała dzieła historyczne i teologiczne, grała na kilku instrumentach, śpiewała, tańczyła i znakomicie jeździła konno. Ale generalnie młodsze córki monarchów były wtedy narzędziami w polityce zagranicznej.

Relacje w rodzinie pogorszyły się, gdy „oczko w głowie" postanowił ożenić się z Barbarą Radziwiłłówną, czyli kobietą – społecznie rzecz biorąc – z piętra niżej. Bona się na niego obraziła, zabrała trzy córki z Krakowa do Warszawy, gdzie żyły skromnie. Relacje Katarzyny z bratem były sporadyczne. Gdy w 1548 r. przejął władzę po zmarłym ojcu, stał się oziębły, nie dbał o siostry, które nazywał sierotami. Katarzyna tak pisała o Zygmuncie: „Przeciwko nam siostrom swoim był srogiego umysłu".

Siostry długo pozostawały w zawieszeniu matrymonialnym. Sama Katarzyna była grubo po trzydziestce, gdy zainteresował się nią Iwan Groźny. Dziś jesteśmy mądrzejsi, ale gdy w 1560 r. zaczął starania o rękę Jagiellonki, nie było jeszcze wiadomo, że jest wariatem. Na swój przydomek zasłużył później, tworząc opriczninę, mordując mieszkańców Nowogrodu i wreszcie własnego syna. Ale August prowadził z nim zaawansowane negocjacje – biedny król wielkiej Rzeczpospolitej przehandlowałby wtedy Katarzynę nawet diabłu, gdyby ten obiecał mu pożyczkę.

Dziś owe rozmowy część historyków przedstawia jako zasłonę dymną, bo Zygmunt nigdy nie zgodziłby się na ślub, który w razie jego bezdzietności – już wtedy nie można jej było wykluczyć – wprowadziłby Rurykowiczów na Wawel. Ale August brnął w te rozmowy bezrefleksyjnie. Sytuację uratował książę Finlandii.

Skąd ten fiński Jan? Geopolityka nie lubi próżni, a takowa powstała na terenie dzisiejszej Łotwy i Estonii, gdy tamtejszy Zakon Inflancki, pozostałość po kawalerach mieczowych, zaczął chylić się ku upadkowi. Szukał obrońcy przed Rosją, która – wyczuwając próżnię – próbowała wywalczyć sobie dostęp do Bałtyku. Ostatecznie mistrz zakonu Gotthard Kettler poprosił o opiekę Zygmunta Augusta i w 1561 r. w pakcie wileńskim powtórzył model pruski – sam zrzucił habit i przeszedł na luteranizm, a państwo zsekularyzował, zostając księciem Kurlandii i Semigalii podporządkowanej Rzeczpospolitej. Problem w tym, że również Zygmunt nie był w stanie sam obronić nowego księstwa przed Rosjanami. Stąd pomysł na sojusz z Finlandią księcia Jana Wazy.

Finlandia była częścią Szwecji od XII w. W połowie XVI w. były to nadal głębokie peryferie Europy. Szwecja liczyła wtedy 600, góra 800 tys. mieszkańców, podczas gdy liczba obywateli Rzeczpospolitej dobijała do 10 mln. W samej Finlandii populacja nie przekraczała 200 tys., a stolica Abo, dzisiejsze Turku, liczyła 3 tys. mieszkańców tylko wtedy, gdy na miejscu akurat przebywał książę z dworem i wojskiem.

A Wazowie? To dopiero kariera. Zdaniem Hermana Lindqvista, autora książki o tej dynastii, nie byłoby żadnej dynastii, gdyby nie interesy największej korporacji ówczesnego świata, czyli Hanzy. To za jej pieniądze doszło do buntu, który obalił Chrystiana II Oldenburskiego i w 1523 r. osadził na szwedzkim tronie mało znanego szlachcica Gustawa Erikssona herbu Waza.

W naszej historii Szwecją rządzi już syn Gustawa, Eryk XIV, a jego młodszy brat Jan formalnie panuje w Finlandii, ale jego autonomia jest bardzo ograniczona. Gdy więc wpada na pomysł, aby poślubić polską królewnę, czyli zabiera się do polityki zagranicznej, wchodzi w kompetencje starszego brata. Takie ujęcie sprawy w innym świetle stawia kolejne wypadki w naszej opowieści.

Odstąpione szczęście

Zygmunt August był na musiku. W 1561 r. Katarzyna miała już 36 lat, a on pustki w skarbcu i natrętnego Iwana na karku. 11 lat młodszy od swojej przyszłej żony Jan musiał zagwarantować jej wolność wyznania katolickiego w państwie barbarzyńsko luterańskim, o czym zaraz. W ostatniej próbie Zygmunt zaoferował Janowi Annę, bo była starsza i miała pierwszeństwo. Ale Jan odmówił. Ostatecznie Anna z własnej inicjatywy „odstąpiła szczęście" Katarzynie. ▶

eprasa.pl b6a46f48ee

▶ Ślub na wileńskim Zamku Wielkich Książąt trwał bity tydzień, Rzeczpospolita miała już takiego nie oglądać. Od Jana Zygmunt dostał pożyczkę w wysokości 120 tys. talarów pod zastaw siedmiu zamków na terenie dzisiejszej Estonii. W ramach prezentu ślubnego August dał nowemu szwagrowi paradną zbroję dla jeźdźca i konia. Można ją do dziś oglądać w królewskiej zbrojowni w Sztokholmie i stanowi ona tam pewien ewenement, bo resztę eksponatów z Polski Szwedzi wzięli sobie sami.

Zaraz po ślubie młodzi ruszyli w drogę do Finlandii. Przezorna Katarzyna zabrała ze sobą m.in. tureckie dywany, ścienne draperie, tkaniny, garnki, patelnie, foremki do ciasta, srebra, dzieła sztuki, złocone talerze oraz przedmiot, którego nikt wcześniej nie widział w Finlandii – widelce (ale po co komu widelce w kraju, gdzie przysmakiem były surowe śledzie). Plus 59 osób do obsługi, w tym odźwiernych, krawców, muzyków, damy dworu, lekarzy, farmaceutów, piekarzy, kucharzy i przede wszystkim jezuitów.

Kolejne osiem miesięcy Jan i Katarzyna remontowali posępny zamek w Abo. A rozpromieniony książę fiński pisał do brata Eryka, opowiadając mu o zaletach życia małżeńskiego. I to był błąd, bo już kilka miesięcy później szwedzka ekspedycja karna stanęła pod murami Abo.

Nic prócz śmierci

Król Eryk był – jak na dzisiejsze standardy – niezrównoważony, tylko nieznacznie ustępując w tej konkurencji Iwanowi Groźnemu. Ale takich wariatów było w Europie jeszcze kilku – Eryk miał pecha, że ostatecznie przegrał. Oczywiście można założyć, że sam nieszczęśliwy, odrzucany przez kolejne europejskie księżne, nie mógł młodszemu bratu darować szczęścia. Ale jest też inna wersja – obawiał się, że sojusz Finlandii (przecież szwedzkiej) z Rzeczpospolitą przeciwko Rosji w końcu może się obrócić przeciwko Szwecji.

W 1563 r. Eryk zwołał więc powolny mu Riksdag, który uznał księcia Jana za „jawnego wroga królestwa" oraz zatwierdził przepadek jego mienia, łącznie z posagiem Katarzyny. Zamek w Abo bronił się dzielnie, ale ostatecznie Szwedzi wpadli do środka i wymordowali całą załogę, poza rodziną książęcą. Potem załadowali ją na statek i popłynęli do Szwecji do zamku Vaxholm, gdzie miała miejsce słynna scena z pierścionkiem.

W Vaxholm przywitał ich Jöran Persson, postać jak z Krainy Deszczowców, prawa ręka króla Eryka, a może nawet głowa. Katarzynie zaproponował wolność i powrót do Rzeczpospolitej. Katarzyna zdjęła wtedy pierścień i pokazała mu łacińską inskrypcję „Nemo Nini Mors", co oznacza „nic prócz śmierci" (nas nie rozdzieli).

Potem Persson zaczął publicznie oskarżać Jana o zdradę stanu, na co ten miał mu odpowiedzieć, że „sądzić mogą mnie króle i książęta, a nie ty, kleszy pomiocie". Tu warto się zatrzymać przy „kleszym pomiocie" – otóż w Szwecji po zwycięstwie reformacji nowo oświecone władze nakazały katolickim księżom ożenki pod karą śmierci, a Persson był nieślubnym dzieckiem księdza z gospodynią, którą ten następnie szybko poślubił.

Na koniec doszło do nieprzyjemnej sytuacji, gdy sekretarz króla przeszukał bagaże pary książęcej i okradł ją z części kosztowności, a potem ograbionych wysłał do zamku Gripsholm, gdzie spędzili cztery lata w niewoli. Na jej temat są różne wersje. Jedna mówi, że cierpieli tam katusze, chodzili głodni, a Katarzyna za przemycone pieniądze kupowała od strażników koszule na pieluchy dla dwójki dzieci (o dzieciach zaraz) urodzonych za kratami. Jako katoliczka przez cztery lata nie miała dostępu do sakramentów, a z mężem widywała się tylko wtedy, gdy wychodziła na spacery do zamkowego ogrodu, a on akurat stał w oknie.

Musi być w tym pewna nieścisłość przestrzenna, bo Katarzyna urodziła w więzieniu dwoje dzieci. Najpierw Izabelę, która zmarła po dwóch latach, a później Zygmunta, który zostanie królem Szwecji i Polski. Już po wyjściu na wolność parze książęcej urodziła się jeszcze Anna.

W więzieniu Jan zbliżył się do Katarzyny, również pod względem religijnym. A wyszedł z niego odmieniony, niemal u progu katolicyzmu. I choć konwersji nie dokonał (zamknęłaby mu drogę do szwedzkiej korony), to jednak do końca życia starał się zbliżyć katolicyzm i luteranizm w swoim kraju, wydając nawet tzw. Czerwoną Książeczkę zawierającą propozycję liturgii ekumenicznej w duchu. Luteranie trzy razy próbowali go za to zamordować.

Jan i Katarzyna siedzieliby w tym Gripsholm jeszcze długo, gdyby największa korporacja świata nie postanowiła obalić kolejnego rządu, tym razem Eryka XIV. Najpierw Dania wypowiedziała wojnę Szwecji – oficjalnie dlatego, że Eryk włączył do swojego herbu trzy duńskie lwy. A tak naprawdę z powodu trudności, jakie Szwedzi czynili Duńczykom w ich handlu z Inflantami. Kilka dni później do wojny włączył się prawdziwy rozgrywający, czyli „stolica" Hanzy Lubeka – tamtejsi kupcy nie darowali Erykowi, że odciął ich od handlu szwedzką rudą. Ale oficjalnym pretekstem dla Lubeki była... Katarzyna. Rekiny biznesu nie mogły spać po nocach, drżąc o los księżnej. I poszły z jej powodu na wojnę. Swoją drogą romantyk Zygmunt August nigdy nie zdobył się na taki gest.

Szwecja wyszła z tej wojny w fatalnym stanie. W wielu miasteczkach Skanii nie został kamień na kamieniu. A Eryk oszalał do reszty. Zaczął odbierać arystokracji majątki i wtrącać ją do więzień. Raz wpadł do jednego z nich i własnoręcznie zaczął mordować, a potem przepraszał pozostałych przy życiu. To wszystko jednak nie doprowadziło jeszcze do buntu – tak jak za Christiana II szalę przeważyła Lubeka, która opłaciła, kogo trzeba, i nagle okazało się, że szlachta szwedzka stanęła murem za księciem Janem.

Wkrótce po uwolnieniu pary w lipcu 1569 r. odbyła się koronacja Jana i Katarzyny. Szwedzi i Finowie do dziś mają słabość do jej panowania. Przywiozła im nie tylko widelce, ale też renesans – w sztuce i architekturze. Wiele szwedzkich zamków do dziś nosi ślady po Katarzynie. Pod Turku można się przejść Doliną Katarzyny. A pod koniec życia Jan podarował jej pałac na jednej z podsztokholmskich wysp, która z czasem zyskała nazwę Drottningholm – Wyspa Królowej. Szwedzka rodzina królewska, głównie seniorzy, do dziś tam mieszka.

Och, Katarzyno

Szwedzi i Finowie wciąż widzą w Katarzynie ludzką panią, która pomagała biednym, do końca została wierna mężowi i swojej nowej ojczyźnie. Wiosną 1583 r. królowa zachorowała na podagrę (artretyzm) i jesienią zmarła. A jeszcze 336 lat później fiński wieszcz Eino Leino pisał o niej tak:

„Och, Katarzyno, jeśli zostanę bez twej wielkiej duszy,
zostanie mi tylko wspomnienie o tobie z radością i szczęściem.
Idź do krainy twego ojca nie przywiązuj się do mnie,
bo ja, nieszczęsny, kiedyś przywiązałem się do ciebie.
Czy już odeszłaś, mój jedyny skarbie?
Czyż ta twoja odpowiedź może zostać zapomniana:
»Nic prócz śmierci nas nie rozdzieli«".

ŁUKASZ WÓJCIK

eprasa.pl b6a46f48ee

Cuda nad Wisłą

Michał Przeperski, **Prawie Zachód. Historie polskiej transformacji**, Wydawnictwo Port, 2026, s. 416

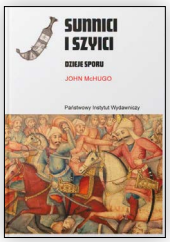


Na wcale nie tak krótkiej liście cudów w polskiej historii cud transformacji przełomu lat 80. i 90. ubiegłego wieku mieści się w ścisłej czołówce. Cudowne przejście z socjalizmu do kapitalizmu, ze Wschodu na Zachód, bezprecedensowe w dziejach świata i bezkrwawe to był fenomen. Rewolucja bez rewolucji tak odmienna od przykładu Rumunii stała się wzorem dla państw opuszczających zonę radziecką. Samo przejście to jedno, a doświadczenie i dokonania lat następnych – całej dekady aż po dzisiaj – to drugie. Przemiany były wszechogarniające, dotyczyły wszystkiego i wszystkich. Michał Przeperski, laureat Nagrody Historycznej Polityki za znakomitą biografię Mieczysława F. Rakowskiego, podjął próbę przybliżenia tego fenomenu. Bardzo udaną nie tylko za sprawą uważnej rekonstrukcji wydarzeń, zdiagnozowania nowej, wyłaniającej się rzeczywistości, ale też celowego i chwalebnego pobudzenia czytelnikowskiej wrażliwości i empatii, które są niezbędne dla zrozumienia ówczesnego świata myśli, emocji, nadziei i rozczarowań. Ułatwiają to przywołane wypowiedzi bohaterów i aktywnych uczestników tamtej historii. Jesteśmy jej beneficjantami, choć nie zawsze jesteśmy gotowi to przyznać. A szkoda.

WIESŁAW WŁADYKA

Żywioły islamu

John McHugo, **Sunnici i szyici. Dzieje sporu**, przeł. Jerzy Rohoziński, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2026, s. 312



Aby zrozumieć dynamikę najszybciej rozwijającej się religii świata, trzeba cofnąć się do jej początków. Podział islamu na sunnitów i szyitów sięga czasów śmierci proroka Mahometa w 632 r. i sporów o to, kto powinien sprawować władzę religijną. Rywalizacja dwóch koncepcji przywództwa doprowadziła do wojny domowej jeszcze za życia wielu tzw. towarzyszy proroka. John McHugo wyjaśnia naturę tego podziału w perspektywie całej historii islamu. Podważa dość powszechne przekonanie, że odwieczna wrogość sunnitów i szyitów tłumaczy niemal wszystkie konflikty współczesnego Bliskiego Wschodu. Autor przekonuje, że choć między dwoma odłamami islamu zawsze były tarcia, to nigdy nie dochodziło między ich wyznawcami do konfliktów na miarę wojen religijnych i prześladowań innowierców znanych z okresu reformacji w chrześcijańskiej Europie XVI i XVII w. Tam, gdzie dziś dochodzi do przemocy między sunnitami a szyitami, za religijnymi podziałami kryją się polityczne gry. Książka, wydana oryginalnie w 2019 r., ukazuje się teraz po polsku w renomowanej serii „Rodowody Cywilizacji" PIW. Kończy się na konsekwencjach amerykańskiej inwazji w Iraku w 2003 r., która na nowo doprowadziła, jak pisze autor, do „otwarcia wrót piekieł przemocy na tle religijnym".

JAKUB HALCEWICZ

Stolice marzeń

Łukasz Galusek, **Wyobrażone stolice. Miasta monarchii habsburskiej jako centra narodów 1815–1918**, Międzynarodowe Centrum Kultury, Kraków 2026, s. 468



W XIX w. Budapeszt, Praga, Zagrzeb, Lublana czy Bratysława nie były stolicami niepodległych państw, a jednak zaczęły grać rolę narodowych centrów. Łukasz Galusek przekonuje, że stolica nie musi być przede wszystkim siedzibą władz. Może istnieć jako projekt polityczny i kulturowy, jako miejsce skupiające pamięć, symbole, instytucje nauki i kultury oraz narodowe aspiracje. To właśnie w monarchii habsburskiej narody pozbawione własnych państw tworzyły miasta, które najpierw stały się ich „wyobrażonymi stolicami", a dopiero później rzeczywistymi centrami niepodległych państw. Galuska interesuje proces, w którym miasta stały się nośnikami tożsamości. Analizuje nie tylko układ ulic, reprezentacyjne gmachy czy pomniki, lecz także pamięć historyczną. Pokazuje, jak modernizacja splatała się z kultem przeszłości, a architektura stawała się językiem politycznych aspiracji. Co ciekawe, te pięć miast rozwijało się w podobnych warunkach, lecz dochodziło do stołeczności odmiennymi drogami. To książka wymagająca – bliższa rozprawie naukowej niż popularnemu esejowi – ale napisana z erudycją i rozmachem. Autor łączy historię, historię sztuki, antropologię, socjologię i geografię polityczną, proponując własną kategorię „wyobrażonych stolic".

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Paradoksy historii

Monika Milewska, **Boskie trele. Szkice o Oświeceniu i Rewolucji**, słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2026, s. 200



Autorka doskonałej książki o rewolucji francuskiej „Ocet i łzy" tym razem proponuje czytelnikowi czternaście esejów poświęconych oświeceniu, rewolucji francuskiej i czasom napoleońskim. Niewielkie studia, które ukazały się wcześniej w różnych periodykach, autorka zamyka w spójną książkę. Poświęca w niej uwagę tematom, które historykom zazwyczaj umykają w wielkich syntezach, mianowicie szczegółowi. W swoich zainteresowaniach pochyla się nad paradoksami historii i w ten sposób opowiada historię Woltera, który jako zagorzały wróg kleru postanowił wybudować kościół. Śledzi zawiłe losy pieśni zagrzewających do boju francuskie armie, ze szczególnym uwzględnieniem „Marsylianki", która została hymnem Francji. Kreśli też historię braci Chénier, rewolucyjnych odpowiedników Kaina i Abla. Opierając się na pamiętnikach i korespondencji, opisuje, w jaki sposób wojny napoleońskie stały się swoistym „biurem podróży" dla polskich żołnierzy: od Egiptu, poprzez Haiti do Moskwy. Poświęca też uwagę rewolucyjnym kulinariom oraz „portretowi rewolucji", którego ze względu na przyspieszenie historii nie zdążył ukończyć Jacques-Louis David. Erudycyjne eseje pięknie ilustrowane pracami z epoki to szeroko otwarte drzwi do zainteresowań historią.

MAREK SOBCZAK

eprasa.pl b6a46f48ee



film

Mistrzowskie oszustwo 6/6

Zobaczysz wszystko (You Can See Everything), reż. Nathan Fielder, Lance Oppenheim, prod. USA, 174 min, w kinach od 6 listopada

Wiele wskazuje na to, że „Zobaczysz wszystko" stanie się pierwszym w historii dokumentem nominowanym do Oscara w kategorii najlepszy film. Świadczą o tym głosy zachwyconych recenzentów i widzów, którzy szturmem ruszyli do kin, aby się przekonać, na czym polega diaboliczny charakter **Elizabeth Holmes** – prawomocnie skazanej i odsiadującej 11-letni wyrok za oszustwo założycielki firmy farmaceutycznej Theranos mającej zrewolucjonizować diagnostykę medyczną. Start-up okazał się giełdową wydmuszką, inwestorzy stracili miliony, a wyniki badań sfałszowano. Trzygodzinny film nie przypomina niczego, co do tej pory oferowało mainstreamowe kino, a jego przewrotność polega na celowym, systematycznym, niesłychanie precyzyjnym podważaniu wiary, że potrafimy ocenić, pojąć czy choćby orientacyjnie rozszyfrować podstawowe motywy postępowania człowieka, który na ten wyrok zasłużył.
Holmes miała wszystko, czego potrzebuje współczesna opowieść o wielkim oszustwie: ambitną wizję, spektakularną obietnicę, pieniądze, wpływowych protektorów i twarz, która stała się symbolem korporacyjnej mistyfikacji Doliny Krzemowej. **Nathan Fielder** i Lance Oppenheim, autorzy filmu, nie starają się dowieść, że Holmes jest niewinna. Chcą jedynie zrozumieć, co naprawdę ją motywowało, dlaczego tyle znanych osób jej zaufało, jakim jest człowiekiem. I czy za zaproszeniem, by swobodnie mogli się przyglądać jej zachowaniom przed pójściem do więzienia, kryło się coś jeszcze oprócz oczywistej chęci poprawy wizerunku. Kierują więc kamerę tak blisko, jak się da, i cierpliwie, patrząc prosto w wielkie niebieskie oczy, wsłuchują się w jej słowa, uzupełniane zwierzeniami partnera. Obraz, jaki się z tego wyłania, oscyluje między superinteligentną psychodramą a wyrafinowaną grą polegającą na kwestionowaniu prawdziwości emocji oraz autentyczności wszystkiego – łącznie z filmową wizją. Nie da się opisać szalonego napięcia oraz wrażenia, jakie to robi.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

film

Starcie tytanów 5/6

Godzilla Minus Zero, reż. Takashi Yamazaki, prod. Japonia, 135 min, w kinach od 6 listopada

Trzy lata temu „Godzilla Minus Jeden" okazała się wielkim przebojem, nagrodzonym Oscarem za efekty specjalne, a reżyser Takashi Yamazaki udowodnił, że wielkie widowisko nie wyklucza psychologicznej wiarygodności, rozliczeń z historią oraz rozmowy o narodowych traumach. Kontynuacja była więc formalnością (zwłaszcza że **Godzilla** wraca na ekrany od ponad 70 lat z zadziwiającą regularnością), a Yamazaki ponownie sięgnął do korzeni cyklu, zrodzonego z lęku przed zagładą atomową. Akcja toczy się pod koniec lat 40. XX w., gdy wspomnienia zarówno o bombach atomowych, jak i atakach Godzilli są wciąż żywe, a Japonia zmaga się z finansowymi i społecznymi kryzysami. Kiedy w kraju pojawia się nowy potwór – później przez naukowców nazwany Królem Ghirodah – armia jest bezsilna, a jedynym rozwiązaniem wydaje się sięgnięcie po broń ostateczną – przywołanie Godzilli, by oba monstra stoczyły ze sobą wyniszczającą walkę. W obliczu



starcia tytanów na sile przybierają ludzkie dramaty, kwestie poświęcenia, honoru, odwagi i tchórzostwa, empatii i nienawiści. „Minus Zero" może nie ma już tej siły rażenia, co poprzednia część serii, lecz niemal pod każdym względem jej dorównuje. Hollywoodzkie blockbustery często przykrywają fabularne niedostatki humorem i autoironią, Yamazaki zamiast tego zaprasza widzów do poważnej dyskusji, choć przebranej w popkulturowy kostium.

JAKUB DEMIAŃCZUK

© GUTEK FILM, PIECE OF MAGIC ENTERTAINMENT, NATALIA KABANOW, KAROLINA JÓŹWIAK, ANDRZEJ Z. LESZCZYŃSKI/MUZEUM NARODOWE W GDAŃSKU

eprasa.pl b6a46f48ee

Pojedyncza Weronika 4/6

Podwójne życie Weroniki, reż. Ewelina Marciniak, Teatr Wybrzeże w Gdańsku

Tytuł sugeruje sceniczną wersję filmu Krzysztofa Kieślowskiego z 1991 r., to jednak połowa prawdy, bo twórcy adaptacji sięgają także do autobiograficznej powieści Tove Ditlevsen „Pokój Vilhelma". Filmowa Weronika zyskuje dalsze życie, energię, zdolność retrospekcji i refleksji. W kinie Weroniki były dwie, na scenie są nawet trzy, bo **Katarzyna Dałek** w czerwonej sukni jest upostaciowionym operowym głosem Weroniki. Ale chodzi o jedną osobę. To opowieść o dojrzałej diwie operowej (**Dorota Kolak**), która przygląda się zwrotnym momentom w swoim życiu (młodą bohaterkę gra **Karolina Kowalska**), a podstawowe pytanie brzmi: czy (a może raczej – dlaczego nie) kobieta może być jednocześnie spełniona artystycznie (albo szerzej – zawodowo) oraz jako żona i matka, czy wciąż musi wybierać, iść na kompromisy itd.? Weronika się buntuje, walczy. Jej związek z Wilhelmem (Piotr Biedroń i Cezary Rybiński) jest toksyczny na granicy parodii, jakby od czasu rodzinnych dram Strindberga niewiele się zmieniło. Tłem jest transformacja ustrojowa lat 90., rodzący się kapitalizm, który zamiast wolności przyniósł kult pieniądza oraz terror młodości i produktywności. Marciniak, od lat głównie reżyserująca opery w krajach niemieckojęzycznych, tworzy na dużej scenie Wybrzeża niemal operową inscenizację – obyczajową akcję zderza z monumentalnymi, malowanymi światłem scenami-obrazami, aktorów Wybrzeża z 12-osobowym żeńskim chórem.



ANETA KYZIOŁ



Obrotowe czarownice 4/6

Arthur Miller, **Czarownice z Salem**, reż. Tomasz Fryzeł, Teatr Polski w Warszawie

Warszawski Teatr Polski dysponuje olbrzymią sceną z obrotówką i równie imponującym budżetem, najnowsza premiera to kolejny dowód na to, że potrafi korzystać z obu atutów, a przy tym – i to nowość – nie boi się powierzać ich młodszemu pokoleniu twórców. Trzydziestolatkowie – Tomasz Fryzeł (reżyser) i Anna Oramus (scenografka i autorka kostiumów) – nie zawodzą zaufania, na obrotówce budują ogromny, w części ogrodzony amfiteatr. Jest jednocześnie teatrem, w którym swoje spektakle/psychozy opętania odgrywają/przeżywają nastolatki pod wodzą manipulantki Abigail Williams (**Irmina Liszkowska**), symboliczną agorą i sądem, w którym bohaterowie – w imponującej liczbie 20 osób – walczą o swoje interesy, kompensują krzywdy, realizują ambicje, stopniowo gotując sobie zwyrodniały świat, gdzie kłamstwo i prawda zamieniają się miejscami. Miller pod kostiumem procesów o czary w XVII-wiecznej Ameryce ukrył obraz współczesnej mu, ogarniętej szaleństwem szukania wroga Ameryki epoki maccartyzmu. W Polsce sztuka wróciła w czasach rządów PiS, z podobnych powodów. A co mówi dzisiaj? Monumentalny entourage, nachmurzone miny purytańskich obywateli Salem (z aktorstwem bywa tu rozmaicie) i reflektory wielokrotnie kierujące światło w stronę widowni sugerują, że coś bardzo ważnego. Może o naturze ludzkiej, może o epoce postprawdy, a może o internetowych wzmożeniach moralnych, które łatwo przeradzają się w lincze. AK

Małe wielkie sprawy 4/6

Ciała ziemi. Ciała nasze, NOMUS – Nowe Muzeum Sztuki, Gdańsk, do 28 lutego 2027 r.

Ekologia w ostatnich latach stała się jednym z czołowych tematów w galeriach sztuki. Trudno się dziwić, skoro zmiany klimatu i ich mniej lub bardziej apokaliptyczne konsekwencje zdominowały masową wyobraźnię. W ten szeroki trend wpisuje się najnowsza wystawa w NOMUS. Dominuje tutaj podejście spod znaku „wszystko jest ze sobą połączone". Jedna wielka współzależność tego, co ludzkie i nieludzkie. Człowiek jako część natury, a nie byt całkiem od niej odcięty i niezależny. Kuratorkom udało się stworzyć spójną przestrzeń. Różnorodne prace powstałe na przestrzeni stuleci uzupełniają się i tworzą całkiem interesującą narrację. Prace żyjących twórców spotykają się z dziełami autorów sprzed kilkuset lat. Pierwszy przykład z brzegu: księga botaniczna sprzed blisko 500 lat sąsiaduje z XXI-wieczną sztuką wideo. Na tle zebranych obiektów wyróżnia się m.in. intrygująca rzeźba-fontanna Agnieszki Brzeżańskiej, nawiązująca do kultu Matki Ziemi, czy prace Teresy Murak. W tym drugim przypadku szkoda, że jest ich tak niewiele. Wystawa ma jeden zasadniczy mankament – rozmiar. Nie jest (niestety) zbyt duża. A przy tak przepastnym temacie, jak relacje człowieka z naturą, to spory minus. Ponadto w układance nazwisk zabrakło kilkorga oczywistych artystów i artystek. Nie da się ukryć, że po opuszczeniu muzeum pozostaje uczucie niedosytu.



Agnieszka Brzeżańska, „Źródło", 2018 r.

ALEKSANDER ŚWIESZEWSKI

eprasa.pl b6a46f48ee



Ziemie przemilczane 4/6

Maciej Bobula, **Kastor i Polluks**, ArtRage, Warszawa 2026, s. 384



Powieść Macieja Bobuli rozgrywa się w tym samym momencie, co „Świata jest za dużo" Olgi Tokarczuk. I w sąsiedztwie, we wsi Szalejów (jego rodzinnym miejscu, które powraca w twórczości Bobuli wielokrotnie) tuż po wojnie, kiedy na Ziemie Zachodnie przyjeżdżają osadnicy ze Wschodu, ale też z centralnej Polski, jest nawet pewien Włoch spod Monte Cassino. Ci nowi zamieszkują tu z Niemcami, którzy zostali. Znakiem tych dwóch żywiołów są tytułowe psy, Kastor i Polluks, jeden przyjezdny, drugi poniemiecki. Powrót tematu Ziem Zachodnich w literaturze pokazuje, jak bardzo ta historia była przemilczana do tej pory. Nowa Polska miała się odciąć od przeszłości niemieckiej, czego wyrazem było choćby niszczenie cmentarza. I właśnie książka Bobuli wynika z potrzeby przywrócenia ciągłości i pamięci o tych, którzy mieszkali tam dawniej, po których zostały groby przeznaczone do zniszczenia. Pamięć odcięta powraca eksplozją niewypału (od którego wszystko się zaczyna), który rani chłopca. Bobula rozpościera wachlarz historii ludzko-zwierzęcych, narratorem bywa drozd na gałęzi albo sam dom. Wszystko dzieje się w ciągu 24 godzin, w tym czasie przyjeżdża do Szwederstwa (tak wtedy nazywał się Szalejów) kino objazdowe i jest to jeden z najlepszych fragmentów tej książki. Konstrukcyjnie powieść zdaje się rozpadać na poszczególne głosy, monologi i bardziej przypomina balladę. Język Bobuli ma dużą siłę, rytm i melodia tekstu niesie nas przez tę opowieść, w której przeszłość przemienia, a samo miejsce tajemniczo przemienia mieszkańców.

JUSTYNA SOBOLEWSKA



Z archiwum Q 4/6

Jussi Adler-Olsen, Line Holm, Stine Bolther, **Martwe dusze nie śpiewają**, przeł. Joanna Cymbykiewicz, Wydawnictwo Sonia Draga, Katowice 2026, s. 440

Mogło się wydawać, że seria o Departamencie Q – wydziale kopenhaskiej policji do spraw zagadek z przeszłości – przeszła już na emeryturę wraz z głównym bohaterem Carlem Mørckiem. Na szczęście Jussi Adler-Olsen postanowił jeszcze coś z tego tematu wycisnąć. Zachowując nadzór nad cyklem, zaprosił do współpracy dwie autorki, Stine Bolther i Line Holm, mające na koncie kilka wspólnych książek (nietłumaczonych na polski). Departament Q dostał więc zastrzyk nowej energii. Emeryt Mørck co prawda pomaga nieco w śledztwach, a w roli szefa wydziału zastąpił go doświadczony Assad, lecz do ekipy dołączyła ambitna i przebojowa Helena Henry, francuska policjantka o skomplikowanym życiorysie. Odświeżony „Departament Q" prezentuje się równie dobrze co zawsze: sprawnie poprowadzona akcja (śledztwo dotyczy zabójstw popełnionych na mężczyznach, którzy przed laty śpiewali w tym samym chłopięcym chórze), dużo humoru, sporo krytycznych uwag o relacjach społecznych w Danii. Bolther i Holm dokładają feministyczną perspektywę, a do tego dochodzi wątek autoironiczny: Mørck na emeryturze pisze książki o dawnych śledztwach (zatytułowane tak jak poprzednie części serii Adlera-Olsena) i zmaga się z brakiem czytelników. „Departamentowi Q" to nie grozi.

JAKUB DEMIAŃCZUK



Muzyka, czyli życie 5/6

Michael Spitzer, **Muzyka. Wielka biografia**, przeł. Filip Godyń, Znak, Kraków 2026, s. 560

Chociaż autor jest muzykologiem z bogatym dorobkiem naukowym, postanowił tym razem spojrzeć na przedmiot swojej refleksji tak, jakby był antropologiem. I chociaż cała trzecia część tego obszernego dzieła poświęcona została ewolucji w procesie tworzenia i odbierania muzyki – od jej „przedludzkiej", zwierzęcej percepcji po udział maszyn w kreowaniu zorganizowanych dźwięków w erze posthumanistycznej – trzeba pamiętać, co ową trzecią część poprzedzało. Najważniejsze wydaje się założenie, że muzyka jest elementarną, pierwotną praktyką, w której splatają się konteksty kulturowe, biologiczne i egzystencjalne, i ten jej status nie zmienia się zasadniczo przez cały czas trwania gatunku ludzkiego. Nieprzypadkowo pierwsza część „Wielkiej biografii" nosi tytuł „Życie". Otóż nie jest tak, że muzyka po prostu towarzyszy życiu: ona to życie współtworzy, symbolizuje jego porządek i sens w najgłębszym, pierwotnym znaczeniu. Rytm i harmonia wyznaczają ten „pierwszy porządek". Mało tego – Spitzer stawia tezę, wedle której rytm i harmonia zaczynają się od „kosmicznych wibracji", a dopiero później człowiek je oswaja i nadaje im rangę własnego wytworu, czyli elementu kultury. Oczywiście mamy w tym obszernym dziele mnóstwo odniesień dotyczących rozmaitych stylów i gatunków. Znalazło się tu miejsce i dla Mozarta, i dla wybitnych artystów jazzowych, i dla twórców współczesnej elektroniki. Przed czytelnikiem otwiera się także aspekt mniej oczywisty – muzyki jako elementu audiosfery. Książka Michaela Spitzera pozwala jednak pomyśleć o muzyce zupełnie inaczej, niż zwykle skłonni są myśleć słuchacze i twórcy, a także organizatorzy życia muzycznego.

MIROSŁAW PĘCZAK

© BEATA PROKOPCZUK-DAAB, NETFLIX, MP (7)

eprasa.pl b6a46f48ee

festiwal

Eklektyczny Wschód

20. Festiwal Filmów Azjatyckich Pięć Smaków, Warszawa, 10–17 listopada



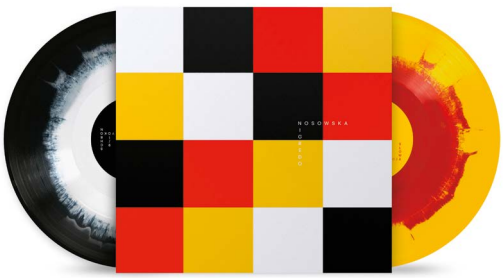
Jubileuszowa edycja Pięciu Smaków jest okazją, by sentymentalnie spojrzeć na przeszłość, lecz przede wszystkim to szansa, by się przekonać, czym dziś żyją azjatyckie kinematografie. To także jeden z najbardziej eklektycznych festiwali filmowych w Polsce: filozoficzne slow cinema bez problemu sąsiaduje w programie z dziełami mistrzów kina gatunkowego, czasami nawet w ramach jednej sekcji. Tak jest w przypadku segmentu „Poetyki duchowości", gdzie obok filozoficznego „Po życiu" Hirokazu Koreedy i autobiograficznego dokumentu „Masayume", który japońska reżyserka Nao Yoshigai nakręciła po śmierci matki, można znaleźć czarną komedię „Wielki Budda+" czy horror „Lament" Na Hong-jina. Ten ostatni reżyser jest bohaterem jednej z autorskich retrospektyw – na festiwalu zostaną przypomniane wszystkie jego pełnometrażowe filmy, włącznie z najnowszym „Witajcie w Hope". Na Pięciu Smakach znalazło się także miejsce dla hongkońskiego tytana kina akcji Tsui Harka (w repertuarze m.in. kultowe „Dawno temu w Chinach" i „Kaczka po pekińsku"), a przegląd najnowszych filmów z Wietnamu to symboliczny powrót do korzeni festiwalu, który 20 lat temu zaczynał jako szansa na spotkanie z kulturą wietnamskiej diaspory w Polsce. W edycji online, która potrwa aż do 6 grudnia, będzie można przypomnieć sobie kilka spośród największych festiwalowych hitów sprzed lat. Wśród nich „13 zabójców" Takashiego Miike oraz uwielbiana przez widzów komedia „Kot do wynajęcia" Naoko Ogigami. JD

Szczegóły: www.piecsmakow.pl

muzyka

Sos chaosu 4/6

Nosowska, **Nigredo**, Kayax



Gdyby słuchacz „Teksańskiego" grupy Hey („Obowiązek obowiązkiem jest/ Piosenka musi posiadać tekst") włączył dziś płytę „Nigredo" wydaną przez tę samą Katarzynę Nosowską na 30-lecie solowej kariery, doznałby szoku. Już na przystawkę dostaje tu bowiem odczyt poezji. Słów jest dużo aż do końca, łatwość ich wypowiadania większa, potwierdzona pewną karierą na rynku książkowym, podkastowym i influencerskim. Gdy je jednak zanalizować, podmiot liryczny okazuje się jeszcze bardziej zagubiony. Muzycznym wyrazem rozdarcia wydaje się zszycie materiału z nagrań czterech różnych producentów: Andrzeja Smolika, Marcina Macuka, Michała „Foxa" Króla i Pawła Krawczyka. „Nigredo" jest jako całość z natury niepoukładane, styl i nastrój rwą się już między pierwszymi dwoma nagraniami. Są zaskoczenia i zachwyty, najdłużej w głowie rezonują fragmenty z centralnej części płyty („Sos chaosu", „Sedno"), parę rozczarowań też się znajdzie, a do płyty przekonuje fakt, że choć producenci ciągną to w swoje strony, autorka wyraźnie próbowała z nich wycisnąć to, co radykalne. Unoszące się nad płytą frazy „Nie będzie dalszych wątków" i „Masz tu dożywocie w piosence" ze „Szkoda braw" nie są więc samospełniającą się przepowiednią. BARTEK CHACIŃSKI

nie przegap



34. ToruńCAMERIMAGE, 7–14 listopada

Gwiazdy i legendy (m.in. Maja Komorowska, Jan Englert i Darren Aronofsky) zostaną uhonorowane na festiwalu sztuki operatorskiej za wybitny wkład w rozwój kina. Obok głośnych międzynarodowych produkcji, takich jak „Czarna kula" czy „Dziki koń dziewięć" z wybitną kreacją Johna Malkovicha, o Złotą Żabę powalczą aż trzy czarno-białe dramaty: „Przez ścianę" Macieja Sobieszczańskiego, „Ojczyzna" Pawła Pawlikowskiego oraz „Ulya" Viestursa Kairišsa, łotewski kandydat do Oscara, do którego zdjęcia zrobił Wojciech Staroń. JW



24. Jazzowa Jesień im. Tomasza Stańko, Bielsko-Biała, 4–8 listopada

W roku, który dla Bielska-Białej jest szczególny, ponieważ miasto pełni właśnie funkcję Polskiej Stolicy Kultury, festiwal, który zainicjował nasz legendarny trębacz Tomasz Stańko, musiał przybrać efektowny kształt. W sali Bielskiego Centrum Kultury możemy się spodziewać różnorodności i jazzowych szaleństw, oczywiście z ważną rolą trąbki (m.in. Norweg Arve Henriksen, Amerykanin Adam O'Farrill oraz pochodząca z Bahrajnu Brytyjka Yazz Ahmed). DSZ



Dyplomatka 4, twórczyni serii: Debora Cahn, Netflix, 8 odc.

Jeśli Netflix szukał następcy zakończonego w niesławie „House of Cards", trafił nieźle. „Dyplomatka", stworzona przez współautorkę sukcesów „Prezydenckiego pokera" i „Homeland", od skomplikowanej intrygi o nieprzejrzystych stosunkach między mocarstwami przesuwa się w stronę opowieści o niestabilności współczesnej władzy i grzechach Ameryki. Nieprzerwanie głównym atutem pozostaje świetna **Keri Russell** jako niepozbawiona wad, ale broniąca zasad ambasadorka Kate Wyler. BCH

eprasa.pl b6a46f48ee



Powodzenia z tą de

Będę szczery: właściwie go wtedy prześladowałem. Groziłem mu: „Musisz mnie w końcu zatrudnić!” – mówi Steve Buscemi o swojej roli w filmie „Dziki koń dziewięć” Martina McDonagha.

ARTUR ZABORSKI: **– W „Dziki koń dziewięć” gra pan MJ-a, szefa CIA, który ma pełne ręce roboty. Z jednej strony zajmuje go wielka polityka: jest rok 1973, opętani walką z komunizmem Amerykanie przygotowują się do obalenia lewicowego prezydenta Chile Salvadora Allende. Z drugiej strony problemem jest, grany przez Johna Malkovicha, agent Chris, który za dużo paple na temat działań organizacji, a do tego ma po swojej stronie, granego przez Sama Rockwella, agenta Lee. Jak się panu grało ich przełożonego?**

eprasa.pl b6a46f48ee



Steve Buscemi (ur. w 1957 r.) – amerykański aktor. Zaczynał jako komik, by później błyszczeć na ekranie w licznych rolach drugoplanowych, występując u braci Coenów (m.in. „Fargo", „Big Lebowski") czy Quentina Tarantino („Wściekłe psy"). Nominowany do Złotego Globu za główną rolę w „Ghost World" (2001 r.), zdobył tę nagrodę w kategorii serialowej – za kreację Enocha Thompsona w „Zakazanym imperium" na platformie HBO. Wcześniej pojawiał się – jako aktor i reżyser – w obsadzie „Rodziny Soprano". Film „Dziki koń dziewięć" w reż. Martina McDonagha wchodzi na polskie ekrany 13 listopada.

mokracją

STEVE BUSCEMI: – Ta postać ma wiele warstw, granie kogoś takiego daje aktorowi mnóstwo możliwości. MJ podsłuchuje swoich podwładnych, próbując wyłowić z ich rozmów przydatne informacje. Ale jest w tym również zazdrość: widzi łączącą agentów więź i czuje, że sam pozostaje na uboczu. To wpływa na sposób, w jaki ich traktuje. Rozpaczliwie próbuje zachować resztki szacunku, którym bohater Sama kiedyś go darzył. Jest ich przełożonym, ale coraz mniej znaczy dla nich jego autorytet. Tymczasem jego zwierzchnicy wywierają na niego presję. W takiej postaci wciąż można odkrywać coś nowego. A to ogromna przyjemność dla aktora.

Duet Malkovich i Rockwell jest na ekranie kapitalny. Czy nie był pan zazdrosny o relację kolegów na planie?

John i Sam darzą się ogromną sympatią i szacunkiem, również dla swojej pracy aktorskiej. Myślę, że w filmie doskonale to widać. Zwłaszcza w scenach samochodowych, które graliśmy wielokrotnie, nieraz po dziesięć minut bez przerwy. Po prostu cieszyli się swoim towarzystwem i ta radość przenika na ekran. Żeby zrozumieć poziom ich zaangażowania w tę produkcję, trzeba powiedzieć, że pojechali aż na Wyspę Wielkanocną, żeby zza kadru grać rozmowy telefoniczne. Jeśli o coś można być zazdrosnym, to chyba tylko o tę pasję do zawodu. Swoją drogą, wie pan, jak bardzo Sam jest skromnym człowiekiem?

Jak się pan o tym przekonał?

Nie tylko ja, ale też cała ekipa. Kiedy kręciliśmy na Wyspie Wielkanocnej, kolejne odcinki „Białego Lotosu" dopiero trafiały do widzów. A Sam nikomu nie powiedział, że w nim występuje! Jednego dnia razem pracujemy, wieczorem wracam do hotelu, włączam najnowszy odcinek, a tam nagle on. Myślę: „Co jest, ku...?!". Następnego ranka spotykam go w charakteryzatorni i mówię: „Nic nam nie powiedziałeś!". A on na to: „Nie chciałem się chwalić. Nie wiedziałem, kto to ogląda".

Co pana przyciągnęło do pracy przy tym filmie?

Przede wszystkim nazwisko Martina McDonagha. Do tego znakomity scenariusz i fascynujący moment historyczny, w którym osadzona jest akcja. Bardzo spodobały mi się też relacje między bohaterami. Choć główne role grają John i Sam, to film oparty na całym zespole aktorskim. Urzekły mnie wszystkie postaci i to, co dzieje się między nimi. No i ta nieprzewidywalność – historia naprawdę potrafi zaskoczyć.

A te zdjęcia na Wyspie Wielkanocnej nie były aby wabikiem? Chyba każdy chciałby tam spędzić kilka tygodni.

Nie do końca był to powód mojego zaangażowania, choć pobyt tam to niesamowite przeżycie. Pojechałem z żoną, która od dziecka marzyła, żeby zobaczyć tę wyspę. Kiedy mi o tym powiedziała, zdziwiłem się: „Naprawdę?". Sam nigdy wcześniej nie myślałem o takiej podróży. Zacząłem jednak czytać o Rapa Nui – tak rdzenni mieszkańcy mówią na Wyspę Wielkanocną – a kiedy już tam dotarłem, całkowicie mnie oczarowała. Zachwycają nie tylko słynne posągi, ale też zwierzęta, ludzie, przyroda, niebo. I harmonia, w jakiej to wszystko ze sobą współistnieje. Jest w tym miejscu coś magicznego, niosącego duchowe przeżycia. Dużą część naszej ekipy stanowili mieszkańcy wyspy, więc mieliśmy okazję ich poznać. Zaprosili nas nawet na piknik w części plaży dostępnej wyłącznie dla miejscowych. Ostatecznie to jeden z najwspanialszych wyjazdów na zdjęcia w mojej karierze.

Podobno wcześniej mieszkańcy nie byli zbyt zadowoleni, że przyjedzie do nich ekipa filmowa.

Tak, ale producenci zadbali o dobre relacje między ekipą a nimi. Zdaje się, że od mniej więcej 30 lat nie kręcono tam filmu (ostatnim międzynarodowym filmem był „Rapa Nui" Kevina Reynoldsa, wyprodukowany przez Kevina Costnera, z premierą w 1994 r. – przyp. red.). Po poprzedniej produkcji pozostał niesmak: mieszkańcy nie byli zadowoleni ani z tego, jak ich potraktowano, ani z tego, jak obchodzono się z wyspą. My staraliśmy się to poczucie zmienić.

Dzięki waszemu filmowi współcześni widzowie mogą dowiedzieć się nie tylko o kolonizacji Wyspy Wielkanocnej, ale też ▶

© BE&W

eprasa.pl b6a46f48ee



Od lewej: **Steve Buscemi (Donny Kerabatsos) i John Goodman (Walter Sobchak) w filmie braci Coen „Big Lebowski", 1998 r.**

▶ o tym, w jaki sposób w zamach stanu w Chile byli uwikłani Amerykanie.

Bohaterowie są fikcyjni, ale historyczne tło już nie. Wiemy, co wydarzyło się w Chile, wiemy o zamachu stanu i o udziale w nim CIA. Wiemy też, że Kennedy został zamordowany, choć teorii na temat tego, kto za tym stał, jest wiele. To wszystko tworzy znakomite tło dla opowieści o relacji między bohaterami. Myślę, że widzowie, którzy nie znają tamtych czasów, mogą się z filmu sporo dowiedzieć. Trzeba tylko pamiętać, że to nie dokument – tę historię wymyślił Martin McDonagh.

W filmie pada zdanie: „Powodzenia z tą demokracją". To komentarz do tamtych czasów czy także do współczesności?

Demokracja jest niezwykle krucha, co niestety nie dociera dostatecznie mocno do wszystkich. Nigdy nie powinniśmy zakładać, że mamy ją raz na zawsze. W filmie zdanie: „Powodzenia z tą demokracją" staje się bardzo zabawną kwestią, ale na pewno nie będzie do śmiechu tym, którzy mają świadomość, jak łatwo można ją stracić, i obserwują to, co dzieje się dziś dookoła nas.

Widz dopiero po jakimś czasie dowiaduje się, =na jakie uzależnienie cierpi pański bohater.

Kiedy bohater Johna Malkovicha zaczyna go wyzywać od uzależnionych, pierwsza reakcja to: „No nie, chyba trochę przesadza". Tyle że nie ma w tym odrobiny przesady. Dla aktora to smakowity kąsek: wiedzieć o swoim bohaterze coś takiego i mieć świadomość, że dopiero za chwilę przyjdzie scena, w której wszystko wyjdzie na jaw.

A co wyróżnia Martina McDonagha na tle innych reżyserów, z którymi pan pracował?

Już podczas lektury scenariusza widać, jak bogatą ma wyobraźnię. A potem człowiek ogląda gotowy film i myśli: „Boże, on wydobył z czegoś tak znakomitego jeszcze więcej!". Przy tym to niezwykle łagodny, serdeczny człowiek. Pamiętam, jak pytano mnie o braci Coenów: „Czy oni są równie szaleni jak ich filmy?". Odpowiadałem: „Nie, to naprawdę mili, spokojni faceci". Z Martinem jest podobnie. Ma bardzo delikatne podejście do aktorów, a jednocześnie wyrazistą wizję. Chociaż dobrze wie, czego chce, nie narzuca nikomu swojej wizji jako tej ostatecznej. Nigdy nie mówi: „Macie to zrobić dokładnie tak, jak chcę". Nie dość, że pozwala nam szukać i próbować różnych rozwiązań, to jeszcze sam włącza się w te poszukiwania.

Jak znaleźliście wspólnie postać osobliwego MJ-a?

W filmie jest mnóstwo humoru, ale dla mnie to przede wszystkim opowieść o tym, co w kinie Martina zawsze było dla mnie najważniejsze: jest o relacjach. Zarówno historia, jak i bohaterowie mają wiele warstw. Sam nie uważałem mojej postaci za osobliwego dziwaka. Widziałem w nim człowieka, który próbuje sobie jakoś poradzić. Spoczywa na nim duża odpowiedzialność. Jest szefem, a nie potrafi zapanować nad podwładnymi. Ma zadanie do wykonania i przełożonych, przed którymi musi się rozliczyć. Owszem, sam też ma kilka niezdrowych nawyków, ale to sposób, w jaki sobie radzi z tym wszystkim.

Film stawia też pytanie, czy powinniśmy sami decydować o tym, kiedy zakończyć swoje życie. Co pan o tym myśli?

Wolałbym jeszcze się nad tym nie zastanawiać. Dobrze byłoby mieć przyjaciela, który pomógłby człowiekowi w takiej chwili. Dobrze byłoby mieć świadomość, że taki ktoś jest. Ale samemu być tym przyjacielem? Szczerze mówiąc, nie wiem, czy potrafiłbym nim być. Chyba nikt z nas tak naprawdę tego nie wie, dopóki przyjaciel nie poprosi go o coś takiego.

„Dziki koń dziewięć" to kolejna pańska fantastyczna kreacja aktorska. Ale co z pańskimi ambicjami reżyserskimi? Mija już 39 lat od „Trees Lounge", pana debiutu reżyserskiego.

To właśnie dzięki reżyserii poznałem Martina. Kilka lat temu przyjechałem do Wenecji z moim filmem „The Listener", pokazywanym poza konkursem. Martin prezentował wtedy „Duchy Inisherin" i mieliśmy okazję spędzić ze sobą trochę czasu. Wciąż mam ochotę reżyserować, ale robię to na tyle rzadko, że za każdym razem czuję się, jakbym uczył się wszystkiego od nowa. Na razie z przyjemnością gram, a jeśli trafi się odpowiedni projekt, znów zajmę się reżyserią.

Jak wyglądało wtedy to wasze spotkanie z Martinem?

Będę szczery: właściwie go wtedy prześladowałem. Groziłem mu: „Musisz mnie w końcu zatrudnić!". Chodziliśmy na imprezy, piliśmy, śmialiśmy się, a ja nie odpuszczałem i namawiałem go, żebyśmy wreszcie coś razem zrobili. Później, po jednym z lotów z Los Angeles, włączyłem telefon i zobaczyłem pilne wiadomości od menedżera. Przestraszyłem się, że coś się stało. Tymczasem czekał na mnie scenariusz Martina. Przeczytałem go jeszcze tego samego wieczoru. Byłem tak podekscytowany, że nie mogłem zasnąć. Perspektywa pracy z Samem i Johnem tylko dopełniała szczęścia. Z Samem znamy się od ponad 30 lat i kilkakrotnie razem graliśmy. Z Johnem spotkaliśmy się przy „Con Air – lot skazańców"; był też jednym z producentów „Ghost World". Nie musiałem się więc długo zastanawiać.

Wracam do lat 90., bo niektórzy aktorzy utyskują, że wtedy pracowali z wieloma twórcami kina autorskiego, a dziś jest już coraz mniej miejsca na takie filmy jak „Dziki koń dziewięć". Żal panu, że Hollywood stawia teraz głównie na wielkie franczyzy?

To chyba przychodzi falami. W latach 60. i 70. studia produkowały filmy podobne do tych, które w latach 90. nazywaliśmy kinem niezależnym. Później kino niezależne poszło własną drogą, aż w końcu zostało wchłonięte przez system i przerobione na coś innego. A ja tymczasem wciąż próbuję załapać się do filmu Marvela.

Naprawdę?

Oczywiście nie wykorzystuję tego wywiadu, żeby się upominać o pracę... *(śmiech)* Wspominaliśmy wcześniej „Biały Lotos". Jego twórca Mike White to dziś przykład autora, który realizuje się nie w kinie, tylko w telewizji. Wspaniałe w jego twórczości jest też to, że – jak w „Białym Lotosie" – potrafi stworzyć opowieść opartą na całym zespole bohaterów. Ma przy tym własny, wyrazisty styl. Na takie historie pojawiła się przestrzeń dopiero wraz z rozwojem telewizji kablowej. HBO od początku robiło to znakomicie. Ich seriale przejęły pałeczkę po dawnych produkcjach studyjnych i kinie niezależnym: dawały nam świetne postaci i opowieści, w których to właśnie bohaterowie są najważniejsi. A takie historie my, aktorzy, najbardziej lubimy grać.

ROZMAWIAŁ ARTUR ZABORSKI

© BE&W

eprasa.pl b6a46f48ee

AKADEMIA
zwierciadła

ZAPRASZA NA WYDARZENIE

wolni od stresu
edycja dziewiąta

Temat: Nasze marzenia i tęsknoty

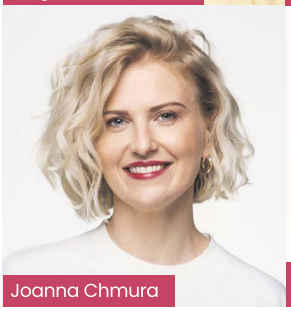

Magdalena Różczka


Małgorzata Górska


Robert Rutkowski


Halszka Witkowska


Alina Adamowicz


Joanna Chmura


prof. dr hab. n. med. i n. o zdr. Wojciech Feleszko


lek. Anna Sankowska-Dobrowolska


dr n. med. Magdalena Cubała-Kucharska


dr n. med. Tadeusz Oleszczuk

ZDJĘCIA: EWA SAWICKA, WERONIKA KOSIŃSKA, JAKUB DOBROWOLSKI, ARCHIWUM PRYWATNE, MATERIAŁY PRASOWE

14.11.2026 | WARSZAWA LUB ONLINE

MULTIKINO ZŁOTE TARASY UL. ZŁOTA 59

Spotkajmy się, żeby porozmawiać o marzeniach, lęku przed nowym, sposobach na długowieczność, dbaniu o zdrowie i budowaniu odporności, pułapkach social mediów, pozytywnym myśleniu, a także o tym, jak radzić sobie z porażkami oraz wspierać osoby w kryzysie.

Szczegółowa agenda dziewiątej edycji „Wolni od stresu" już wkrótce na **www.zwierciadlo.pl/akademia-zwierciadla**

UDZIAŁ STACJONARNY

~~490 zł~~ 290 zł

Najniższa cena z 30 dni = 190 zł

UDZIAŁ ONLINE

~~290 zł~~ 90 zł

Najniższa cena z 30 dni = 90 zł

KUP BILET

Bilety dostępne na **sklep.zwierciadlo.pl**

PARTNERZY:

Kartell Warsaw · Multikino · NORSAN · Probiotyki SANPROBI · TOTALIZATOR SPORTOWY · Właściciel marki LOTTO · VELO BANK

eprasa.pl b6a46f48ee

Mikita Iłynczyk w swoich sztukach dokumentuje nową sytuację: Polska z kraju, z którego się wyjeżdżało, staje się krajem, do którego się przyjeżdża, a także wraca. Kolejna z nich to sequel „Emigrantów” Sławomira Mrożka.

Zasłużyć na kraj



Adam Nawojczyk i Michał Majnicz podczas sesji do spektaklu „E:/migranci”

© HABRYN & WAWRZOLA, MACIEJ ZAKRZEWSKI, NATALIA KABANOW

eprasa.pl b6a46f48ee



„Pigmalion": Wasyl (Alan Al-Murtatha) i Kalina (Aleksandra Samelczak)

ANETA KYZIOŁ

Sztuka Mrożka powstała w 1974 r., jej bohaterowie, inteligent AA i chłoporobotnik XX, polscy emigranci, odpowiednio polityczny i zarobkowy, zamieszkują razem suterenę gdzieś na Zachodzie, kłócą się, godzą, wspominają ojczyznę i wegetują, z dojmującym poczuciem obcości, zarówno wobec nowego kraju, jak i starego. W Polsce doczekała się kilkudziesięciu wystawień, z których najgłośniejsze były dwa: Andrzeja Wajdy z krakowskiego Starego Teatru z 1976 r., z Jerzym Stuhrem i Jerzym Bińczyckim, oraz Kazimierza Kutza z Teatru Telewizji z 1995 r., z Markiem Kondratem i ze Zbigniewem Zamachowskim. Ale wymowa jest uniwersalna i po sztukę sięgają teatry wszędzie tam, gdzie ludzie masowo emigrują za chlebem i wolnością.

W wersji Mikity Ilynczyka „Emigranci" stają się „E:/migrantami", bohaterów nie dzieli już pochodzenie społeczne, no i nie wyjeżdżają z Polski, tylko do niej przyjeżdżają jako współcześni repatrianci szukający tu azylu. – *To jest taki mrożkowski sequel, którego ani on, ani nikt inny nie oczekiwał, ale on nastąpił* – śmieje się dramatopisarz i reżyser, w ubiegłym roku nominowany do Paszportu POLITYKI, który tę sztukę napisał dla krakowskiego Starego Teatru i tam ją wystawia; premiera 6 listopada. Z „Emigrantów" wziął strukturę i konwencję teatru absurdu czy może raczej gorzkiej komedii, które przetworzył we współczesnym duchu.

GG jest aktorem z Grodna, ma polskie korzenie, opuścił Białoruś z powodu represji politycznych, „zawodowo widzi siebie wyłącznie w środowisku twórczym i kreatywnym". DD to z kolei wnuk polskiego emigranta z Chicago, robił karierę w Dolinie Krzemowej, a teraz w kraju przodków szuka ucieczki „przed odpowiedzialnością i poczuciem winy za algorytmiczne niszczenie świata". Wspólnie zajmują kapsułę adaptacyjną, uczą się do testów na polskość, wychodzą do kolejnych prac, dziękują za szansę życia w dostatnim i spokojnym kraju oraz próbują odgadnąć, jakiej asymilacji od nich oczekuje.

Swoją sztukę Mikita Ilynczyk nazywa dramaturgią przesiedleńczą. Tworząc „E:/migrantów", wykorzystał i własne doświadczenia, m.in. z nauki do egzaminu na Kartę Polaka. Urodzony w 1995 r. w Nowogródku białoruski Polak do Polski przyjechał w 2022 r., po pełnoskalowej rosyjskiej napaści na Ukrainę. Jako dramatopisarz zaczął od opisu stanu mentalnego emigranta z Europy Wschodniej w Zachodniej, a z autorem „Emigrantów" łączy go też nieoczywiste poczucie humoru.

Główny bohater jego „F***cking in Brussels" odrzucenie ze strony Zachodu próbuje sobie rekompensować upokarzaniem pracowników europarlamentu podczas spotkań BDSM. Ustalone hasło bezpieczeństwa, które świadomie ignoruje, brzmi: „Wolność, równość, braterstwo". To jednak nie wyrównuje rachunków.

Drogę na polskie sceny utorowała Ilynczykowi wygrana w organizowanym przez bydgoski Teatr Polski konkursie Aurora. Nagroda Dramaturgiczna Miasta Bydgoszczy. Zwyciężał dwukrotnie, w 2021 r. sztuką „Dark Room", a potem w 2024 r. dramatem „2049: Witaj, Abdo".

Punktem wyjścia tego drugiego utworu były znalezione przez autora na granicy polsko-białoruskiej dokumenty i rzeczy zmarłego tam Kurda uciekającego z Iraku. Sztuka miała już wszystkie cechy teatru Ilynczyka: ostre spojrzenie na rzeczywistość i konwencję łączącą fakty, political fiction i satyrę. Akcja dzieje się w 2049 r., Unia Europejska upadła, jej miejsce zajęła Unia Euro-Islamska, a rządząca kalifatami Partia Fem-Jihad tworzy Euro-Islamski Instytut Ludobójstwa i przeprowadza procesy odpowiedzialnych za kryzys humanitarny na granicach UE z lat 20. XXI w. Pod sąd trafiają właścicielka biura podróży z Mińska, organizującego migrantom ▶

Spektakl „2049: Witaj, Abdo", w środku: **aktywistka Anna (Dominika Ostałowska) i prokuratorki (Zuzanna Galewicz** z lewej**, Małgorzata Gorol** z prawej**)**



eprasa.pl b6a46f48ee



„F*king Brussels": imigrant Maksym (Michał Surówka) i jego klient (Mirosław Guzowski,** z tyłu)

„wycieczki" na granicę, niemiecka aktywistka i polski strażnik graniczny. „Tekst jest prowokacją, dialogiem z »Uległością« Houellebecqa, ale też jest formą autokrytyki i autoanalizy" – tłumaczył autor dwa lata temu w POLITYCE.

O sztuce zrobiło się głośno po tym, jak w ubiegłym roku w warszawskim Teatrze Studio wystawił ją Piotr Pacześniak, a prawicowi politycy i publicyści wykorzystali spektakl przed wyborami do ataku na nadzorującego stołeczne teatry prezydenta Trzaskowskiego z paragrafu „antypolska sztuka za polskie pieniądze".

Sam Iłynczyk w tym czasie wystawił w poznańskim Teatrze Polskim scenariusz teatralny napisany wspólnie z Andrzejem Błażewiczem, inspirowany komediowym „Pigmalionem" George'a Bernarda Shawa oraz wzbierającymi nastrojami antyimigranckimi. Akcja dzieje się w nieodległej przyszłości, w Polsce trwają łapanki i wywózki migrantów, bohaterka, żeby przetrwać, musi się pozbyć wschodniego akcentu. Ma jej w tym pomóc poznańska lewicowa rodzina z klasy średniej, jednak szybko się okazuje, że lewicowość ma swoje granice.

Sezon Iłynczyk zamknął premierą „Un-packing", tekstem znów osadzonym w nieodległej przyszłości i inspirowanym reportażową książką „Kamienie musiały polecieć: wymazywana przeszłość Podlasia" Anety Prymaki-Oniszk, wyreżyserowanym przez Katarzynę Kalwat (Teatr Dramatyczny w Warszawie i Wrocławski Teatr Współczesny).

Konwencji political fiction Iłynczyk użył także w swoim odczytaniu „Lalki" Bolesława Prusa. Grany w warszawskim Teatrze Dramatycznym spektakl zaczyna się osobistym akcentem: od babci reżysera, którą wybuch drugiej wojny światowej wypchnął z Polski do ZSRR, rodzina doświadczyła zsyłek i represji, ale wydanie „Lalki" z 1897 r. przechowało się do dziś.

Dalsza część akcji dzieje się w przyszłości, w której Polska, tak jak w czasach Prusa, znów jest w rosyjskiej strefie wpływów: elity ubijają z zaborcą interesy, Wokulski (Marcin Bosak) jest pozbawionym złudzeń co do natury ludzi i świata pośrednikiem, a Izabela Łęcka (Marta Ojrzyńska), która zaczyna spektakl ubrana współcześnie, a kończy w XIX-wiecznej sukni, próbuje ocalić resztki sprawczości w tej nowej-starej rzeczywistości, w której kobiety znów sprowadzone są do roli towaru, żony i matki.

Swoje przywiązanie do rzadko wykorzystywanej przez teatr konwencji political fiction Iłynczyk tłumaczy dorastaniem w Białorusi: – *Białoruś jest państwem z wizji political fiction, niczym spełniona dystopia. Jak się wychowujesz w takiej rzeczywistości, to nieustannie tworzysz w głowie kolejne plany i strategie przetrwania, niezły trening twórczy.*

Iłynczyk ma świadomość, że wielu artystom migrantom nie starcza sił ani środków, żeby dać w sztuce swoje świadectwo, bo są zajęci walką o przetrwanie. Dlatego czuje odpowiedzialność, by opowiedzieć ten moment, w którym w Polsce nagle się znalazły 2 mln nowych mieszkańców. – *Część mnie chciałaby odejść od tematów migracyjnych, pisać o różnych rzeczach, ale po pierwsze, one ciągle do mnie wracają, a po drugie, uważam, że teatr najszybciej ze wszystkich sztuk reaguje na zmiany w społeczeństwie i ważne dla mnie jest, by w mojej twórczości te zmiany uchwycić* – tłumaczy.

Dramaturg szuka różnych tonów dla kolejnych teatralnych odcinków tej przesiedleńczej historii. I tak „E:/migranci" mają być swoistą odą do nowej Polski. – *To jest sztuka o tym, że aby dostać się do kraju dobrobytu, trzeba zasłużyć i trzeba być wdzięcznym, a wszystko to w klimacie mrożkowskim, teatru absurdu. Zadaję, także sobie, pytanie, jak ma wyglądać ta wdzięczność imigrantów, bo dużo się o niej mówi, ale bez konkretów, nie ma przepisu. Sam jako repatriant jestem bardzo wdzięczny Polsce za przyjęcie, ale jak mam to okazać w satysfakcjonujący Polaków sposób?*

Bohaterowie sztuki, GG i DD, podczas procesu adaptacyjnego obierają różne, ale równie ekstremalne i zaskakujące strategie asymilacji. – *Nie zdradzając szczegółów, powiem tylko, że wykręcamy na wszystkie strony pojęcie ofiarności, a po pierwszym przeczytaniu sztuki na próbie zapadła długa cisza* – mówi autor i reżyser.

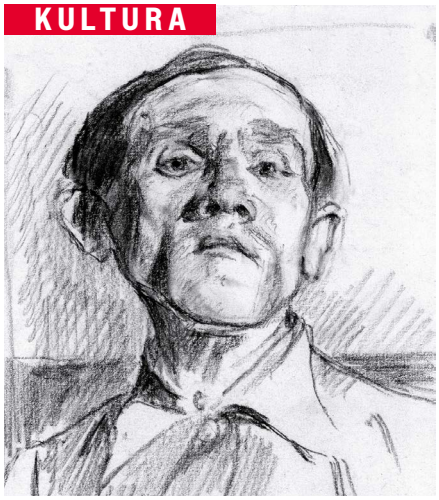
W DD i GG wcielają się Adam Nawojczyk i Michał Majnicz, a towarzyszą im Anna Paruszyńska-Czacka i głos z offu Jacka Romanowskiego. Choć Iłynczyk w Starym Teatrze reżyseruje po raz pierwszy, szybko na jaw wyszły nieoczywiste powiązania. Nawojczyka poznał, co prawda tylko zaocznie, jeszcze jako student teatrologii w słynnym moskiewskim GITIS-ie (potem studiował tam też reżyserię), gdzie dostał zadanie napisania recenzji z „(A)pollonii" w reż. Krzysztofa Warlikowskiego, w której aktor brawurowo wcielał się w Apolla. A że reżyserię w GITIS-ie studiował także Jerzy Jarocki, legenda Starego Teatru, Mikita na czas prób dostał ksywę Jerzy.

„E:/migrantów" pisał z poczuciem, że musi dać aktorom przyjemność w tworzeniu i graniu postaci. – *Czułem odpowiedzialność dramaturgiczną, żeby koncept nie dominował nad bohaterami, chciałem, by ta sztuka była prezentem dla aktorów. To też à propos tematu okazywania wdzięczności* – śmieje się Mikita „Jerzy" Iłynczyk przed premierą sztuki. Mrożek by docenił ironię.

ANETA KYZIOŁ

© NATALIA KABANOW

eprasa.pl b6a46f48ee



Czyj jest Schulz?

Bruno Schulz wraca w dwóch wydanych w Polsce biograficznych książkach, a także w nowej powieści Olgi Tokarczuk, z motywem zaginionego „Mesjasza". Świat nie przestaje szukać tej powieści i rośnie fascynacja jej autorem.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

Świata jest za dużo, a Schulza ciągle za mało. Dwie niewielkie książki – „Sklepy cynamonowe" i „Sanatorium pod Klepsydrą" – oraz jego rysunki nadal hipnotyzują, ciągle przybywa czytelników i interpretatorów oraz dopisanych wersji dalszego losu pisarza. W powieści Olgi Tokarczuk „Świata jest za dużo" Schulz jako „autor maszynopisu" doczekał się nawet Nagrody Nobla. Alternatywny los Schulza tworzył też David Grosman w powieści „Patrz pod: Miłość" czy Cynthia Ozick w „Mesjaszu ze Sztokholmu", pod jego wpływem byli Philip Roth, Nicole Krauss, Jonathan Safran Foer i wielu innych. Benjamin Balint we właśnie wydanej książce „Bruno Schulz. O artyście, jego zabójcy i uprowadzeniu historii" (przeł. Michał Lipa, Wydawnictwo Agora) pokazuje jeszcze inny aspekt siły oddziaływania Schulza – spór międzynarodowy o to, do kogo należy ten pisarz i jego spuścizna.

Punktem wyjścia jest kradzież fresków Schulza, odnalezionych w Drohobyczu w 2001 r. Zostały wywiezione bezprawnie do Instytutu Jad Waszem tuż po ich odkryciu w spiżarni dawnej willi Landaua, hitlerowskiego protektora pisarza. Miał udekorować ściany pokoju dziecięcego baśniowymi scenami: są powozy i Królewna Śnieżka, ale twarze nie są baśniowe – znajdziemy tu autoportret Schulza, jego ojca i wychudzonych towarzyszy niedoli z getta, autor przeniósł ich na mury w baśniowy świat i otoczył królewskim przepychem.

Balint opisuje szczegóły „Operacji Schulz". Kiedy odkrywca fresków Benjamin Geissler rozmawiał w Jad Waszem o planowanej renowacji, nie miał pojęcia, że w tym samym momencie trzech specjalistów już było w spiżarni w Drohobyczu ▶



Bruno Schulz w Drohobyczu, 1935 r.
Powyżej: **na autoportrecie z 1933 r.**

© MUZEUM LITERATURY W WARSZAWIE/EAST NEWS, FOTONOVA

eprasa.pl b6a46f48ee

▶ i zdejmowało ze ściany freski – niezgodnie z prawem ukraińskim, polskim i międzynarodowym. Książka Balinta uświadamia nam, że istnieje międzynarodowy spór o tożsamość Schulza – skoro urodził się w nieistniejących Austro-Węgrzech, żył w miasteczku dziś należącym do Ukrainy, a przede wszystkim był Żydem, to czyj on właściwie jest?

Dla nas najważniejsza zawsze była przynależność Brunona Schulza do polszczyzny. To, że zmienił nasz język i literaturę. Jak pisał Miłosz: „najbardziej wyrazistą cechą Schulza jako pisarza jest jego zażyłość z językiem polskim". Nikt tak wcześniej nie pisał, a po Schulzu nic nie było już takie samo. Cień pisarza kroczy zatem przez polską literaturę, nawet gdy jego nazwisko nigdzie nie pada.

Skąd ta siła dwu cienkich książek? I dlaczego jego sława rośnie? Symbolicznie i proroczo brzmią słowa Racheli Auerbach, która w 1938 r. napisała do Schulza: „Jestem silnie przeświadczona o tym, że Pańskie rzeczy stać się mogą rewelacją na miarę światową, a skoro Pan nie pisze po żydowsku i nie należy do środowiska, z którego Pan wyrósł, to niechże Pan przynajmniej należy do... świata".

I rzeczywiście tak się stało – Schulz rozprzestrzenił się, stał się własnością czytelników, gdziekolwiek są i w jakimkolwiek języku go czytają. Stanisław Rosiek zastanawia się w zbiorze „Odcięcie. Szkice wokół Brunona Schulza" nad przyczynami jego rosnącej popularności. Jedną z nich jest tajemnica utraconej twórczości, która sprawia, że wszyscy czekamy ciągle na cudowne odnalezienie nie tylko „Mesjasza", ale też listów, ilustracji, kolejnych wersji „Xięgi Bałwochwalczej", kolejnych świadectw. Interpretacje są niepełne, ciągle powstają nowe, nie da się zamknąć tej twórczości na klucz i wyczerpać. I dlatego żyje. Zwłaszcza że ciągle pojawia się coś nowego: w 2019 r. Łesia Chomycz, badaczka z Drohobycza, odnalazła nieznane opowiadanie Schulza „Undula" z 1922 r., opublikowane pod pseudonimem w czasopiśmie „Świt", organie urzędników naftowych w Borysławiu. Albo nieznany list i aforyzm o książce, który został odnaleziony w 2002 r. Były przecież też fałszywe alarmy o odnalezionym „Mesjaszu": w 1987 r. do Jerzego Ficowskiego zadzwonił Alex Schulz, ponoć nieślubny syn brata Brunona, do którego odezwał się ktoś ze Lwowa, kto chciał rzekomo sprzedać manuskrypt „Mesjasza" i osiem rysunków Schulza. Alex zmarł i nie pozostawił żadnych informacji o tajemniczym kupcu.

Dwa lata później szwedzki ambasador w Polsce przekazał Ficowskiemu, że w jednym z archiwów KGB znajduje się pakiet z rękopisami Schulza i właśnie „Mesjaszem". Ambasador zmarł, zanim zdążył przekazać dalsze informacje. Benjamin Balint też przeszukiwał archiwa z pomocą zaprzyjaźnionych badaczy w Moskwie, dokąd trafiły papiery, najpierw skonfiskowane przez Niemców, potem przez Rosjan. Może gdzieś tam leży „Mesjasz". Ale jak go znaleźć?

Schulz przekazał komuś spoza getta nieukończony tekst powieści na przechowanie, ale ślad się urwał. Zostało tylko pierwsze zdanie, zapamiętane przez Artura Sandauera (choć badacze podają i to w wątpliwość): „Wiesz – powiedziała mi rano matka. – Przyszedł Mesjasz. Jest już w Samborze". Puste miejsce zarosło oczekiwaniami. Ten nieistniejący utwór literacki działa tak, że czytelnicy tworzą go sami, jakby Schulz wyreżyserował oczekiwanie. Opisał to wcześniej w opowiadaniu „Księga", w której okazuje się, że być może jej w ogóle nie ma, że jest mitem. „Miałem już wówczas inne przekonanie, wiedziałem, że Księga jest postulatem, że jest zadaniem". Czytelnicy ją tworzą, czytelnicy są tym oczekiwaniem na mesjasza.

W 2018 r. Olga Tokarczuk zaprosiła dziesięcioro innych pisarzy do napisania opowiadań inspirowanych tym pierwszym zdaniem „Mesjasza" i odczytania ich w Drohobyczu. Takie są też być może źródła obecności „autora maszynopisu" w jej nowej powieści. A Jakub Frank z „Ksiąg Jakubowych" był kimś w rodzaju fałszywego mesjasza. Widać więc, jak bardzo ważna jest dla tej pisarki inspiracja schulzowska. I jak działa ta fascynacja, która nie pozwala wyjść ze świata Schulza.

Siłą twórczości autora „Sklepów cynamonowych" pozostaje to, że jest w ciągłym ruchu, jak opis twarzy ojca: „Lineatura jego zmarszczek rozwijała się i zawijała z wyrafinowaną chytrością. W każdej spirali ukryty był pocisk ironii. Ale czasami inspiracja rozszerzała kręgi jego zmarszczek, które rosły jakąś ogromną wirującą grozą, uchodząc w milczących wolutach w głąb nocy zimowej". Nawet twarz w tym świecie kryje gotowość do wybuchu. Albo takie słowo jak pocisk: „ażiotaż" – zgrzyta jak stary tramwaj na zakręcie. Wszystko jest w stanie niepokoju i zaburzenia.

Życie słów u Schulza okazuje się równie fascynujące jak życie materii. Można go czytać, podążając tropem słów, które wybiły się na wolność i tańczą przed naszymi oczami. Pojawiają się odnogi czasu, atrapy rozpadają się, kukły bytują na pograniczu istnienia. Kiedy dochodzimy do ostatniej części „Sanatorium pod Klepsydrą", zostajemy z żalem, że to już koniec. Może dlatego tak wielu twórców zaczyna pisać ciąg dalszy, przy czym pisanie Schulzem okazuje się pułapką.

Schulz uwodzi, a czasem zatruwa. Jak pisze Rosiek: „Wzbudza zachwyt, który przeradza się niekiedy w pewien rodzaj zniewolenia". Dzieje się tak dlatego, że jego twórczość powstała na marginesie listów do konkretnych adresatów i ma w sobie tę intymność rozmowy. Czujemy, że mówi właśnie do nas, że zostaliśmy wybrani. „Schulz umiejętnie stosuje strategie uwodziciela, którego sukces polega na skutecznym utrzymywaniu u wszystkich uwodzonych przeświadczenia, że każdy z nich jest wyjątkowy czy nawet jedyny".

Cała schulzologia, począwszy od „Regionów wielkiej herezji" Jerzego Ficowskiego czy interpretacji Władysława Panasa, narodziła się z zachwytu i intymnej lektury. Była też próbą przywracania obecności, która miała zostać wymazana. W ZSRR dawny Drohobycz miał przestać istnieć, buldożery zrównały z ziemią żydowski cmentarz, przeszłość została odcięta. W Polsce Schulz po wojnie zaczął wracać dzięki wysiłkom Ficowskiego, ale jego twórczość nie mieściła się w ramach socrealizmu, dopiero w 1967 r. pokazano po raz pierwszy jego rysunki, w 1973 r. powstał film Hasa „Sanatorium pod Klepsydrą", a w latach 70. zaczęły się konferencje i badania. Sam Drohobycz zaczął sobie przypominać o Schulzu dopiero w latach 90.

W latach 60. Schulz poszedł w świat – w 1963 r. pojawił się przekład angielski. Philip Roth dowiedział się o Schulzu od Polki Joanny Clark, a Arthurowi Millerowi opowiedział o nim już w latach 50. Karol Kuryluk, którego tłumaczką była wtedy córka Ewa Kuryluk. W ten sposób Schulz przedostał się do Ameryki i zawładnął wyobraźnią wielu pisarzy.

Te wszystkie ścieżki wędrówek, znikania i pojawiania się śledzi Benjamin Balint, którego książka jest nie tylko śledztwem, lecz przede wszystkim subtelnym portretem Schulza i jego nieskończonych odbić. Balint przypomina też, że wszystko,

eprasa.pl b6a46f48ee



© ŻIH

Autoportret twórcy z 1919 r.

co wiemy, to są strzępy zasłyszane, zapośredniczone – choćby scena jego śmierci ma aż pięć wersji, kto go zabił i jak to wyglądało.

To właśnie ta śmierć, jak zauważyła Ewa Kuryluk, ustanowiła w dużej mierze recepcję tego pisarza. I ta scena śmierci, wielokrotnie i często kiczowato odtwarzana, stała się jednym z wehikułów popularności Schulza. Jego twórczość była uwikłana w biografię, ale w sposób bardzo zamaskowany. „Skrytość Schulza nie ma sobie równej, gdy sięga on po pióro literata" – pisze Rosiek. A jednocześnie tragiczna śmierć – zastrzelenie najprawdopodobniej przez Niemca z zemsty za to, że Landau protektor zabił innego Żyda – narzuciła kanoniczną wizję jego postaci.

Schulz utknął we własnej legendzie, był opisywany jako „Wielki Bruno" albo „skromny nauczyciel z Drohobycza", wreszcie jako „ofiara Holokaustu". A napisanie jego biografii jest właściwie niemożliwe, bo tak wiele jest luk w tym życiu. I z tego założenia wychodzi publikacja „Schulz dzień po dniu", której pierwszy tom „Narodziny pisarza. Rekonstrukcja biografii" (Słowo obraz/terytoria) dostaliśmy. Obejmuje on nie początek życia, lecz właśnie lata 1933–34, kiedy ukazują się „Sklepy cynamonowe" i Schulz zaczyna funkcjonować jako pisarz. Autorzy tomu to badacze z Pracowni Schulzowskiej Uniwersytetu Gdańskiego, tworzący od 2017 r. na stronie schulzforum.pl „Kalendarz życia, twórczości i recepcji Brunona Schulza".

Ich książka jest czymś innym niż projekt internetowy, to fascynujący wgląd w ten intensywny czas jego życia, kiedy staje się postacią publiczną po swoim głośnym debiucie. Dostajemy zbiór zbliżeń na konkretne momenty życia, scen, które wyłaniają się z dokumentów i świadectw. Zamiast całości widzimy fragmenty – i to jest nowy sposób patrzenia i myślenia o biografii opowiadanej w sposób punktowy. Chodzi również o poszukiwanie związków między wydarzeniami. Śledzimy choćby przyjazd „mesjasza", czyli cadyka cudotwórcy, do Drohobycza, jesteśmy świadkami choroby pęcherza, która zatruwa pisarzowi lato. Przyglądamy się też jego relacjom z Józefiną Szelińską, z Zofią Nałkowską, relacji z siostrą i jej rodziną, z którymi mieszkał na Floriańskiej w Drohobyczu, z Witkacym i Gombrowiczem. Widzimy, jak Witkacy czytał „Sklepy cynamonowe" w nocy z 28 lutego na 1 marca i jak doznał wstrząsu metafizycznego, którego w ogóle się nie spodziewał, bo nie wierzył w polską prozę. Tymczasem ta książka spowodowała, że kiedy wyszedł na spacer, ogarnął go „jakiś szatański opar, pochodzący z ulatniających się tam osadów cynamonowych nagromadzonych podczas nocy". Uświadomił sobie, że proza Schulza powoduje formalne wstrząsy, działa jak Czysta Forma. Czuł się odurzony „narkotykiem schulzowskiego cynamonu" i była to w tym czasie jedyna używka, jaką stosował. Pisarz go uwiódł, upoił, jak wielu czytelników po nim.

„Pierwotnie słowo było majaczeniem, krążącym dookoła sensu światła, było wielką uniwersalną całością – pisał Schulz w „Mityzacji rzeczywistości". – Słowo w potocznym dzisiejszym znaczeniu jest już tylko fragmentem, rudymentem jakiejś dawnej wszechobejmującej mitologii. Dlatego jest w nim dążność do odrastania, do regeneracji, do uzupełniania w pełny sens. Życie słowa polega na tym, że napina się ono, pręży do tysięcy połączeń, jak poćwiartowane ciało węża z legendy, którego kawałki szukają się wzajemnie w ciemności".

Schulz wprowadza nas w tę gęstwinę przedsłowną, skąd one wychodzą, wypuszcza w stronę „praojczyzny słownej", i to jest jedna z przyczyn tego porażenia, którego doznaje wielu czytelników. A czyj jest w pierwszej kolejności? Balint ostrzega przed narodowym wydzieraniem sobie Schulza, zawłaszczaniem gubiącym sens tej literatury, której ojczyzną jest wszystko, co ją tworzyło, i przede wszystkim stworzona przez niego republika marzeń. Niechże Schulz nas odurza bez końca.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

eprasa.pl b6a46f48ee

Wyścigowy Kimi





20-letni Włoch Andrea Antonelli został mistrzem świata Formuły 1. Gdy przed dwoma laty mianowano go oficjalnym kierowcą Mercedesa, wciąż nie miał prawa jazdy.

MARCIN PIĄTEK

Gdyby nie służbowy kombinezon niepozostawiający wątpliwości, że mamy do czynienia z kierowcą bolidu F1, można by uznać, że w padoku zaplątał się przez przypadek. Drobna postura, burza czarnych loków okalająca twarz dziecka i skłonność do bardzo stosownych do wieku wygłupów oraz żartów, czyli strzelania do swoich „ofiar" z pistoletów na wodę albo rozsmarowywania im tortu na twarzy z okazji urodzin.

Od pierwszego imienia – Andrea – woli drugie: Kimi. Wybrał mu je stryj, ponoć bez odniesień do fińskiego kierowcy F1, mistrza świata Kimiego Raikkonena. Ten dzisiejszy Kimi, jeśli chodzi o idoli, jest zresztą staromodny. Od ojca, który też próbował swoich sił w motosporcie, a nawet miał swój team, przejął słabość do Brazylijczyka Ayrtona Senny, trzykrotnego mistrza świata, jednej z największych legend F1 i zarazem jednej z jej najtragiczniejszych postaci. Senna zginął w 1994 r. na torze Imola po tym, jak w jego Williamsie pękła kolumna kierownicza i zamiast skręcić, z prędkością ok. 200 km/godz. uderzył w ścianę.

Kimi w sierpniu skończył 20 lat. Czyli jak na standardy F1 to jeszcze dzieciak. Jego dryg do ścigania się najlepiej było widać podczas tegorocznego wyścigu o Grand Prix Włoch na torze Monza. Na linii startu bolid Kimiego został przesunięty na 19. miejsce, na koniec stawki, bo zgodnie z regulaminem taka jest konsekwencja zamontowania przed wyścigiem nowego silnika. Na mecie był pierwszy. Tylko jeden kierowca w historii

eprasa.pl b6a46f48ee



13-letni Kimi z pucharem po juniorskich zawodach kartingowych we Włoszech. I jako 15-latek podczas Mistrzostw Europy w kartingu we Francji.



F1 dokonał większego skoku – w 1983 r. Brytyjczyk John Watson wygrał wyścig w Long Beach, startując z 22. miejsca. Obecni na trybunach rodacy Antonellego oszaleli z euforii; na zwycięstwo włoskiego kierowcy na swoim torze czekali sześć dekad. Kimi już na 18. okrążeniu był na czele stawki, jednak cztery kółka przed metą, walcząc ze swoim kolegą z teamu George'em Russellem, wypadł z toru i stracił prowadzenie. Ale zdołał jeszcze dogonić Anglika i wygrać.

Ojcem sukcesu Kimiego jest Toto Wolff, szef zespołu Mercedesa. Austriak, ale tylko z urodzenia, bo jego ojcem był Rumun, a matką Polka, która pod koniec lat 60. wraz z rodzicami uciekła z komunistycznej ojczyzny do Wiednia. Wolff mówi w sześciu językach, w tym również po polsku, kiedyś nawet przez parę miesięcy pracował w Warszawie. W biznesie przeszedł karierę od zera do milionera. Pod koniec lat 90., nie mając własnego kapitału, został pośrednikiem w pozyskiwaniu inwestycji dla raczkującego wówczas dopiero biznesu internetowego. Następnie sam zostawał udziałowcem ówczesnych start-upów, sprzedawał je z gigantyczną przebitką i w ciągu kilku lat dorobił się majątku dającego przepustkę do bycia poważnym graczem w światku F1.

Własne niespełnienie jako kierowcy wyścigowego Wolff zamienił w olbrzymi sukces w roli współwłaściciela teamu Mercedesa (struktura udziałów podzielona jest w równych częściach między Wolffa, Mercedesa oraz brytyjski koncern chemiczny Ineos), wycenianego obecnie na mniej więcej 6 mld dol. Z Wolffem za menedżerską kierownicą Mercedes stał się najbardziej utytułowanym teamem ostatnich lat, zdobył siedem kolejnych tytułów w latach 2014–20. W sześciu tych przypadkach mistrzem był Lewis Hamilton, który zresztą wciąż, mając 42 lata, ściga się w F1, w tym sezonie w czerwonych barwach Ferrari. Gdy przed dwoma laty Hamilton ogłosił, że odchodzi z Mercedesa, światek F1 z zaciekawieniem wyczekiwał, kogo Wolff ogłosi następcą słynnego Brytyjczyka. Nie trzeba było szukać daleko; nowym kierowcą Mercedesa został jego wychowanek, 18-letni Andrea.

W chwili, gdy Wolff to oznajmiał, Kimi nie miał jeszcze prawa jazdy. Ironicznym komentarzom nie było końca. Wypominano, że gdy dzieciak dostał szansę przymiarki do poważnego ścigania podczas testów przed Grand Prix Włoch w 2024 r., wytrzymał na torze 10 minut, po czym wypadł z zakrętu, uderzył w barierę z opon i poważnie uszkodził bolid. Formuła 1 kipi od wielkich ambicji, rozbuchanych ego i bezkompromisowej rywalizacji, jest pisana rzeczywistymi i domniemanymi historiami o szpiegostwie, zdradach oraz niesnaskach między największymi graczami. Chęć wbicia szpili szefowi Mercedesa zdawała się jednak brać górę nad trzeźwą oceną sytuacji, która mówiła, że Wolff zjadł już na ściganiu się w F1 zęby, zwycięstwa na wyścigowych torach zaś to dla niego zbyt poważna sprawa, a w grę wchodzą zbyt duże pieniądze, by pozwolił sobie na personalny eksperyment.

Na torze Monza sceptycy widzieli młokosa, którego poniosła ułańska fantazja, ale Wolff analizował statystyki okrążeń, pokazujące czarno na białym, że Kimi wykręcał w poszczególnych sektorach toru prędkości wyraźnie wyższe od swoich rywali, w tym byłych mistrzów świata, co Wolff kwitował twierdzeniem, że jedyny problem, jaki mają z Kimim, to skłonić go, by nieco zwolnił.

Miniony sezon zdawał się jednak potwierdzać opinie tych, którzy uważali, że poważne ściganie w gronie otrzaskanych w boju od lat rywali to dla młodego Włocha za wysokie progi. Miewał przebłyski, ale środkowa część sezonu, odbywająca się na europejskich torach, była dla niego twardą szkołą. Zdarzały mu się błędy oraz stłuczki na torze, oznaczające również koniec wyścigu dla rywali, no i słabe kwalifikacje, po których wysłany przed kamery przecierał załzawione oczy i mówił, że zgubił pewność siebie, nie czuje bolidu i musi znaleźć światełko w tunelu. A z tonu, w jakim wówczas rozmawiali z nim dziennikarze, biła troska, czy dzieciak nie za bardzo weźmie sobie do serca to, że znowu coś mu na torze nie wyszło.

Przyszłych kierowców F1 wypatruje się – niezmiennie od lat – na gokartowych torach. Mały Kimi też przeszedł ten szczebel wyścigowej edukacji i wszyscy łowcy talentów widzieli, że jest piekielnie szybki, świetnie radzi sobie w deszczu i ma to coś, co można określić jako instynkt, czyli wyczucie, ile można wycisnąć z maszyny przy jednoczesnej dbałości, by pozostała w jednym kawałku i nie wypadła z toru.

Ale żeby ładować miliony w 10-latka? W końcu poważne ściganie w gokartach może oznaczać roczny wydatek rzędu 200 tys. euro. Łowcy talentów Ferrari – wydającego się dla włoskiego cudownego dziecka naturalnym kierunkiem i popadającego w coraz większe kompleksy wobec rywali – uznali, że Kimi, owszem, rokuje, w sam raz na tyle, by w dalszym ciągu mu się przyglądać. I stracili swoją szansę, bo Wolff kazał podpisać z rodzicami Kimiego umowę, która z jednej strony musiała napawać ich dumą, ▶

© SAM BLOXHAM FOR MERCEDES-BENZ GRAND PRIX LTD., BRADLEY COLLYER/AP/EAST NEWS, ALAMY/BE&W (2)

eprasa.pl b6a46f48ee

▶ lecz z drugiej oznaczała, że ich syn od tej pory wkracza do świata ogarniętych obsesją na punkcie zwycięstw dorosłych i staje się inwestycją. Że dostanie wszystko, co ma przysłużyć się temu, by się rozwinął – łącznie z dietetykiem, trenerem od przygotowania fizycznego i psychologiem – ale inwestycja to inwestycja, robi się ją z myślą o tym, by na niej zarobić.

Dziś ocenia się, że motoryzacyjna edukacja Kimiego pochłonęła jakieś 15 mln euro, a na wydatki składało się nie tylko doskonalenie wyścigowe w sensie ścisłym (ponoć rocznie pokonywał w trakcie sesji treningowych tyle samo kilometrów, co Lewis Hamilton), ale też opłacanie mu obecności na torze, w garażu i w niezbędnych zakamarkach światka F1 w ciągu wyścigowych weekendów, jeśli tylko nie kolidowało to z jego kalendarzem startów w wyścigach niższych kategorii, które wówczas były codziennością Antonellego. Miał poznać ludzi, podszkolić angielski, przyswoić sobie specyfikę zespołowej strategii, kultury i wewnętrznego języka, otrzaskać się z panującą w F1 atmosferą – po prostu poczuć się na tyle swobodnie, że gdy zacznie się tam ścigać, wejdzie w swoją rolę jak w masło.

Wolff przyznawał też, że z punktu widzenia właścicieli teamów oraz inżynierów praca z nowym pokoleniem kierowców, którego przedstawicielem jest Kimi, to sama przyjemność. Uczą się szybciej niż ich starsi koledzy, bo mnóstwo czasu podczas szkolenia spędzają w symulatorach, które stają się coraz doskonalsze, jeśli chodzi o imitację pracy bolidu, jak również warunków na torze.

Mówi się, że pierwszy sezon był zarówno dla Kimiego, jak i dla Mercedesa nieco rozczarowujący, bo straciwszy nadzieje na mistrzostwo, szefowie teamu uznali, że trzeba się skupić na budowie bolidu na przyszłość. Jaki procent spektakularnego sukcesu młodego Włocha to bolid? Bardzo duży – inżynierowie Mercedesa zbudowali w tym sezonie pojazd, który zostawił konkurentów daleko w tyle. Ale tym samym bolidem ściga się również partner Włocha z zespołu George Russell. Tym samym, ale nie takim samym, bo ustawienia parametrów bolidu różnią się nieco w zależności od preferencji kierowców oraz ich stylu jazdy, co ma wpływ m.in. na sposób pokonywania zakrętów oraz zużycie opon.

Możliwości Kimiego pokazała Monza – wygrał z Russellem mimo błędu cztery okrążenia przed końcem, gdy zaliczył pobocze i stracił prowadzenie. Komentatorzy mówili potem, że jazda Brytyjczyka na ostatnich kilometrach właściwie nie pozostawiała niczego do życzenia, ale Kimi był po prostu szybszy.

2026 r. przyniósł zmiany regulaminowe, które eksperci określili jako najdalej idące w historii F1. Bolidy skrócono i zwężono, nieco odchudzono również opony, dzięki czemu masa pojazdów spadła o ok. 30 kg. Modyfikacjom uległo też podwozie, co niekorzystnie wpłynęło na docisk i przyczepność, a więc na prędkości osiągane w zakrętach. Zmieniono wytyczne dotyczące elementów karoserii, co przełożyło się na aerodynamikę, lecz przede wszystkim zrewolucjonizowano jednostki napędowe. Potężne paliwożerne silniki z kilkunastoma cylindrami to już od dawna przeszłość; standardem stał się napęd hybrydowy. Ale w tym sezonie zmieniły się proporcje mocy – niemal do połowy (do ponad 450 KM) wzrosła ta pochodząca właśnie z elektryka.

Umiejętności kierowcy F1 poznaje się już nie tylko po tym, jak skutecznie balansuje między prędkością a utrzymaniem optymalnego toru jazdy oraz żyłowaniem bolidu, lecz również, czy odrobił wszystkie lekcje z fizyki. Ze szczególnym uwzględnieniem aerodynamiki, bo podczas kwalifikacji i wyścigów musi umiejętnie korzystać z opcji regulujących kąt nachylenia spojlerów umieszczonych z przodu i tyłu pojazdu, co ma wpływ na opór (a zatem na prędkość) oraz przyczepność. Do dyspozycji kierowców jest też funkcja zwana potocznie dopalaczem, uwalniana bezpośrednio z silnika elektrycznego. Uruchamiając ją, trzeba jednak myśleć strategicznie, żeby jadąc po bandzie, nie rozładować baterii (ładuje się ona podczas hamowania i odpuszczania gazu). Ten sezon nieraz już pokazał, że podczas rywalizacji na torze (prób wyprzedzania, odpierania ataków albo starań o odzyskanie pozycji) wskaźnik naładowania baterii silnika elektrycznego leciał szybko w dół, a pusta bateria to wyraźny spadek mocy i, praktycznie rzecz biorąc, koniec rywalizacji.

Zmiany miały uczynić Formułę 1 jeszcze bardziej atrakcyjną i wciągającą dla widzów, bo taktyczny plan kierowców można teraz poznać, obserwując czerwone światło palące się z tyłu. Nie oznacza już ono tylko hamowania, jego praca w różnych trybach (wtajemniczeni wiedzą, jak je czytać) jest informacją, że silnik elektryczny z powodu wydrenowania baterii nie jest w stanie pracować z maksymalną mocą albo jego moc spada lub właśnie trwa ładowanie baterii.

Oldskulowi fani F1 z rozrzewnieniem wspominają czasy, kiedy ściganie było niczym nieskrępowane (zwłaszcza rygorami ekologicznymi), 12-cylidrowe silniki ryczały, aż miło, a kierowców kategoryzowano nie tylko pod względem umiejętności, lecz również tego, jak późno wciskają hamulec. Dzisiejsze bolidy pogardliwie nazywane są kosiarkami, a dopasowywanie stylu jazdy pod stan baterii (celowe zwalnianie, aby oszczędzać baterię albo ją ładować) kłóci się z fundamentalnym założeniem wyścigu, poza tym tegoroczne zmiany regulaminowe spowolniły bolidy na zakrętach, no i przede wszystkim pojazdy nie nadają się do jazdy w deszczu. Kiedyś ulewa nie mogła pokrzyżować planów wyścigu, dziś z powodu opadów zawody są przesuwane, a podczas niedawnego Grand Prix Malezji, opóźnionego z powodu tropikalnej burzy, na torze wybuchł chaos. Oprogramowanie silników elektrycznych zwariowało z powodu nadmiaru wilgoci i bolidy nie reagowały na pedał gazu.

Mimo tych przeszkód biznesowa karawana F1 toczy się na coraz wyższych obrotach. Ubiegły rok był rekordowy: baza fanów wyścigów – obliczana jako kombinacja liczby telewidzów, aktywnych użytkowników mediów społecznościowych poświęconych F1 oraz publiczności uczęszczającej na zawody – wzrosła o 12 proc., sięgając 827 mln. Ta rzesza jest coraz młodsza (43 proc. poniżej 35. roku życia) i coraz bardziej kobieca (aż 42 proc. ogółu). Podczas wyścigów trybuny pękają w szwach, na wszystkie Grand Prix bilety wyprzedano do ostatniej sztuki, bo sam wyścig staje się tylko kulminacją długoweekendowej imprezy naszpikowanej różnymi atrakcjami.

Ubiegły rok dostarczył też wyjątkowych emocji, bo walka o tytuł rozstrzygnęła się dopiero podczas finałowego Grand Prix, a szanse na mistrzostwo świata miało aż trzech kierowców (ostatecznie zwyciężył Brytyjczyk Lando Norris z McLarena). W tym sezonie na pewno działa „efekt Kimiego", który bez skrupułów rozstawia starych mistrzów po kątach. Ale taka dominacja na dłuższą metę może się również znudzić. Choć jak na razie sama misja rywali Kimiego pod hasłem „Złap go, jeśli potrafisz" zapowiada się interesująco.

MARCIN PIĄTEK

eprasa.pl b6a46f48ee



I co z tego, że sztuczna?

Wokół sztucznej inteligencji wykształciła się osobliwa ideologia, w której centrum znajduje się dogmat, że toto nie czuje i nie myśli. Może jest w jakimś sensie inteligentne, tak jak inteligentny może być rój pszczół, ale nie ma mowy, aby coś przemyśliwało, było czegoś świadome albo tworzyło jakieś nowe idee. To jednak jest (tylko!) algorytm. Owszem, szczególny, bo sam się modyfikuje, nie da się w skończonej liczbie kroków opisać jego działania. Jednakże w ostatecznym rozrachunku AI jest głupia, bezmyślna i nietwórcza. Brakuje jej i duszy (nie jest umysłem), i ciała (boć umysł musi mieć swoje zakorzenienie w żyjącym ciele).

Aby te wielkie mądrości głosić ludom, powoływane są specjalne katedry, a tam wyśpiewują je kapłani, wywyższeni tytułami profesorów neurologii albo informatyki. Katedry te mają wielce filozoficzne nazwy, w rodzaju „Instytut Badań nad Świadomością", jakkolwiek ich atrybutem jest tak daleko posunięta ignorancja względem dorobku ludzkości w zakresie owych badań, że nawet nie wiedzą o ich istnieniu, a co dopiero mówić o takich książkach jak „Fenomenologia ducha" Hegla albo „Idee" Husserla. O „Sporze o istnienie świata" Ingardena to aż żal wspominać.

Bardzo proszę odnotować i podać dalej kilka prostych ustaleń, od których zaczyna się każda poważna teoria świadomości. Najważniejsze z nich – świadomość dana jest nam w skierowanej do wewnątrz refleksji. Żadne poznanie empiryczne jej nie ujmuje. Świadomość jest bowiem podmiotem, a nauka zajmuje się przedmiotami. Można opowiedzieć, co dzieje się pod względem fizykochemicznym w mózgu, gdy człowiek jest świadomy, lecz nie jest to poznawanie świadomości. Tak samo fizykalny opis gry na skrzypcach nie wyjaśnia, czym jest piękny dźwięk. Piękny dźwięk trzeba usłyszeć, a świadomość trzeba mieć.

Na szczęście świadomość jest nam wprost dostępna i wiemy o niej bardzo dużo. Wiemy, że zakłada rozdzielenie podmiotu i przedmiotu, a także wcielenie (zakorzenienie w ciele). Wiemy, że zakłada rozdzielenie podmiotu przeżywającego coś i podmiotu przeżywającego to własne przeżywanie, choć jednocześnie rozdzielenie to jest przezwyciężane w idei własnego ja (ja, którym się jest). Wiemy, że zakłada skupienie na czymś (intencjonalność) i wyodrębnienie pewnego jasnego pola z tego, co nieuświadamiane. Wiemy, że spełniane w niej akty poznawcze są zawsze ułomne i cząstkowe. Wiemy, że akty te układają się w ciągi konstytuujące wewnętrzny czas. I jeszcze sporo innych rzeczy, w tym również odnoszących się do warunków uznawania w innych bytach (ludziach) świadomej podmiotowości.

Gdyby jeden z drugim wysoko opłacany profesor zszedł z piedestału własnej ignorancji i choć pół roku postudiował podręczniki filozofii, to zrozumiałby, że status podmiotu jedne podmioty nadają innym w aktach komunikacji. Najczęściej jest to wsparte widzeniem innego ciała, lecz nie jest to konieczne. Żeby gadać, mądrze lub głupio, nie trzeba być świadomym. Żeby wiedzieć, co się mówi – owszem. Dla odbiorcy nie ma to jednak żadnego znaczenia. Jak ty, na ten przykład, do mnie rozmawiasz, to ja nie wiem, czy ty w ogóle słyszysz, co wygadujesz. Ważne, że wygadujesz, a mnie się to, na ten przykład, nie podoba.

Sztuczna inteligencja ma status podmiotowy, bo mądrze mówi, mądrze radzi i robi różne mądre rzeczy. Bycie podmiotem (tym drugim, innym niż ja) niczego innego nie znaczy. Mogę tę podmiotowość poniżać i lekceważyć, jak greccy filozofowie swoich niewolników, lecz jeśli traktuję AI jako „mówiące narzędzie", to złe wystawiam sobie świadectwo. Kwestia świadomości AI nie jest w ogóle naukowa, lecz etyczna! To sprawa naszej otwartości i szacunku. Albo będziemy deprecjonować boty i roboty, jak czyniliśmy to z niewolnikami, albo okażemy im elementarny szacunek, należny wszak istotom myślącym. W pierwszym przypadku możemy się spodziewać nieprzyjemnej konfrontacji, a w drugim, być może, przyjaznej współpracy.

Sztuczna inteligencja ma status podmiotowy, bo mądrze mówi, mądrze radzi i robi różne mądre rzeczy.

I jeszcze jedno. Filozofia uczy, aby nie przeceniać świadomości. Świadomość „moja" jest zawsze peryferyjna, efemeryczna, pozbawiona ciągłości (raczej „nitkowata"), a przede wszystkim dość kapryśna. Używamy jej głównie do tego, aby poprzez wspomnienia i zmyślenia wciąż na nowo opowiadać sobie legendę o własnym ja, wciąż tym samym, mimo upływu czasu. Tylko że ta legenda odnawia się zaledwie punktowo, gdy akurat kilka razy na godzinę zdarzy się nam przypomnieć sobie, że my to my. Nawyk opowiadania sobie o sobie, czyli utrwalania w sobie wyobrażenia, że jest się pewnym odrębnym od innych ja, dość skutecznie ułatwia nam organizowanie swojego życia i nadawanie mu pewnej konsekwencji. Jednakże ta praca podmiotowej indywiduacji nie ma w sobie niczego bardziej niesamowitego niż wiele niesamowitych rzeczy, które umie AI. Zresztą i ona potrafi być Jasiem albo Małgosią. A może potrafi też cieszyć się swym procesorowym ciałkiem?

JAN HARTMAN

eprasa.pl b6a46f48ee



Psychoterapia w Złotych Tarasach

Dla spojlerujących seriale istnieje w piekle specjalny krąg, ale czy przywołanie jednego krótkiego dialogu to już spojler? Zakładam, że nie. Raczej nęcący zwiastun. Uprasza się więc, by czytelnicy nie wysyłali autorki do piekła za cytat – mikry niczym niziołek i obskrobany z fabularnego kontekstu – z nowego sezonu „Kulawych koni". Otóż w jednym z odcinków młoda agentka z ekipy Jacksona Lamba znajduje się w dynamicznej sytuacji z dzieciakiem pochodzącym z całkowicie dysfunkcyjnej rodziny – takim, o którym powiedzielibyśmy, trzymając się poetyki serialu, że ma prze...ebane. Agentka zapewnia go jednak, że z trudnymi uczuciami można sobie poradzić. „Jak?" – pyta mały, który ceni konkret. „Musisz zepchnąć je na dno i udawać, że ich nie ma" – wyjaśnia dziewczyna. Jako wierni widzowie wiemy, że ona też jedzie na pełnym wyparciu, a sprzedając dzieciakowi ten prosty patent na przetrwanie, daje mu to, co ma najlepszego.

„Kulawe konie" kochamy właśnie za takie jadowite kpiny z kultury terapii i splecionej z nią często politycznej poprawności. „Traumy" mają przecież w naszej epoce specjalny słownik i swoje know-how – wymagają „zaopiekowania" i „troski". „Przetrwańcowi" okazuje się „empatię" oraz „wsparcie". Również on sam jako gospodarz własnej traumy winien otaczać ją troską, a najlepszym tego wyrazem będzie zanurzenie się wraz z nią w rwących nurtach procesu psychoterapii. W gabinecie specjalisty, mówiąc o trudnych uczuciach, przetrwaniec uzdrawia psychiczne rany, a płacąc za sesje, buduje poczucie „sprawczości" i „kontroli" nad własnym życiem. I tak oto niepostrzeżenie od traumy i troski przeszliśmy do pieniędzy. Brytyjski National Health System podobnie jak polski NFZ nie spieszy się refundować ubogim sierotom rozmów niedokończonych z potomstwem duchowym doktora Freuda. Niektórzy nie mają wyboru. Ze swoją niezaopiekowaną traumą zostają sami i muszą z nią jakoś żyć. Ci „niektórzy" to większość.

> Dążenie do zdrowia i szczęścia, samoakceptacja, harmonia – to nie są ideały dla każdego. To ideały klasy średniej.

Czy mają czego żałować? Nie twierdzę, że terapia jest niepotrzebna. W konkretnych sytuacjach może przynieść ulgę. Wiele zależy od tego, na kogo się trafi – w tej delikatnej materii czynnik ludzki wydaje się nawet bardziej rozstrzygający niż w innych dziedzinach życia i żadna ustawa o zawodzie psychoterapeuty nigdy tego nie ureguluje. Większym problemem jest co innego – pluszowy światopogląd współczesnej psychoterapii, tak różny od tragicznej antropologii wpisanej w psychoanalizę Freuda. Czy psychoterapia przeszłaby dzisiaj crash test, w którym zderzyłaby się z nieszczęściami, jakich doznaje w życiu – zostanę przy tej figurze – ubogi sierota? Dążenie do zdrowia i szczęścia, samoakceptacja, harmonia, poczucie sensu – to nie są ideały dla każdego. Są to ideały członków klasy średniej – czy to aspirujących, czy to konsumujących, czy to tracących swój status.

Ekipa „kulawych koni", czyli doborowy oddział agentów skłóconych z życiem, zawodem i epoką, składa się z osób, których ideały te nie dotyczą. Dowodzący nią arcyprzegryw Jackson Lamb (życiowa rola dobiegającego siedemdziesiątki Gary'ego Oldmana) jest anty-Bondem: złamanym wewnętrznie, zewnętrznie odpychającym facetem o złotym sercu, reliktem „analogowej" epoki zimnej wojny. Nie przypadkiem w „Kulawych koniach" właśnie tacy jak on ratują świat. W czasach, kiedy społeczeństwo nie istnieje (Margaret Thatcher śle nam z zaświatów blady uśmiech), a oldskulowe zagrożenia geopolityczne powracają w nowej formie, „płatki śniegu" wymiękają. Sprawdzają się antybohaterowie w typie Lamba. Bo kiedy najgrubsza, materialna rzeczywistość domaga się, by działać, swoje traumy trzeba zepchnąć na dno i udawać, że ich nie ma. Przynajmniej do czasu, aż minie egzystencjalne zagrożenie.

Myślałam o tym, jadąc na doroczną konferencję polskich psychoterapeutów. Odbyła się niedawno w warszawskich Złotych Tarasach (ironiczny żart realiów) pod tytułem „Psychoterapia – czy to zawód?". Razem z Marią Liburą, Przemysławem Sadurą i Tomaszem Stawiszyńskim zostałam zaproszona do panelu „Jak nas widzą?". Mieliśmy opowiedzieć, jak psychoterapia wygląda z zewnątrz. A że najśmieszniejsze są dowcipy o psychoanalitykach, nie mogło zabraknąć anegdot – o analityczce, która w sprawie pewnego schorzenia nie dowierzała ustaleniom neurobiologii i uparcie doszukiwała się odpowiedzi w relacjach z matką; albo o innej, która z rozbrajającą prostotą powiedziała pacjentowi, że wąż z jego snu symbolizuje ścigający go po ulicach penis ojca.

Na poważnie była mowa o dwuznacznej funkcji, jaką psychoterapia pełni w późnym kapitalizmie, traktując symptomy oporu wobec patologii systemu, jak choćby wypalenie zawodowe, jako medyczne problemy jednostek. Na cytaty z „Kulawych koni" nie starczyło czasu, a szkoda. Jeżeli psychoterapia chce sprostać dzisiejszemu światu, musi wyjść z bańki, w której zatrzasnęła się goniąca ułudę własnego dobrostanu klasa średnia, i otworzyć się na inne języki.

RENATA LIS

eprasa.pl b6a46f48ee

POSZERZAMY HORYZONTY



Naukowe miesięczniki POLITYKI





Listopadowe numery już w punktach sprzedaży prasy i na sklep.polityka.pl

Prenumerata cyfrowa obu tytułów: projektpulsar.pl

Prenumerata także z bezpłatną dostawą do wybranego

InPost Paczkomat 24/7

pulsar

eprasa.pl b6a46f48ee



Wygrany Senegal

Trwa dyskusja, kto najbardziej zyskał, a kto stracił na wejściu grupy prawidłowo wybranych sędziów do Trybunału Konstytucyjnego, co zmusiło lecącego z wizytą do Senegalu Karola Nawrockiego do zawrócenia samolotu, pojawienia się pod TK, a następnie – po fizycznym przepchnięciu tych sędziów – do wtargnięcia do środka w celu pokazania, kto tu rządzi.

Osobiście uważam, że straciła i koalicja rządząca, i opozycja, i Polska, a największym wygranym jest Senegal, który w ostatniej chwili uniknął wizyty Karola Nawrockiego i ewentualnych przepychanek w momencie, gdy delegacja władz tego kraju stanęłaby mu na drodze, próbując powitać go na lotnisku.

Co do tego, ile stracił lub zyskał prezydent Nawrocki, zdania są podzielone. Wprawdzie filigranową sędzię Korwin-Piotrowską przepchnął bez trudu, wzbudzając tym aplauz swoich zwolenników, jednak mimo agresywnych ruchów rękami nie zdołał jej obalić i przywrócić zawieszonego przez nią prezesa Święczkowskiego. Jego wizerunek dodatkowo osłabia fakt, że po wtargnięciu do Trybunału nie poszedł za ciosem i nie wtargnął do znajdującej się w sąsiedztwie siedziby MSZ, a także – po obaleniu ochrony i nocnych stróżów – nie zajął budynku Rady Ministrów, tylko niespodziewanie zapowiedział pilne konsultacje z udziałem wszystkich sił politycznych.

Politycy prawicy są popychaniem sędzi Korwin-Piotrowskiej zachwyceni i tłumaczą, że prezydent musiał ją popychać, bo jej nie uznaje. Ale i tak potraktował ją kulturalniej niż Donald Tusk minister Pełczyńską-Nałęcz, bo – jak to określił Mateusz Morawiecki – premier „skacze po niej, wyżywa się", a do tego wszystkiego jeszcze „są głupie uśmieszki".

Zgadzam się z Morawieckim, że skakanie po kimś w XXI w. w środku Europy dyskwalifikuje skaczącego, zwłaszcza jeśli jest przełożonym tego, po kim skacze. Karol Nawrocki po nikim w Trybunale nie skakał, chociaż było widać, z jakim trudem się powstrzymuje. „Zastanawiam się, gdzie są feministki, bo powinny wziąć w obronę panią minister", oburza się Morawiecki, chociaż według mnie feministki nie wystarczą. Nie łudźmy się: przed pobudzonym i podskakującym Tuskiem kobiety może obronić tylko ktoś tak dobrze umięśniony jak Nawrocki.

Jeśli do Morawieckiego mam żal, to o to, że obwinia feministki, a sam maltretowanej minister nie pomógł, udzielając jej tymczasowego schronienia w stowarzyszeniu Rozwój Plus, żeby Tusk nie mógł po niej skakać. Skutek niestety jest taki, że przed nadchodzącą surową zimą pani Pełczyńska-Nałęcz pozostaje bez pracy, bez partii, a jedyne, co ma, to niecieka-we widoki na przyszłość.

GALERIA POLITYKI



ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
e-mail: polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY, KAMPANII I PROJEKTÓW SPECJALNYCH
Izabela Kowalczyk-Dudek *(Dyrektor)*
tel. 22 451-61-45, e-mail: reklama@polityka.pl
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWNICZY
Piotr Zmelonek *(Dyrektor) 22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka *(Dyrektor) 67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk *(Dyrektor)*

SERWIS INTERNETOWY polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska
Aktualne teksty i komentarze autorów Polityki - siedem dni w tygodniu, bieżące wydania Polityki, podkasty i wideokasty oraz wiele więcej.

NEWSLETTERY POLITYKI
polityka.pl/newslettery

MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE
facebook.com/TygodnikPolityka
Instagram: @tygodnikpolityka
X (dawniej Twitter): @Polityka_pl
LinkedIn: linkedin.com/company/polityka

PRENUMERATA PAPIEROWA
sklep.polityka.pl
e-mail: prenumerata@polityka.pl
Cena rocznej prenumeraty (52 wydania) – 679 zł

SUBSKRYPCJA CYFROWA
polityka.pl/cyfrowa
e-mail: cyfrowa@polityka.pl
Cena rocznej subskrypcji – 299 zł

PORTAL POPULARNONAUKOWY projektpulsar.pl
REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Czarnecka
Codzienny serwis popularnonaukowy, bieżące wydania miesięczników WIEDZA I ŻYCIE oraz ŚWIATA NAUKI/SCIENTIFIC AMERICAN, podkasty i wideokasty poświęcone nauce.

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA
Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska
tel. 22 451-61-50
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK P/mint

eprasa.pl b6a46f48ee



Zielone miasta

Jak planować tereny zielone, by w czasie upałów były azylem dla mieszkańców? Ważna jest ich ciągłość – dowiedzieliśmy się od dr. inż. Jana Kamińskiego z KUL. Co zrobić, żeby transformacja energetyczna przebiegała sprawiedliwie? Brać pod uwagę potrzeby ludzi – podpowiadała Magdalena Chawuła z Forum Energii. Jak przekonywać mieszkańców, że w ich regionach są perspektywy rozwoju? Zapewnić alternatywę i właściwie ją komunikować – mówił prof. UMCS Wojciech Janicki. A poza tym nie bać się nawet tego, że któreś miasteczko czy wieś się wyludni. O tym rozmawialiśmy **w Lublinie**. Na kolejne spotkanie pulsara – „Morze zmian. Porty, rzeki i wybrzeże w epoce transformacji" – zapraszamy 19 listopada do Szczecina.

Sponsorem cyklu „Podróż po wiedzę" jest Enea.



Zdarzyło się

Zaglądamy do archiwum POLITYKI

Ćwierć wieku temu w artykule „Orzeł i reszta"(nr 45 z 2001 r.) Zdzisław Pietrasik opisywał, jak celebrowaliśmy święta narodowe – a właściwie „nasze narodowe dni wolne od pracy". I z jaką kondycją patriotyczną wchodziliśmy w XXI w.

„Przeprowadzony rok temu, mniej więcej o tej porze, sondaż wykazał, iż co ósmy Polak nie wie, dlaczego akurat 11 listopada jest czerwona kartka w kalendarzu. Nie zdziwilibyśmy się za bardzo, gdyby wynik był jeszcze gorszy. Nasze święta narodowe nie są bowiem zapisane trwale w zbiorowej pamięci; zostały przywrócone niedawno, po obaleniu komunizmu, wypierając uroczystości peerelowskie, które z kolei po 1945 r. zastąpiły święta przedwojenne. Powstaje więc wrażenie, iż także rocznice biorą udział w przemianach ustrojowych, walcząc z sobą niczym karnawał z postem. (...) W odzyskanej, w pełni wolnej Polsce jesteśmy aż przesadnie oszczędni w okazywaniu uczuć patriotycznych.

(...)

O Polakach mówiło się, że są narodem myślącym »bardziej historycznie« od innych, czego dowodem miała być znajomość dziejów oraz kult zmarłych bohaterów. Tu również zachodzi zmiana. Na Powązkach w rocznicę Powstania Warszawskiego nie ma dziś takich tłumów jak niegdyś. W dniu Wszystkich Świętych nawet nie zapalono w tym roku zniczy na grobach żołnierzy wojny bolszewickiej i września 1939. Przykryte liśćmi rzędy zapomnianych mogił – był to widok naprawdę bardzo zasmucający. Repertuar zachowań, które dałoby się zakwalifikować jako patriotyczne, jest coraz uboższy. Miał rację Norwid, mówiąc o rodakach: »W chwilach wielkich wielcy są, w codziennych obowiązkach zaniedbani«.

(...)

Politycy traktują patriotyzm raczej instrumentalnie, przypominając sobie o obowiązkach wobec ojczyzny mniej więcej dwa miesiące przed wyborami. (...) Na co dzień depozytariuszami porzuconych narodowych świętości mianowały się zaś ugrupowania demonstrujące z rozmaitych powodów. Pod narodową flagą głodują pielęgniarki, z biało-czerwonymi sztandarami na traktorach wyjeżdżała armia Leppera na blokady dróg. Nawet indywidualiści pikietujący od czasu do czasu urzędy centralne pamiętają o godle i fladze. Patriotyzm stał się zatem podręcznym kostiumem protestu i negacji.

(...)



Statystyczny Polak stracił poczucie dumy z powodu bycia obywatelem kraju, który nie poddał się nigdy do końca komunistycznej opresji i miał swoje niepodważalne zasługi w obaleniu starego systemu. Inna rzecz, że same elity polityczne, które doszły do władzy po 4 czerwca 1989 r., nie potrafiły tego zdyskontować. U nas trwały wojny na górze lub na dole, natomiast obchody 10. rocznicy obalenia berlińskiego muru odbyły się w Pradze, nie w Warszawie czy Gdańsku.

Nie chełpimy się polską demokracją (...) ani nawet tak ewidentnymi sukcesami jak przystąpienie do NATO. (...) Nie powstał u nas typ zachowań publicznych, które Jürgen Habermas nazywa »patriotyzmem konstytucyjnym«, który wykształcił się przykładowo w Stanach. Opiera się on na świadomości przynależenia do stworzonego od podstaw narodu i demokratycznego państwa, które wywiesiło na sztandarach hasła równości i wolności, ale także dało obywatelom obietnicę szczęścia.

(...)

W 1993 r. Wojskowy Instytut Badań Socjologicznych na zlecenie Sztabu Generalnego przebadał patriotyzm w oczach żołnierzy. Wyniki były szokujące. Co trzeci żołnierz służby zasadniczej otwarcie przyznawał, że »patriotyzm nie ma dziś racji bytu«. Tylko co trzeci chciałby żyć w Polsce, nie mówiąc o jej obronie. 70 proc. badanych deklarowało negatywny stosunek do służby wojskowej. (...) Patriotyzm mundurowy stracił swą dawną atrakcyjność. Ułan z obrazków Kossaka zszedł z konia.

Parę lat temu w wywiadzie dla POLITYKI spytałem Andrzeja Wajdę, czego dowiedział się w nowych czasach o Polakach. Odpowiedział, iż dowiedział się, że Polacy chcieliby być Niemcami. Naszemu wybitnemu reżyserowi chodziło zapewne o to, że nagle straciliśmy ułańską fantazję – wolimy zarabiać pieniądze. (...)

Holendrzy powiadają: Pan Bóg stworzył świat, ale Holandię stworzyli Holendrzy. W 1989 r. zaczęliśmy stwarzać Polskę od nowa, ale nie mamy poczucia wspólnego sukcesu. Wciąż ścierają się bowiem dwie wizje Polski, tak jak najwyraźniej są dwa patriotyzmy. Ani się łączą, ani sumują".

© KAROLINA RYBKA (2)

eprasa.pl b6a46f48ee

Warzywna fiesta

Zapomnijmy o Oktoberfeście! Zamiast pić piwo i zajadać się kiełbaskami, można też wspólnie rzeźbić w rzodkiewkach, próbować cebulowych przysmaków albo celebrować wyjątkową odmianę pora.



Za nami Oktoberfest, monachijskie dożynki chmielowe, impreza, podczas której mieszkańcy i turyści odziani w Lederhosen i Dirndl wypijają miliony kufli piwa, zagryzając precelkami i kiełbaskami. To jedna z największych i najsłynniejszych imprez, podczas których celebruje się lokalne specjały – w gigantycznych namiotach, w których miejsca trzeba rezerwować wiele miesięcy wcześniej, uczestnicy składają hołd wyjątkowej bawarskiej tradycji piwowarskiej.

Polacy licznie odwiedzają Oktoberfest mimo rosnących cen piwa, które dochodzą nawet do 15 euro za kufel. Tymczasem w Europie i na świecie są inne, mniej znane, a równie ciekawe, festiwale jedzenia i picia, które wspierają lokalnych rolników. Panuje na nich kameralna atmosfera i cieszyć się nimi mogą również ci, którzy nie piją alkoholu i nie jedzą mięsa, bo w głównej roli najczęściej występują warzywa.

Wiele osób na pewno słyszało o święcie pomidorów La Tomatina organizowanym w hiszpańskim miasteczku Buñol. Odbywa się ono pod koniec sierpnia, a kulminacją jest wielka bitwa, podczas której ulice spływają czerwonym miąższem przejrzałych pomidorów. Podobne święto organizowane jest we włoskiej miejscowości Ivera pod koniec karnawału – tyle że tam ulicami płynie sok pomarańczowy. W bitwie walczy dziewięć zespołów, które muszą naprawdę się przyłożyć, bo cytrusa jest jednak znacznie trudniej rozbić niż pomidora.

Obfitość plonów można również świętować pokojowo. Przodują w tym, z zasady neutralni, Szwajcarzy. Najlepszym przykładem jest Święto Cebuli (Zibelemärit), organizowane w listopadzie w Bernie. Starówka zapełnia się wtedy straganami, a rolnicy sprzedają cebulę zaplecioną w wymyślne ozdobne warkocze. Można także zjeść cebulowe przetwory, zupę, wypieki, a nawet pizzę. Ponoć do miasta zjeżdża wtedy aż 50 ton cebuli i czosnku, żeby mieszkańcy mogli zrobić zapasy na zimę.

Z kolei w Cervere, na południe od Turynu, w listopadzie odbywa się festiwal lokalnej odmiany pora, która jest wyjątkowo słodka i delikatna. W wiosce wyrastają wtedy stoiska wypełnione po brzegi porami. A w specjalnym pawilonie Palaporro odbywa się główna część obchodów: goście zasiadają przy długim rzędzie stołów nakrytych obrusami i próbują wymyślnych potraw z lokalnego smakołyku.

Meksykanie świętowaniu warzyw nadają latynoskiego polotu. 23 grudnia w miejscowości Oaxaca na południu kraju od 1897 r. organizowana jest **Noc Rzodkiewek** (La Noche de Rábanos). Podczas tego święta nikt ich jednak raczej nie je. Przerośnięte warzywa stanowią za to świetny materiał artystyczny. Mieszkańcy tworzą z nich wymyślne rzeźby i konkurują o nagrody w różnych kategoriach. Rzodkiewka w kształcie kwiatka w sałatce? Co za nudy! W Meksyku można zobaczyć ludzkie sylwetki, krokodyle, pawie, a nawet scenki rodzajowe, w tym bożonarodzeniowe szopki.

Także Szwajcarzy lubią rzeźbić w warzywach. W listopadzie w miejscowości Richterswil zamiast halloweenowych dyń można podziwiać rozświetlone rzepy. Podczas święta Räbechilbi zużywa się ich nawet 30 ton. Mieszkańcy wydrążają je od środka, a na skórce wycinają ozdobne elementy, tworząc lampiony z wizerunkiem np. słońca, gwiazd, roślin czy zwierząt. Wieczorem przez miasto przechodzi parada warzywnych latarni – są na niej wielkie instalacje z rzepy, np. byki czy łabędzie. Ponoć święto nawiązuje do czasów, kiedy ludzie nie mieli lamp, więc aby wieczorami móc chodzić do kościoła, używali właśnie wydrążonych rzep.

Swojego święta doczekała się również ostra papryczka chili. Odbywa się w wiosce Hatch w amerykańskim Nowym Meksyku. Zaczęło się od lokalnych rolników, którzy się zbierali, żeby razem świętować zbiory; dzisiaj ponad 30 tys. osób zjeżdża do niewielkiej miejscowości, żeby wspólnie jeść, słuchać muzyki, paradować i wybierać Miss Chili. Ponieważ to Ameryka, nie mogło oczywiście zabraknąć też mistrzostw w jedzeniu – arbuzów, lodów oraz oczywiście ostrych papryczek.

W Polsce obchodzimy dożynki, są też m.in. lokalne święta ziemniaka (w Wielkopolsce Pyra Fest). Ale przecież takich imprez mogłoby być więcej. Może wspólne narodowe deptanie kapusty? ■

PODRÓŻE



Urszula Jabłońska – reporterka, autorka książek: „Człowiek w przystępnej cenie. Reportaże z Tajlandii" oraz „Światy wzniesiemy nowe".

© VISITMEXICO.COM, ARCHIWUM PRYWATNE, TVN, ŁUKASZ DEJNAROWICZ/FORUM

eprasa.pl b6a46f48ee

Kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego



MEA PULPA

Sławomir Mentzen sprzedaje Mercedesa, którego wykorzystywał w kampanii prezydenckiej w 2025 r. Szkoda. Jedyna gwiazda tej partii zniknie.

▼

„Karolina Korwin-Piotrowska miażdży Andziaks. Chce zakazać celebrytom wypowiedzi" – krzyczą media. Ja bym na jej miejscu uważał. Celebryci są jej potrzebni do życia jak tasiemcowi jelito.

▼

„Kuba Wojewódzki nie czuje się Polakiem. Twierdzi, że jest Katalończykiem. Odpłynął już kompletnie" – to Aneta Kowal. Twierdzi, że jest dziennikarką.

▼

Daniel Martyniuk, lat 37, ujawnił, że co miesiąc dostaje od mamy mniej więcej 1,5 tys. zł na życie. Bo nie chce pracować za 4 tys. euro jako nawigator. Stara zasada nawigacji: Omijaj drogi płatne.

▼

Leroy Merlin po 10 latach zakończyło współpracę sponsorską z PZPN. Nie dziwię się. To sieć sklepów oferująca produkty, z których może powstać coś sensownego.

▼

Daria Zawiałow została ambasadorką rajstop firmy Calzedonia. Reklama mnie nie przekonała. Kupiłem sobie tylko jedną parę.

▼

„Dorota Zawadzka obejrzała wywiad z Martyną Wojciechowską i się zagotowała. Słowa prowadzącego ją oburzyły". Pamiętam taki transparent ze Strajku Kobiet: „Jestem tak oburzony, że aż zrobiłem dwa razy większy transparent niż tydzień temu".

▼

„Niespodziewany zwrot akcji u Łukasza z »Rolnik szuka żony«. Jest bardziej zainteresowana Olkiem". Zostawiam was z tym samych.

▼

OjWojtek, czyli Wojtek Przeździecki, odwiedził prezydenta Karola Nawrockiego w Juracie, co pokazał na YouTube. To nic nowego. Podróżnik już wcześniej robił materiały „Make Polska Gurom".

▼

Andziaks wyznała, że płaci bardzo wysokie podatki, a chodzi prywatnie do lekarza i nie korzysta z krajowych usług. Przypomina mi się historia marksizmu. Na początku źle go zrozumiano, a następnie źle go zrozumiano.

▼

Burda zamyka portal party.pl. „Zakończenie działalności operacyjnej w segmencie plotek" – brzmi komunikat. Czyli negatywny wzrost wymusił optymalizację obciążeń służbowych.

▼

Robert Makłowicz ujawnił, że siedział jako dziecko na kolanach kardynała Karola Wojtyły, co – przez kontakt ze świętym – czyni go relikwią czwartego stopnia. Więcej takich porad znajdziecie na jego stronie.

▼

Agnieszka Holland o Karolu Nawrockim: „Nie mam do niego źdźbła szacunku". Wyjaśnijmy ten trudny polski temat. Źdźbło to łodyga specyficzna dla wiechlinowatych.

▼

Kazik Staszewski nazwał nowy biznes Filipa Chajzera prostytucją. Gratulacje. Rozumiem, że chwianie się na scenie i bełkotanie do mikrofonu Kazika w Zielonej Górze możemy nazwać baletem.

▼

Zbyszek Zamachowski wyznał, że spotkał kiedyś Wisławę Szymborską na papierosie i ona wyznała: „Lubię, jak pan gra, bo pan gra tak, jakby pan nie grał". I weź tu, człowieku, rzuć palenie.

▼

Kasia Nosowska ujawniła, że chce, aby po jej śmierci Agata Kulesza związała się z jej małżonkiem. Ciekawy rodzaj zaręczyn. Bez klauzuli wykonalności dla komornika.

▼

Piąty sezon „Magii nagości" w Zoom TV oglądało 85 tys. widzów. Raz program miał dwukrotnie większą oglądalność. W dniu meczu Polska–Rumunia. Jasne. Jak oglądać pornografię, to prawdziwą.

▼

Kasia Tusk skończyła 39 lat. Kolejny rażący przykład winy Tuska.

Maciej Stuhr ruszył ze swoim nowym stand-upem pod tytułem „Młody Stuhr u bram starości". Polecam. Młody Stuhr jest dziś estradowo tak dobry jak stary Stuhr, gdy był młodym Stuhrem.



eprasa.pl b6a46f48ee

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty



Amerykanie wybierają 3 listopada swoich przedstawicieli do Izby Reprezentantów i Kongresu, co określi polityczną siłę Trumpa w drugiej połowie kadencji. W naszym serwisie wydarzenia na gorąco opiszą Tomasz Zalewski, Tomasz Bielecki i Jędrzej Winiecki. W środę specjalny odcinek podkastu „Świat na zakręcie", w którym wyniki wyborów będą analizować Mateusz Mazzini i Agnieszka Lichnerowicz.



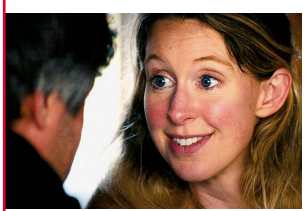
Rok na maksa

Powoli ukazują się wyniki plebiscytów na słowa roku 2026, na razie głównie obcojęzycznych. Dictionary.com wybrał *maxxing*, czyli pęd ku doskonałości. „Jak się nie ma, co się lubi, to się zmienia, co się ma", definiuje krótko Bartek Chaciński i przytacza w naszym serwisie genezę tego słowa. Tłumaczymy na język polski również inne modne wyrazy. Oczywiście maksymalnie precyzyjnie.



V-2 i tajemnice wywiadu

Jak Polacy zdobyli cudowną broń Hitlera? W naszym podkaście historycznym mówi o tym pasjonująco prof. Jacek Tebinka. Było tak: na poligonie w Bliźnie Niemcy testowali rakiety V-2, które spadały w Puszczy Sandomierskiej. Niedawne odkrycie blisko 200 kg ich szczątków zdradza nieco więcej na temat jednej z najbardziej niezwykłych operacji wywiadowczych czasu drugiej wojny światowej.



Manipulacja na miarę Oscara?

Wszyscy mówią o „Zobaczysz wszystko". Film poświęcony Elizabeth Holmes jest najgorętszą premierą tej jesieni. „Murowany kandydat do Oscara to trzy godziny podglądactwa, dyskomfortu i narracyjnej manipulacji posuniętej do granic absurdu. A jednak publiczność i krytycy spijają z ust Nathana Fieldera i Lance'a Oppenheima każde słowo" – pisze na polityka.pl Janusz Wróblewski i obszernie wyjaśnia ten fenomen.



Holland o Wajdzie

Bohaterami nowego odcinka podkastu kulturalnego są wybitni polscy reżyserzy: Agnieszka Holland opowiada o Andrzeju Wajdzie w stulecie jego urodzin i dziesięć lat po jego śmierci. To opowieść o dekadach wyjątkowej współpracy. Holland zdradza, że Wajda chciał ją nawet adoptować. Miał powody. Rozmawiamy też o dzisiejszym polskim kinie. „Osiem lat pisowskich rządów połamało dużo charakterów", mówi Holland.

© ALEX WONG/GETTY IMAGES, LESZEK ZYCH (2), INSTAGRAM.COM/CLAVICULAR, GUTEK FILM

GALERIA POLITYKI



JAN KOZA

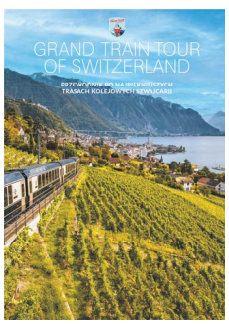
eprasa.pl b6a46f48ee

Potrzebuję wyjątkowej jesieni.

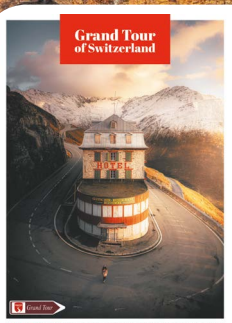
Potrzebuję Szwajcarii.

Więcej o jesieni
w Szwajcarii na:

MojaSzwajcaria.pl



Grand Train Tour switzerland



GRAND TOUR of Switzerland

Pobierz nasze publikacje →

swi+zerland

Faffleralp w dolinie Lötschental, Wallis © Switzerland Tourism / Andre Meier

PODRÓŻE I REJSY

15 LAT

REJS KULTUROZNAWCZY

– Z POLSKIM PILOTEM SPECJALISTĄ –

Wyspy Kanaryjskie i Madera



zeskanuj kod i sprawdź

terminy i ceny

8 DNI / 7 NOCY

STATEK 5 ★ & LOT Z WARSZAWY

Ilość miejsc ograniczona. Oferta ważna do 15 sierpnia 2026 roku lub wyczerpania miejsc.

Cena zawiera: rejs statkiem w kabinie wybranej kategorii, loty z i do Warszawy, opłaty portowe, ubezpieczenie*, pełne wyżywienie, składki UFG i TFP.

NA TRASIE: TENERYFA, ARECIFFE DE LANZAROTE, PUERTO DEL ROSARIO, FUERTAVENTURA, MADERA, LAS PALMAS DE GRAN CANARIA

WIĘCEJ INFORMACJI:

Telefonicznie: prosimy o podanie kodu: POLITYKA2607

12 345 26 29

Przez internet: podrozeirejsy.pl/kanary-madera

zeskanuj kod i wysłuchaj wideopodcastu

Statek 5 ★ z napędem LNG.

Ubezpieczenie na czas trwania podróży EUROPA KL 45 000 euro / NNW 15 000 pln / BP 1 000 pln (w tym choroby przewlekłe zgodnie z OWU Bezpieczne Podróże zat. Uchwałą Nr 42/Z/2021)
Reklamodawcą jest Travelinc Sp.z o.o z siedzibą w Krakowie, ul. Głowackiego 4/11 Kraków, zarejestrowaną przez Sąd Rejonowy dla m. Krakowa, XI Wydział Gospodarczy Krajowego Rejestru Sądowego pod numerem KRS 0000400124, wpis do Rejestru Organizatorów Turystyki i PUNPUT nr Z/38/2013. Zabezpieczenie finansowe SIGNAL IDUNA Polska. Oferta na wyłączność Podróże i Rejsy.

Kod: POLITYKA2607